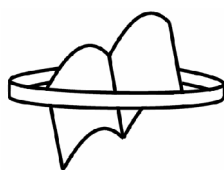


James Herbert

Nawiedzony

Przełożył: Grzegorz Iwanciw

Tytuł oryginału: *The Haunted*



*Pamięci
George'a Goodingsa – łobuza,
szubrawca, hultaja
i mojego najlepszego przyjaciela*

*Być nawiedzonym przez koszmary,
to znaczy ujrzeć prawdę,
która powinna pozostać w ukryciu*

Sen, wspomnienie

Wypowiedziane szeptem imię.

Chłopiec wierci się we śnie. Księżyc oświetla pokój bladym, zamglonym światłem. W tej mgle kładą się głębokie cienie.

Chłopiec kręci głową, zwracając ją w kierunku okna tak, że jego twarz staje się delikatną, nieskazitelną, bezbarwną maską. Coś zakłóca sen dziecka. Pod zamkniętymi powiekami oczy poruszają się gwałtownie.

Znowu dobiegający z oddali szept:

— Dawid...

Chłopiec marszczy brwi, słysząc we śnie delikatne wołanie. Dłoń zaciska się na wilgotnej od potu pidżamie; usta rozwierają się i zamykają w niemym geście. Błądzące myśli bezwiednie wycofują się z krainy snu do świadomości. Słowa protestu więzną w gardle, lecz po chwili znajdują ujście i chłopiec budzi się.

Zastanawia się, czy jego krzyk istniał tylko we śnie. Spogląda przez szybę na zamglony księżyc.

Jego serce przepelnione jest smutkiem, który wydaje się powodować, że krew krzepnie mu w żyłach, płynie powoli i z wysiłkiem. Lecz słyszany szept częściowo rozprasza to uczucie.

— ...Dawid... — ponowne wołanie.

Chłopiec zna źródło szeptu i ta świadomość przyprawia go o dreszcze.

Siada i ociera łzy z policzków. Płakał we śnie. Wpatruje się w zamglony kształt drzwi sypialni i boi się. Ogarnia go lęk... oraz fascynacja.

Odkrywa kołdrę i podchodzi do drzwi. Przydeptuje bosymi piętami nogawki luźnej pidżamy. Chłopiec może mieć nie więcej niż dziewięć lat. Jest drobny, ciemnowłosy, ma bladą skórę i zmęczony wyraz twarzy, nietypowy dla dziecka w tym wieku.

Zatrzymuje się przy drzwiach, jak gdyby obawiał się ich dotknąć. Jest zaskoczony. Co więcej — jest ciekawy. Naciska na klamkę. Zimno metalu przenika wzdłuż jego ramienia, tak jakby wyzwolił drzemiaczy w klamce chłód. Ale wrażenie stępia fakt, że całe jego ciało złane jest zimnym potem. Otwiera drzwi i wstępuje w ciemność, która tutaj wydaje mu się bardziej gęsta. Odnosi wrażenie, jakby wskutek otwarcia drzwi wlewała się do środka. To oczywiście iluzja, ale chłopiec jest zbyt młody, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Drży i wycofuje się, lękając się tej nowej fali mroku.

Wzrok przyzwyczajają się i rozprasza atramentową ciemność. Chłopiec ponownie rusza do przodu, bojaźliwie, ostrożnie, przekracza próg i znowu zatrzymuje się u szczytu schodów. Aby zejść w dół, będzie musiał zanurzyć się w najczarniejszą otchłań.

Przytłumiony szept ponagla go:

— ...Dawid...

Nie potrafi się oprzeć. W tym cichym wezwaniu zawiera się jego nadzieja. Krucha nadzieja, która istnieje gdzieś poza ciasnymi granicami zdrowego umysłu, lecz stanowić może wątlą próbę zaprzeczenia czemuś, co stało się dla chłopca koszmarnym ciężarem.

Słucha jeszcze przez chwile, być może pragnąc, aby głos ten obudził także jego rodziców. Jednak z ich pokoju nie dobiega żaden dźwięk. Smutek i żal wyczerpał ich ciała oraz umysły. Chłopiec patrzy w rozciągającą się poniżej ciemność, ogromnie przerażony, lecz jeszcze bardziej nękany potrzebą, aby tam zejść.

Schodząc, dotyka ściany palcami i przesuwając je po porowatej powierzchni tapety. Niedowierzanie miesza się z fascynacją i strachem. Małe światełka — nie wiadomo skąd — pojawiają się i migoczą odbite w jego źrenicach.

U stóp schodów znowu przystaje, oglądając się za siebie, jakby szukając zachęty ze strony zmęczonych rodziców. Lecz z ich pokoju nadal nic nie słychać, w całym domu panuje cisza. Ani jednego szeptu.

Przed sobą, przy końcu korytarza, chłopiec dostrzega łagodną, bursztynową poświatę. Powoli, odmierzając każdy krok, zbliża się do źródła światła. Zatrzymuje się przed zamkniętymi drzwiami i teraz słyszy jakiś dźwięk, jakiś drobny ruch — jakby westchnienie. Może to tylko przeciąg.

Palce nóg, wystające spod nogawek pidżamy, skąpane są w ciepłym świetle, które dochodzi przez szparę pod drzwiami, i chłopiec przygląda się im, chcąc odwrócić to, co za chwilę nastąpi. Światło nie ma stałego natężenia, delikatnie migocze ponad krawędzią palców. Ręka chłopca łapie za klamkę, która tym razem okazuje się nie zimna, lecz wilgotna. A może to tylko jego dłoń mokra jest od potu?

Musi wytrzeć ją o pidżamę. Nawet wtedy jego uścisk jest niepewny i dłoń ślizga się po gładkiej powierzchni, zanim udaje mu się przekręcić gałkę. Przychodzi mu do głowy myśl, że ktoś po drugiej stronie przytrzymuje klamkę, nie pozwalając mu na otwarcie drzwi, lecz po chwili zamek zaskakuje i drzwi ustępują. Popycha je i jego twarz oświetla migotliwy blask.

W pokoju znajduje się mnóstwo zapalonych świec. Ich płomienie lekko pochylają się po otwarciu drzwi i chłopiec czuje charakterystyczny zapach wosku. Cienie tańczą na ścianach, jakby w geście powitania. Ale po chwili płomienie świec uspokajają się.

Pod przeciwległą ścianą pokoju stoi przybrany koronkowym obrusem stół. Na nim spoczywa mała trumna. Dziecięca trumna.

Chłopiec wpatruje się w nią. Wchodzi do pokoju.

Stąpa ciężko, zbliżając się do otwartej trumny. Oczy ma szeroko rozwarte. Kropelki potu na jego skórze błyszczą w świetle świec.

Nie chce zaglądać do wnętrza trumny. Nie chce oglądać postaci, która tam spoczywa, nie w takim stanie. Ale nie ma wyboru. Jest tylko dzieckiem i jego umysł żądny jest wszystkiego, co nienaturalne i nieznanne. Dzieci mają wrodzony optymizm, który czasami dziwnie się objawia. Przecież ten szept wzywał go i on nań odpowiedział. Ma swoje powody, aby chwycić się każdej nadziei, nawet tej najmniej prawdopodobnej.

Przysuwa się bliżej. Postać w wymoszczonej jedwabiem trumnie ukazuje się stopniowo.

Ma na sobie białą komunijną sukienkę z bladoniebieską torebką przypiętą do pasa. Jest — była — niewiele starsza od chłopca. Jej ręce spoczywają na piersi, jakby w błagalnym geście. Twarz okalają ciemne włosy, a śmierć nadaje jej pogodny wyraz śpiącego spokojnie dziecka. I choć ta twarz jest nieruchoma, migoczące światło igra w kącikach ust, jakby dziewczynka powstrzymywała uśmiech.

Ale chłopiec, choć ze wszystkich sił chciałby, aby było inaczej, wie, że w poblasku ciele nie ma już życia. Żałobne rytuały podczas ostatnich dwóch dni i jeszcze nie zakończone były bardziej przekonujące niż sam bolesny fakt jej nieobecności. Chłopiec pochyla się, a na jego twarzy pojawia się wyraz żalu. Pragnie wymówić imię zmarłej, lecz słowa więzną mu w gardle. Mruga oczami i po jego twarzy spływają łzy. Pochyla się jeszcze bardziej tak, jakby chciał pocałować swoją zmarłą siostrę.

Wtem oczy dziewczynki otwierają się.

Uśmiecha się do niego szyderczo...

Wyciąga rękę, jakby chciała go dotknąć...

Chłopiec zastyga w bezruchu z otwartymi ustami. Krzyk opuszcza jego gardło z opóźnieniem, przeraźliwy krzyk, który burzy posępną ciszę w domu.

Krzyk słabnie i urywa się, a chłopiec zamyka oczy w chwili, gdy łaskawy los odbiera mu przytomność i popycha go poza jedwabną ścianę niebytu.

Rozdział 1

...Otworzył oczy nie całkiem wiedząc, gdzie się znajduje. Miarowy stukot kół pociągu i rytmiczne kołysanie wagonu stopniowo oddalały w niepamięć resztki snu. Zamrugał oczami chcąc usunąć z umysłu wątle pozostałości wizji, która nagle pozbawiona została formy i kontekstu. Dawid Ash wziął głęboki oddech i odwrócił głowę w stronę okna, aby móc oglądać mijane krajobrazy.

Pola uprawne wyglądały o tej porze roku posępnie. Liście jeszcze do niedawna brązowe i szeleszczące, a teraz przesycone wilgocią, zaczynały zbierać się na ziemi pod koronami drzew jakby trawione nieznaną chorobą. Od czasu do czasu ukazywały się nieliczne zabudowania, usadowione na zboczach wzgórz, nie łamały one jednak przygnębiającej harmonii pejzażu. Późno jesienne niebo wyglądało równie szaro jak ziemia, nad którą się rozpościerało, przykrywając mglistą zasłoną szczyty wzgórz.

Nagle przedział pograżył się w mroku w chwili, gdy pociąg wjechał do tunelu i turkot stalowych kół przeistoczył się w potężny łoskot, dudniący głębokim echem w czarnym wnętrzu tunelu. Nagle w ciemności pojawił się mały płomyk, oświetlając twarz samotnego mężczyzny, jedyne pasażera.

Ash zgasił zapalniczkę. Rozżarzona końcówka papierosa rzuciła czerwony poblask, kładąc głębokie cienie na jego policzkach i czole. Wpatrywał się w ciemność, starając się przypomnieć sobie sen, który pozostawił go zlanego zimnym potem. Jak zwykle, szczegóły koszmaru były nieuchwytnie.

Wypuścił obłok dymu, zastanawiając się, skąd wzięła się pewność, że to właśnie zawsze ten sam sen niepokoi go i powoduje taką reakcję. Może stąd, że zawsze pozostaje po nim na chwile zapach płonących świec, to znaczy w jego wyobraźni, a może stąd, że zawsze odczuwa potem kołatanie serca. A może stąd, że nigdy nie pamięta właśnie tego jednego snu.

Do wnętrza przedziału ponownie wtargnęło światło dnia. Pociąg przejechał w pełnym pędzie przez zapomnianą i opuszczoną stację. Pewnego dnia, pomyślał Ash, zadowolony, że coś odwraca jego uwagę od rozpamiętywania snu. pociągi wcale nie będą zatrzymywać się na stacjach pomiędzy większymi ośrodkami i sieć połączeń kolejowych stanie się zamkniętym systemem, który obsługiwać będzie nieliczne

wioski i miasteczka. Ciekawe, co wtedy stanie się z tymi stacyjkami widmami? Czy nadal pasażerowie zjawy będą tłoczyć się na zrujnowanych peronach? Czy głos zawiadowcy „Proszę wsiadać, drzwi zamykać!” nadal będzie rozlegał się głośnie echem? Czy możliwe, że powtarzające się scenki utrwalone zostały w pamięci betonu i drewna i będą odtwarzane na długo po ich rzeczywistym ustaniu? Była to jedna ze standardowych teorii instytutu na temat występowania „zjaw”, której zresztą był zwolennikiem. Czy teoria ta będzie w stanie pomóc mu w przypadku, który właśnie miał zbadać? Może nie, ale przecież tak zwane zjawiska paranormalne daje się wytłumaczyć na wiele innych sposobów. Przyglądał się dymowi papierosowemu, który unosił się leniwie w powietrzu.

Koła pociągu zadudniły na rozjeździe i Ash zobaczył samotny samochód stojący przed opuszczonym szlabanem, jak małe zwierzę zastygłe w bezruchu, zahipnotyzowane przez mijającego je drapieżnika.

Ash spojrział na zegarek. Chyba już niedługo powinien dotrzeć na miejsce. Przynajmniej wypoczął nieco podczas podróży... A właściwie wcale nie wypoczął. Ten sen —jakakolwiek była jego treść sprawił, że poczuł się raczej roztrzęsiony. A prócz tego czuł tępy ból głowy, jak zwykle kiedy budził się z tego koszmaru, którego nie potrafił sobie przypomnieć. Palcami dotknął wewnętrznych kącików oczu u nasady nosa i delikatnie przycisnął, aby spowodować ustanie bólu. Niestety, nie pomogło, ale wiedział, co jest niezawodnym lekarstwem. W pociągu nie było wagonu restauracyjnego i nie miał szansy, aby napić się czegoś mocniejszego. Może to i dobrze. Nie chciał, aby nowy klient wyczuł od niego alkohol przy pierwszym spotkaniu.

Oparł głowę o siedzenie i zamknął oczy, z papierosem zwisającym mu z kącika ust. Drobiny popiołu spadły na pogniecioną marynarkę.

Pociąg pędził przed siebie, przez wiejską okolicę, od czasu do czasu zwalniając i zatrzymując się, ale wsiadających i wysiadających było niewiele. Co jakiś czas za oknami migwały miasta i wioski, lecz w krajobrazie dominowały głównie łąki rozciągające się na zboczach wzgórz.

Podróż skończyła się dla Asha, kiedy pociąg zatrzymał się na skromnej wiejskiej stacyjce w Ravenmoor. Szybko poprawił krawat i zarzucił na ramiona płaszcz, który leżał na przeciwległym siedzeniu. Ściągnął z półki bagażowej czarną walizkę i małą torbę podróżną, po czym postawił je na podłodze i uchylił drzwi przedziału w momencie, gdy pociąg zatrzymał się z głośnie piskiem hamulców.

Stawiając nogę na stopniu, odwrócił się i sięgnął po bagaż, po czym zatrzasnął drzwi łokciem. Stał na peronie i zorientował się, że jest jedynym pasażerem wysiadającym na tej stacji. Wydawała się ona opuszczona i kompletnie pozbawiona śladów życia. Przyszła mu do głowy absurdalna myśl, że jest na jednej ze stacji widm, o których poprzednio wspominał. Potrząsnął głową zmieszany faktem, że to właśnie jemu przyszedł do głowy taki pomysł. Z budynku wyszła umundurowana postać, i kiwnęła niedbale ręką w stronę lokomotywy. Pociąg ruszył, a zawiadowca wrócił do budynku, nie zadawszy sobie nawet trudu, żeby sprawdzić, czy pociąg bezpiecznie odjedzie. Ash zaczekał, aż minie go ostatni wagon, po czym ruszył w stronę piętrowego gmachu stacji, mając w uszach oddalający się stukot kół pociągu. Ostatni wagon zniknął właśnie za zakrętem, kiedy Ash wszedł do ciemnego hallu.

Wewnątrz nie było śladu kolejarza, który odebrałby jego bilet. Przed okienkiem kasy biletowej stało dwoje staruszków.

Mężczyzna pochylał się nisko nad ladą, chcąc powiedzieć coś przez szczelinę w dolnej części szyby, przeznaczoną do podawania pieniędzy, ignorując lub zapominając o istnieniu specjalnych otworów na wysokości twarzy Ash przemierzył hall i wyszedł na ulicę.

Na zewnątrz nie parkował żaden samochód, nikt na niego nie czekał. Zmarszczył brwi i postawił bagaże na krawężniku. Spojrzał na zegarek. Stał tak chwilę, przyglądając się szosie, która, jak sądził, była główną ulicą wioski. W bezpośrednim sąsiedztwie dostrzegł kilka sklepów, bank, pocztę i pub „Ravenmoor Inn” dokładnie po przeciwnej stronie. Zapalił papierosa, włożył ręce do kieszeni i czekał na przyjazd samochodu. Żaden jednak nie zajeżdżał, tak więc zaczął nerwowo spacerować tam i z powrotem, przeklinając w duchu zimno i czując w gardle wielkie pragnienie.

Minęło kolejne dziesięć minut, zanim wzruszył ramionami, powrócił po pozostawione bagaże i przeszedł na drugą stronę jezdni.

Drzwi pubu otwierały się na przedsionek, skąd prowadziło dwoje drzwi do osobnych pomieszczeń barowych. Wszedł do tego po prawej. Znajdujący się tam goście mu poświęcili zbyt wiele uwagi. Pomimo że była już pora lunchu, Ash nie miał problemu ze znalezieniem wolnego miejsca przy kontuarze i przywołaniem barmana. Mężczyzna o szerokiej twarzy przerwał rozmowę z klientem i podszedł do nowego gościa z wyrazem pewności siebie charakterystycznej dla właściciela.

— Słucham pana? — zapytał beznamiętnym tonem.

— Wódkę — powiedział cicho Ash

— A do tego?

— Lód.

Właściciel spojrzał na niego przeciągle, zanim odwrócił się w stronę butelek z dozownikami. Postawił przed Ashem szklaneczkę i włożył do środka dwie kostki lodu wyciągnięte ze stojącego opodal wiaderka.

— Płaci pan...

— I szklaneczkę gorzkiego.

Kiedy barman oddalił się do kurka z piwem, aby napełnić wysoką szklanę, Ash położył przed sobą pieniądze i wypił połowę wódki. Oparł się o kontuar i zaczął rozglądać po sali. Pub różnił się od typowego baru kolejowego. Niski, belkowany strop i wielki kominiek wraz z wystawą końskich uprzęży zdradzały jego wiejski rodowód. Siedzący w rogu sali mężczyzna o twarzy wysmaganej wiatrem i pooranej sinoniebieskimi żyłami, wpatrywał się w niego zimnym, przenikliwym spojrzeniem. Trzej typowi biznesmeni, jedzący lunch przy malutkim, okrągłym stoliku, wybuchnęli nagle głośnym śmiechem. Niedaleko drzwi siedziało dwoje ludzi w średnim wieku, dotykając się kolanami i wpatrując się sobie nawzajem w oczy w sposób znamionujący konspiracyjne spotkanie kochanków. Obok kominka ulokowała się grupa miejscowych obywateli. Mężczyźni słuchali ze znużeniem swoich żon pograżonych w ożywionej rozmowie, podczas gdy oni sami kontemplowali w milczeniu uroki emerytury. W pubie dominował gwar przytłumionych rozmów, cienka mgła tytoniowego dymu i kwaśny zapach beczkowego piwa. Dla stałych bywalców było to miejsce miłe i przytulne, natomiast dla kogoś z zewnątrz wydawało się obce i raczej wrogie.

Odwrócił się w stronę barmana, kiedy postawił przed nim szklanę z piwem.

— Macie tu telefon? — zapytał Ash.

Barman kiwnął głową wskazując w stronę wyjścia.

— Jest tam, przy drzwiach.

Ash podziękował mu i zebrał resztę z kontuaru. Przeniósł swoje bagaże do stolika przy oknie, po czym powrócił po napoje. Upił odrobinę piwa, zanim przeniósł je wraz z wódką do swojego stolika. Zrzuciwszy płaszcz, ruszył do drzwi, zabierając z sobą resztkę wódki.

Telefon znajdował się w głębi przedsiionka. Ash podszedł do niego, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu drobnych i kładąc je na wąskiej półce w pobliżu aparatu. Rozgarniając bilon palcem, znalazł monetę dziesięciopensową, wsunął ją do otworu, wykręcił numer. Po chwili usłyszał kobiecy głos:

— Jenny, tu Dawid Ash. Daj mi Kate McCarrick, dobrze?

W odległości około stu mil, w Instytucie Badań Psychiki zadzwonił telefon. Stały tam półki wypełnione dziełami poświęconymi zjawiskom paranormalnym i parapsychologii, obok których znajdowały się segregatory zawierające opisy przypadków będących w sferze zainteresowań Instytutu. Pomiedzy regałami upchnięto szafki biurowe. Było tam też biurko, zavalone dokumentami, czasopismami i książkami. Opoдал uchylonych drzwi stało drugie, mniejsze, tak samo zarzucone papierzyskami, lecz obecnie nie używane.

Telefon dzwonił i po chwili z korytarza dobiegły odgłosy pośpiesznych kroków. Drzwi otworzyły się szerzej i do pokoju weszła kobieta o wyglądzie matrony. Miała na sobie płaszcz, a jej policzki zaróżowione były od zimna oraz od wysiłku po pokonaniu schodów na pierwsze piętro, gdzie znajdował się Instytut. W rękę trzymała dużą, wypchaną torebkę i brązową kopertę z opasłym maszynopisem. W pośpiechu podniosła słuchawkę telefonu.

— Biuro Kate McCarrick — odezwała się z trudem łapiąc oddech.

— Kate?

— Panna McCarrick jest w tej chwili nieobecna.

— Kiedy wróci? — zapytał Ash ze zniecierpliwieniem w głosie.

— Dawid, to ty? Mówi Edith Phipps.

— Cześć, Edith. Nie powiesz mi chyba, że pracujesz teraz w biurze.

Zaśmiała się cicho.

— Nie, nie. Dopiero wpadłam. Umówiliśmy się z Kate na lunch. Skąd dzwonicz?

— Nie pytaj. Słuchaj, może spróbowałabyś odszukać Kate?

— Jasne... — Edith podniosła wzrok w chwili, gdy ktoś wchodził do pokoju. — Właśnie weszła. Oddaję jej słuchawkę.

Wyciągnęła rękę w stronę Kate McCarrick, która zdobyła się na powitalny uśmiech, po czym uniosła pytająco brwi.

— To Dawid Ash — powiedziała starsza z kobiet. — Chyba nie jest w najlepszym humorze.

— A czy kiedykolwiek był? — odparła Kate sięgając po słuchawkę i siadając za biurkiem. — Cześć, Dawid. Gdzie mój komitet powitalny?

— Co takiego? Skąd dzwonisz?

— A skąd, do diabła, mogę dzwonić? Jestem w Ravenmoor. Powiedziałaś, że ktoś ma na mnie oczekiwać na dworcu.

— Tak się z nimi umawiałam. Zaczekaj, zajrzę do tego listu.

Kate podeszła do szafki i ze środkowej szuflady, po chwili poszukiwań w imiennej kartotece, wyjęła kartę z nazwiskiem MARIELL, po czym otworzyła ją. Wewnątrz były tylko dwa listy. Kate podeszła z powrotem do biurka.

Ze słuchawki telefonu dobiegł zdenerwowany głos Asha:

— Kate, może wreszcie...

Podniosła słuchawkę do ucha.

— Mam to przed sobą... Tak, niejaka panna Tessa Webb potwierdza w liście, że wyjdzie po ciebie na stację w Ravenmoor. Złapałeś ten o 11.15 z dworca Paddington, tak?

— Tak — dobiegła odpowiedź. — I pociąg nie miał spóźnienia. Więc gdzie jest ta kobieta?

— Dzwonisz ze stacji?

W słuchawce zapadła na chwilę cisza.

— Nie, z pubu po drugiej stronie ulicy.

Ton głosu Kate zmienił się na bardziej stanowczy:

— Dawid...

W pubie Ash dopił resztkę wódki.

— Na Boga, Kate, przecież jest pora lunchu — powiedział do telefonu.

— Niektórzy ludzie również jedzą coś na lunch.

— Ja nie. Nigdy nie jem na pusty żołądek. No, to co mam teraz robić?

— Zadzwoń do nich — powiedziała Kate. — Masz przy sobie numer?

— Nigdy mi go nie dałaś.

Prędko przewertowała leżące przed nią listy.

— Nie, przepraszam. Panna Webb nie podała mi go w żadnym z listów. Rozmawialiśmy przez telefon, ale to ona zawsze do mnie dzwoniła. Głupio z mojej strony, że nie zapytałam wtedy o ten numer, ale nie powinieneś mieć problemu ze znalezieniem go w książce telefonicznej pod Marietl. Z listów wnioskuje, że panna Webb jest jakąś krewną rodziny, a może tylko sekretarka. Dom nazywa się Edbrook.

— Dobra. Mam tu gdzieś adres. Zadzwonię tam.

Głos Kate stał się łagodny:

— Dawid...

Ash zawahał się, chcąc odwiesić słuchawkę.

— Jak już zadzwonisz — powiedziała Kate — to proszę, zaczekaj na naszą klientkę na dworcu. Westchnął ciężko.

— Uważasz, że kształtuję niewłaściwy obraz Instytutu, prawda? No, już dobrze, to

mój pierwszy i ostatni drink w dniu dzisiejszym. Pogadamy później, okay?

W biurze Edith dostrzegła zatroskanie kryjące się pod uśmiechem pracodawczyni.

— W porządku, Dawid — rzekła Kate. — Powodzenia w polowaniu na duchy.

Ash pożegnał się oschle:

— Życzę ci miłego dnia, Kate.

Kate w zamyśleniu odłożyła słuchawkę telefonu, a Edith, siedząca już na krześle po drugiej stronie biurka, pochyliła się z wyczekującym wyrazem twarzy.

— Jakież problemy? — zapytała.

Kate spojrzała na nią, starając się uśmiechnąć ciepłej.

— Nie. Wszystko będzie w porządku. Po prostu klientka me wyszła po niego na dworzec. Myślę, że pomyliły jej się godziny albo coś w tym rodzaju.

Zaczęła przerzucać papiery w poszukiwaniu książki zleceń. Po chwili ją odnalazła.

— Dwa seanse dla ciebie na dzisiejsze popołudnie, Edith — powiedziała, znalazłszy żadaną stronicę. — Pewna niedawno owdowiała kobieta i starsze małżeństwo, które pragnie potwierdzenia faktu śmierci syna. Wyobraź sobie, że zaginął podczas konfliktu falklandzkiego.

— Biedni rodzice, tyle lat niepewności i zamartwiania się. Chcą, żebym skontaktowała się z jego duszą?

Kate kiwnęła głową.

— Szczegóły podam ci przy lunchu — odsunęła krzesło i wstała. — Czuję, że mogłabym zjeść konia z kopytami, ale liczę na to, że mnie powstrzymasz.

— Może zjemy go na spółkę.

— Nie jesteś zbyt pomocna, Edith.

Obdarzona talentem mediumicznym Edith uśmiechnęła się.

— Chyba będziemy musiały sobie nawzajem przypominać o kaloryczności dań podczas jedzenia. Ale, swoją drogą, ty mogłabyś przybrać parę kilogramów bez większej szkody. A teraz opowiedz mi nieco więcej o tej wdowie...

Ash wertował miejscową książkę telefoniczną, którą odnalazł na półce pod aparatem telefonicznym. Mamrotał do siebie, gdy przewracał kartki z nazwiskami zaczynającymi się od M.

— Gdzie, do cholery, może być Mariell? A może to się pisze przez dwa R? Nie ma takiego nazwiska.

Zajrzał na koniec książki, szukając teraz nazwiska Webb. Widniało ich kilka, ale przy żadnym z nich nie było litery T, mogącej oznaczać Tessę. I żaden ze znalezionych przez niego Webbów nie mieszkał w posiadłości o nazwie Edbrook. Zaklął pod nosem. Panna Webb powinna powiedzieć Kate, że Manellowie mają zastrzeżony numer.

Już miał zatrzaskać książkę, gdy poczuł na ramieniu delikatne dotknięcie czyjejś ręki i powiew lodowato zimnego powietrza.

Rozdział 2

Była drobnej budowy, ciemnowłosa. Miała bladą cerę i delikatne rysy. Uśmiechała się wyczekująco.

— Dawid Ash? — zapytała.

Przytaknął ruchem głowy, przez chwilę czując się w idiotyczny sposób niezdolny do wypowiedzenia słowa. W jej oczach igrała teraz iskierka wesołości.

— A pani jest panną Webb, prawda? — wykrztusił w końcu.

— Nieprawda — odpowiedziała dziewczyna. — Nazywam się Christina Mariell. Panna Webb jest moją ciotką. Przekonałam ją, aby pozwoliła mi wyjechać po pana na dworzec.

Przechyliła lekko głowę przyglądając mu się z uwagą, po czym odezwała się znowu:

— Przepraszam za spóźnienie.

Odchrząknął, zdając sobie sprawę, że całe jego ciało jest napięte. I uśmiechnął się do niej.

— W porządku, nic się nie stało — powiedział. — I tak musiałem wstąpić tu, aby się posilić.

Ubrana była bardzo niewyszukanie w długi, dopasowany do zgrabnej figury płaszcz z postawionym kołnierzem i poduszczkami wypychającymi ramiona. Ash, choć nie miał pojęcia o modzie, zastanawiał się, czy dziewczyna ubrana jest według najnowszych trendów, czy też jest beznadziejnie staromodna.

— Pragnęłam poznać pana jako pierwsza powiedziała, jak gdyby chcąc usprawiedliwić swoją obecność.

Ash zdziwił się.

— Naprawdę?

— To takie ekscytujące. To znaczy, pańskie polowania na duchy...

— Bo ja wiem. W jaki sposób pani mnie poznała? Dziewczyna pokazała mu trzymany w dłoni egzemplarz książki, na okładce której znajdowało się jego czarno—białe zdjęcie.

— Jest pan popularną osobą — powiedziała. Ash skrzywił twarz w uśmiechu.

— To prawda. Wszystkiego sprzedano pewnie ze trzysta egzemplarzy. Czy mogę postawić pani drinka?

— Moi bracia czekają na nas w domu. Sądzę, że powinniśmy już jechać.

Ukrył rozczarowanie.

— No cóż... Skoro tak, to zaraz przyniosę bagaże z baru.

Odwróciła się, mówiąc:

— Zaczekam na zewnątrz.

Spojrzał w ślad za nią, lekko zamroczony. Po chwili otrząsnął się i powrócił do pubu, aby wypić do końca piwo oraz zabrać walizkę i torbę. Skinął głową w kierunku zylastego mężczyzny, który wciąż obserwował go beznamiętnym wzrokiem spod

daszka czapki, po czym wyszedł do przedsionka, a stamtąd na zewnątrz, w chłód jesiennego dnia.

Zatrzymał się na moment, podziwiając samochód, w którym czekała na niego Christina Mariell. Był to Wolseley, model, jakiego nie widział już od wielu lat, a nawet wtedy jedynie w czasopiśmie poświęconym starym pojazdom. Zarówno karoseria jak i koła samochodu wydawały się na pierwszy rzut oka być w znakomitym stanie, a silnik pracował cicho i równomiernie. Dziewczyna uchyliła drzwi i uśmiechnęła się zapraszająco.

Ash położył walizkę na tylnym siedzeniu, sam zaś usiadł z przodu, trzymając torbę na kolanach.

— Niezły wóz — stwierdził. — Chyba niewiele ich już można spotkać na drogach.

Nie odpowiedziała, lecz wrzuciwszy pierwszy bieg, skręciła i włączyła się do ruchu. Kiedy już jechali główną ulicą, zapytała:

— A pan czym jeździ?

— Och... obecnie niczym. Dopiero za cztery miesiące oddadzą mi prawo jazdy.

Spojrzała na niego z rozbawionym zdziwieniem.

— Nie przyszło pani do głowy, że mogę korzystać z Kolei Brytyjskich z wyboru, prawda?

Christina przerzuciła spojrzenie na drogę przed nimi, lecz na jej twarzy nadal igrał filuterny uśmiech.

— No więc, proszę mi powiedzieć — odezwał się Ash. Wyglądała na zaskoczoną, ale nadal uśmiechała się.

— Co powiedzieć?

— Dlaczego pani rodzina tak bardzo nalegała, abym to właśnie ja podjął się tego zadania?

Patrzyła przed siebie.

— Ponieważ ma pan świetną reputację jako ten, który rozwiązuje zagadki związane ze zjawiskami paranormalnymi.

— Wolę je nazywać normalnymi, lecz rzadko występującymi — powiedział. — Ale przecież Instytut zatrudnia wielu świetnych fachowców w tej dziedzinie.

— Jestem pewna, że jest kilku prawie dobrych, ale wydaje mi się, że pan jest najlepszy. Mój brat, Robert, zrobił w tej sprawie rozeznanie, zanim zdecydowaliśmy się zatrudnić właśnie pana. Zresztą został pan zarekomendowany przez panią McCarrick. A poza tym, czytaliśmy pańskie artykuły na temat zjawisk para... — zaśmiała się cicho — przepraszam, normalnych, i oczywiście pańską książkę.

— My, to znaczy kto? — zapytał z ciekawością.

— Obaj moi bracia, Robert i Simon. Nawet ciocia wykazywała żywe zainteresowanie.

— Ciocia?

— Ciocia Tessa. Siostra mojej matki...

— Panna Webb?

Christina przytaknęła ruchem głowy.

— Cioteczka zajmowała się nami od czasu śmierci naszych rodziców. A może należałoby powiedzieć, że to my zajmowaliśmy się nią.

Zabudowania po obu stronach drogi stawały się coraz rzadsze, gdy samochód opuścił wioskę. Nagie pojawiła się przysadzista wieża kościoła, wznosząca się ku niebu pomiędzy nagrobkami cmentarza. Jakaś postać w czerni zwróciła swą bladą, umęczoną żalobą twarz w ich kierunku, kiedy z dużą szybkością mijali cmentarz.

— I wszyscy byliście świadkami tego... nawiedzenia? — zapytał Ash, kierując ponownie uwagę w stronę dziewczyny. — Chyba tak właśnie panna Webb określiła to w liście do Instytutu. Czy wszyscy doświadczyliście tego zjawiska?

— Och, tak. Najpierw Simon zobaczył...

Ash podniósł dłoń.

— Jeszcze nie. Proszę nic mi jeszcze nie mówić. Najpierw muszę sam przeprowadzić obserwacje i zobaczymy, co uda mi się stwierdzić.

— Nie będzie pan wiedział, czego szukać.

Zauważył, że jej włosy są koloru kasztanowego i zmieniają swój odcień w zależności od oświetlenia, a oczy niebieskie, z lekkim tonem szarości.

— To niepotrzebne na tym etapie — wyjaśnił. — Jeśli naprawdę nawiedzają was duchy, to przecież i tak wkrótce się o tym przekonam.

Znowu się uśmiechnęła.

— Nie chce pan drobnej wskazówki?

Odpowiedział uśmiechem.

— Ani mru—mru. Jeszcze nie teraz.

Dwie małe tabletki dziwnie ciążyły na języku Edith, jak duże, trudne do przełknięcia kęsy chleba. Wypiła łyk wody mineralnej i połknęła je w końcu. No, małe diabły, pomyślała. Dość już tego, teraz do roboty. Tak, żeby stara, zmęczona krew mogła normalnie płynąć w żyłach.

Podziękowała kelnerowi z uśmiechem, gdy ten postawił przed nią talerz z filetemi rybnymi, po czym zerknęła na Kate, która nachmurzonym wzrokiem taksowała jajko i sałatkę z anchois na swoim talerzu. Edith potrząsnęła głową.

— To ja powinnam przestrzegać diety — powiedziała z cieniem winy w głosie.

— To cena, jaką muszę zapłacić za folgowanie sobie podczas weekendu — odpowiedziała Kate, wyciskając sok z cytryny na sałatę. — Chociaż pokuta to jedno, a masochizm to co innego — sięgnęła po kieliszek białego wina i upiła spory łyk.

Wzruszyła ramionami.

— Ale wino pozwoli mi to jakoś znieść.

Edith uniosła szklaneczkę z wodą mineralną w geście toastu, jak gdyby piła szampana. Na twarzy Kate, dookoła jej oczu i w okolicy ust, dostrzegła drobne zmarszczki, pierwsze oznaki, że młodość zaczyna ustępować dojrzałości. Obecnie czterdziestka nie jest uważana za „koniec najlepszych lat” kobiety, a Kate reprezentowała ten typ urody, który towarzyszy kobiecie do starości. Nie to, co ja, pomyślała Edith, która nigdy nie odznaczała się szczególną urodą. Dla pewnych ludzi

proces starzenia się jest wyzwoleniem z brzydoty, która w starszym wieku uważana bywa za coś nieodłącznego. Może właśnie dlatego ludzie starzy są do siebie tak bardzo podobni, osiągają pewien rodzaj wspólnej dla wszystkich fizycznej równowagi, prawie taki sam, jaki ma miejsce zaraz po narodzinach.

— Edith, błędzisz gdzieś daleko myślami — wyrwał ją z odrętwienia głos Kate. Edith zamrugła oczami.

— Och, przepraszam. Mój umysł coraz częściej sprawia mi takie psikusy.

— To normalne w twoim przypadku. Jesteś przecież medium.

— Naszym myślom potrzebny jest kierunek.

— Ale nie zawsze. Pamiętaj, że to jest lunch. Powinnaś się odprężyć.

— Tak jak ty — Edith odezwała się z lekką naganą w głosie. — Kiedy ty ostatnio tak naprawdę odprężyłaś się, Kate?

Druga kobieta wydawała się szczerze zaskoczona.

— Och, zupełnie nie mam takich problemów. Powinnaś zobaczyć mnie w domu.

— Właśnie się nad tym zastanawiam. W Instytucie jest zawsze pełno roboty, a właśnie zbliża się termin otwarcia Konferencji Parapsychologicznej...

— To fakt. Sam udział w dorocznej konferencji wiąże się zawsze z dużym wysiłkiem, a tym razem należymy do organizatorów.

— No właśnie. Poza tym jeszcze prowadzicie obecnie wiele badań.

— Tak się składa. Na szczęście, w większości przypadków nie potrzeba wiele czasu, aby badane zjawiska zakwalifikować do zupełnie naturalnych, pomimo iż pewne okoliczności mogłyby wskazywać, że jest inaczej.

— Masz rację, ale są też takie przypadki, które zabierają nam tygodnie, a czasami nawet miesiące wyłożonej pracy,

— Prawda. Ale właśnie te przypadki cenimy sobie najbardziej — powiedziała Kate krojąc jajko. — Tak sobie myślę, że przypadek, nad którym pracuje właśnie Dawid, może się okazać interesujący. To może być prawdziwy przypadek nawiedzonego domu. Mam nadzieję, że Dawid da sobie radę.

Edith pochyliła się, chwytając za nóż i widelec.

— Martwisz się o niego? — zapytała.

Na twarzy Kate pojawił się nieobecny uśmiech.

— Już nie tak bardzo, jak kiedyś.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Czy to znaczy, że już nie jesteście razem, czy też Dawid doszedł wreszcie nieco do siebie?

— Nie zdawałam sobie sprawy, że nasz związek jest publiczną własnością.

— A dlaczego miałyby być tajemnicą? Ty jesteś rozwiedziona, a on jest wciąż kawalerem, dużo czasu spędzacie razem; to chyba wydaje się dość logiczne, prawda?

Kate potrząsnęła głową.

— Nasz związek nigdy nie był poważny. Taki sobie przelotny romans.

— Teraz jeszcze bardziej przelotny.

— O, tak. Zdecydowanie bardziej.

Edith zaczęła jeść swoją rybę i postanowiła nie dodawać więcej soli.

— Dawid to niezwykły facet — odezwała się po chwili. — Dziwię się, że straciłaś dla niego zainteresowanie.

— A czy ja powiedziałam, że tak?

— W takim razie on...

— Dawida czasami tak bardzo pochłania jego własny cynizm, że nie pozostaje mu już zbyt wiele miejsca na rozwinięcie jakiegoś związku.

— A może za bardzo pochłania go praca — wtrąciła Edith.

— W jego przypadku to na jedno wychodzi.

Starsza z dwóch kobiet zastanawiała się przez chwilę nad ostatnim zdaniem.

— Chyba rozumiem, co masz na myśli... On jest tak bardzo uprzedzony do wszystkiego, co wiąże się ze sferą paranormalną, że czasami zastanawiam się, dlaczego pozostajemy w przyjaźni.

Uśmiechając się, Kate wyciągnęła dłoń i dotknęła ręki Edith.

— Nie jest to wynik jakiejś osobistej urazy Dawida. On uważa, że ludzie twojego pokroju, obdarzeni talentem mediumicznym, są bardzo szczerzy w swoim działaniu, chociaż błędą. Wydaje mi się, że Dawid docenia to, co robisz dla nieutulonych w żalu rodzin zmarłych. Natomiast nie cierpi szarlatanów, którzy żerują na ludzkiej naiwności, aby się ich kosztem wzbogacić. Ty jesteś inna i Dawid to rozumie. On naprawdę wierzy, że potrafisz pomóc ludziom.

— A jak ty sobie z tym radzisz, Kate? Jak udaje ci się pogodzić dwa przeciwstawne poglądy?

— Badania prowadzone przez nasz Instytut muszą mieć jakąś równowagę. Potrzebni nam są ludzie reprezentujący zdrowy sceptycyzm — tacy, jak Dawid — po to, aby uwiarygodnić odkrycia prawdziwych zjawisk paranormalnych.

— Nawet jeśli Dawid jest przeciwny wszystkim teoriom na temat istnienia takich zjawisk — Edith zniżyła głos, kiedy przy stoliku obok zasiadła jakaś para.

Restauracja wypełniała się gośćmi i narastał gwar rozmów.

— Wiele mediów nie cierpi Dawida za jego negatywny, wojowniczy stosunek. Traktują go jak zagrożenie, podważające ich niezwykle zdolności.

W głosie Kate zabrzmiała stanowczość:

— Ale wiele osób postronnych uważa poglądy Dawida za pozytywny objaw. Spójrzmy na to z innej strony, Edith. Dawid cieszy się reputacją tego, który zdemaskował wielu oszustów i wyjaśnił wiele przypadków nawiedzenia domów przez duchy w kategoriach racjonalnych i materialnych.

— Mówisz, jakbyś sama była po stronie sceptyków.

— Znasz mnie przecież zbyt długo, aby tak sądzić. Ale jako dyrektor instytutu muszę być otwarta na wszystkie możliwości, niezależnie od tego, ile jest w nich logiki. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

— Ależ naturalnie — odpowiedziała Edith, a w jej oczach pojawiły się ogniki

wesołości, kiedy dodała — i wiem, jak często akceptujesz to, co podpowiada ci logika, podczas gdy instynkt wskazuje na coś przeciwnego.

Kate wybuchnęła śmiechem i uniosła kieliszek. Wypiła łyk wina i bez entuzjazmu powróciła do jedzenia sałatki.

Edith przybrała poważny wyraz twarzy. Postanowiła nadal drażyć temat.

— Ale w przypadku Dawida mamy do czynienia ze znacznie większym konfliktem wewnętrznym — odłożyła nóż i widelec i wypiła odrobinę wody mineralnej, podczas gdy Kate bacznie jej się przyglądała.

— Nie rozumiem — powiedziała młodsza z kobiet.

— Czyżby? Ale na pewno masz jakieś podejrzenia? Na Boga, przecież znasz go za dobrze, aby o tym nie wiedzieć. Ton głosu Kate był łagodny.

— Edith, do czego właściwie zmierzasz? Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że Dawid ma jakiś mroczny sekret, który ukrywał przede mną przez cały ten czas? Coś tajemniczego, jak na przykład swoją męskość? Jeśli o to chodzi, to zapewniam cię, że nie mogłabyś się bardziej pomylić...

Edith powstrzymała ją gestem ręki, wciąż uśmiechając się.

— Ależ wierze ci, Kate. Miałam na myśli coś o wiele poważniejszego. Czy zdajesz sobie sprawę, że Dawid ma ten dar? A może należałoby nazwać go jego przekleństwem? — powiedziała potrząsając głową. — Jego zdolności psychiczne są przezeń tłumione, ale z pewnością jest nimi obdarzony. Jego problemem jest to, że nie przyznaje się do tego, nawet samemu sobie. A ja nie wiem dlaczego.

— Na pewno jesteś w błędzie — zaprotestowała Kate. — Przecież wszystko, co robi, każde słowo... — machnęła ręką z rozdrażnieniem. — Przez całe życie podważa istnienie takich rzeczy.

Edith wybuchnęła urywanym śmiechem.

— Jeśli wybaczysz mi to sformułowanie, to powiem, że nie znasz go tak dobrze jak ja. Moje myśli wiek razy skrzyżowały się z jego myślami, ale zawsze udawało mu się to przerwać i zablokować. To u niego działa niemal automatycznie.

Edith grzebała widelcem w talerzu, lecz jej uwaga skierowana była gdzie indziej.

— Czy możesz sobie wyobrazić zamęt w jego biednej głowie? Tak, jak powiedziałaś, spędził całe lata na obalaniu tego, o czym podświadomie wie, że jest prawdziwe.

— Nie potrafię tego zaakceptować, Edith. Dawid jest człowiekiem zbyt trzeźwo myślącym. Edith spojrzała prosto w oczy Kate.

— Trzeźwo myślącym? Czy jesteś tego absolutnie pewna, Kate?

Kate nie odpowiedziała na to pytanie, ale jej niezdecydowanie wydawało się oczywiste.

Rozdział 3

Wolseley pędził wiejskimi drogami. Dziewczyna dobrze prowadziła samochód, choć Ash wolałby, żeby jechała nieco wolniej. Po obu stronach drogi rósł gęsty las, a siedziby ludzkie stawały się coraz rzadsze. Minęli budkę telefoniczną stojącą na

rozdrożu. Była częściowo zdewastowana i otoczona gęstymi kępami traw. Zobaczył na skraju drogi gawrona szarpiącego dziobem martwe ciało jakiegoś małego gryzonia. Ptak zszedł z drogi trzymając w dziobie kawałek padliny, spłoszony przez nadjeżdżający samochód. Od czasu do czasu w gęstej zasłonie drzew pojawiał się prześwit i wtedy zobaczyć można było pola i wzgórze rozciągające się za lasem.

Ash co jakiś czas zerkał na siedzącą obok dziewczynę. Zdał sobie sprawę, że podobają mu się jej łagodne rysy i lekko skrywany uśmiech. Christina nuciła jakąś melodię, w której było coś dzieciennego. Zmieniała biegi płynnym ruchem dłoni, delikatnie trzymając drażek, i, pomimo że mechanizm przekładni był stary, zdawał się nie stawiać żadnego oporu.

Pogoda była nadal fatalna. Ciemne chmury tylko w nielicznych miejscach przecinały skrawki jaśniejszego nieba.

Rozmowa między Ashem i dziewczyną urwała się i, pomimo że Christina raz czy dwa razy odwróciła się w jego stronę z uśmiechem, jej uwaga natychmiast powracała do drogi, tak że nawet nie miał okazji go odwzajemnić.

Wkrótce samochód skręcił w boczną żwirową aleję, przejeżdżając przez szeroko otwartą, wielką, ozdobną bramę wjazdową. Po krótkim leśnym odcinku wjechali na teren ogrodu, który rozciągał się po obu stronach drogi. Początkowo był to trawnik, z rzadka jedynie urozmaicony drzewami i krzewami, lecz im bardziej zbliżali się do domu, tym bardziej różnorodna stawała się zieleń; były tam rabaty kwiatowe i strzyżone żywopłoty oraz krzewy. I wreszcie ukazała im się szara bryła budynku. Edbrook prezentował się imponująco, pomimo pretensjonalnej architektury apsyd i wykuszowych okien, których mroczna niegościnnosć psuła harmonię budowli. Ash poczuł dziwny niepokój, który przyprawił go o kołatanie serca. Spojrzał w kierunku domu i zastanowiło go to niewytłumaczalne uczucie.

Christina zatrzymała samochód na podjeździe, w pobliżu kamiennych schodów wiodących do głównych drzwi wejściowych. Wyłączyła silnik i wyskoczywszy z samochodu, energicznie weszła na schody i w tej samej chwili frontowe drzwi zaczęły się otwierać.

Ash wysiadł nie spiesząc się, sięgnął do bagażnika samochodu po walizkę i zatrzymał się na chwilę na podjeździe, rozglądając się dookoła.

We frontowych drzwiach stała starsza kobieta, przyglądając mu się z niepokojem.

— Spóźniłam się, ciociu — usłyszał głos Christiny — ale odnalazłam pana Asha.

Wszedł po schodach, a kobieta nazwana ciocią otworzyła szeroko drzwi. W świetle zobaczył jej siwe włosy i pooraną zmarszczkami twarz. Cofnęła się do środka, przepuszczając Christinę. Ash ruszył za nią, skinąwszy głową na powitanie.

— Witam panią, panno Webb.

Nerwowo taksowała go wzrokiem, jakby podejrzewała, że nie jest tym, za którego się podaje.

— Dziękuję panu za przybycie, panie Ash — odezwała się w końcu, widocznie usatysfakcjonowana oględzinami.

Minęła dłuższa chwila, zanim jego wzrok przyzwyczał się do ciemności panującej wewnątrz olbrzymiego hallu. Światło słoneczne nie było w stanie rozproszyć panującego tu mroku, a ciemna dębowa boazeria na ścianach potęgowała ponury klimat wnętrza. Naprzeciw wejścia zaczynały się szerokie, masywne schody wiodące

na piętro, zakończone galerią o ciemnej balustradzie. Na wprost hall zwężał się w kierunku tyłu domu i po obu jego stronach znajdowały się drzwi.

U stóp schodów stali dwaj mężczyźni. Starszy z nich — według oceny Asha mógł mieć jakieś trzydzieści pięć lat lub nieco więcej — miał na sobie nienagannie skrojony garnitur, białą koszulę i krawat. Wystąpił do przodu z wyciągniętą ręką.

— Proszę pozwolić, że się przedstawię — przemówił w sposób równie oficjalny, jak oficjalny był jego strój. — Nazywam się Robert Mariell, a to jest mój brat, Simon.

Młodszy mężczyzna podszedł do Asha wykazując mniejszą rezerwę niż jego starszy brat, choć uścisk jego dłoni był lekki. Nosił luźne spodnie o sportowym kroju, białą koszulę rozpiętą pod szyją i pulower. Miał krótkie włosy, co wraz z jego strojem nadawało mu wygląd wesołego dziecka. Niemniej wrażenie to zniknęło, kiedy powitał się z Ashem w równie sztywny i oficjalny sposób, jak poprzednio jego brat.

Ash dostrzegł, że w ciemnościach, za plecami mężczyzn coś się poruszyło. Drzwi umieszczone pod schodami powoli otworzyły się i rozległo się groźne warczenie psa.

Ash zastygł w przerażeniu. Pies należał do nie znanej mu rasy. Był duży i miał potężnie zbudowaną pierś, czarną kręconą sierść i kwadratową, płaską czaszkę z masywną szczęką. Zwierzę zbliżyło się ze wzrokiem wlepionym w nieznanomego.

— A to jest Tropiciel — powiedział Robert Mariell nachylając się, aby poklepać psa po boku. Zwierze podniosło łeb, nie spuszczać z oczu intruza.

— Proszę nie wpadać w panikę. On szybko przyzwyczaja się do obcych.

Raczej bez paniki, ale z niepokojem, Ash odpowiedział:

— Jeśli tylko był ostatnio dobrze karmiony...

Simon Mariell wybuchnął śmiechem.

— Nie pozwolimy, aby pana niepokoił. No, już, Tropicielu, do piwnicy, tam jest twoje miejsce — lekko popchnął psa w stronę otwartych drzwi i zwierzę natychmiast usłuchało.

Zwróciwszy uwagę na wyraz zaskoczenia na twarzy Asha, starszy z braci dodał:

— To *bouvier des Flandres*, belgijski pies pasterski, raczej rzadka rasa i piękny egzemplarz, musi pan przyznać. Potrafią być bardzo nieprzyjemne, kiedy się je rozdrażni i są rzeczywiście tak silne, jak na to wyglądają. Znakomicie nadają się do odstraszenia nieproszonych gości.

Ash odprężył się dopiero, gdy zamknięto drzwi do piwnicy.

— A teraz, może zjadłby pan z nami lunch? — zaproponował Robert Mariell. — Jest pan pewnie głodny po podróży.

— O, nie. Przekąsiłem już coś we wsi — odmówił Ash.

— Mam nadzieję, że moja siostra nie kazała panu czekać zbyt długo.

Ash odwzajemnił uśmiech Christiny, po czym rozejrzał się w hallu i rzucił okiem na galerię.

— Najchętniej rozpakowałbym się i zrobił małą inspekcję domu i jego okolicy.

Simon ponownie dołączył do brata, z rękoma w kieszeniach spodni.

— Dlaczego interesuje pana otoczenie domu? Przecież, jak dotąd, nasze spotkania

z duchami zawsze miały miejsce wewnątrz.

— Mogą istnieć jakieś zewnętrzne przyczyny tego, co dzieje się tutaj — odpowiedział Ash.

— Podziemne źródła, osiadanie terenu, zapomniane podziemne przejścia... — zasugerował Robert.

— Widzę, że przestudiował pan to zagadnienie.

— To wszystko jest w pańskiej książce. Niemniej nie sądzę, żeby pan znalazł cokolwiek z tych rzeczy w naszym ogrodzie.

— Czy macie państwo szczegółową mapę posiadłości?

Simon wtrącił się do rozmowy:

— Mój Boże, nic takiego nie będzie panu potrzebne. Źródło problemu leży gdzieś tu, w domu. Sądzę, że powinniśmy panu opowiedzieć o tym, co każde z nas widziało...

Na to odezwała się Christina:

— Nie, Simonie, pan Ash nigdy nie pracuje w ten sposób. Nie lubi, żeby ktokolwiek naprowadzał go na trop.

Ash przerzucił spojrzenie na Christinę. Ciotka Tessa — panna Webb — nadal stała przy otwartych drzwiach, jakby spodziewała się, że Ash za chwilę wyjdzie.

— Powiedzmy, że na początek staram się wczuć w klimat miejsca, a potem badam strukturę budowli. I cokolwiek tutaj odkryję — niezależnie od tego, czy zjawisko to da się wyjaśnić, czy nie — możecie być państwo pewni, że rezultat mojego badania pozostanie prywatną sprawą pomiędzy wami a Instytutem. Chyba że zmienicie zdanie i zdecydujecie się na publiczne ujawnienie całej sprawy.

Zaczął wchodzić na schody, kiedy jeszcze raz powstrzymał go głos Roberta.

— W takim razie oznacza to, że wierzy pan w istnienie rzeczy niewytłumaczalnych. Odniosłem bowiem wrażenie, że w ogóle nie daje pan wiary w istnienie zjawisk nadprzyrodzonych.

— Niewytłumaczalne niekoniecznie musi oznaczać nadprzyrodzone — odparł Ash z nutą rezygnacji w głosie. — Uzmysławia jedynie fakt istnienia pewnych fenomenów, które nie dają się naukowo uzasadnić. Przynajmniej na razie.

Robert wpatrywał się w niego z twarzą pozbawioną wyrazu, lecz gdy Ash odwracał się, by kontynuować wspinaczkę po schodach, zauważył, że Christina i Simon wymieniają porozumiewawcze uśmiechy.

Rozdział 4

Ciotka Tessa szła przed nim mrocznym korytarzem, z przygarbionymi ramionami, stąpając głośno po drewnianej podłodze. W powietrzu czuło się wilgoć i zapach kurzu, jakby w domu nigdy nie otwierano okien. Jedyne okno w korytarzu, znajdujące się po jego przeciwnej stronie, było częściowo zasłonięte grubą kotarą, więc światło słoneczne nie docierało do środka.

Kobieta idąca przed nim zatrzymała się, żeby wyjaśnić mu, iż łazienka znajduje się po prawej stronie, w dalszej części korytarza. Po chwili otworzyła drzwi po lewej.

Zatrzymała się, pozwalając mu przejść, po czym stanęła w drzwiach, kiedy on zrzucił bagaże na łóżko.

— Przepraszam, że nie wyjechałam po pana na stacje... — zaczęła.

Ash pokiwał głową, zmęczony ciągłymi przeprosinami.

— Och, naprawdę nic się nie stało.

— Christina wic, jak przeforsować swoje zachcianki — tu uśmiechnęła się ze smutkiem. — Schowała moje kluczyki od samochodu, żeby nie mogła po pana wyjechać.

Ash zdziwił się.

— Tak bardzo zależało jej, aby odebrać mnie z dworca?

Odezwała się melancholijnie, jakby wspominała dawne czasy:

— Ona uwielbia wyglupy. Oni wszyscy miewają zwariowane pomysły — nagle wyprostowała się i wyrwała z zamyślenia, odzyskując poprzednią żwawość. — Gdyby pan czegoś potrzebował, to proszę mi dać znać; moje pokoje są na drugim piętrze. Obiad mamy o siódmej, więc ma pan sporo czasu, aby rozejrzeć się po domu.

— I po ogrodzie — dodał.

— Tak, tam również.

Wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Ash omiół spojrzeniem pokój, czerpiąc ulgę z faktu, że był oświetlony (choć raczej słabo w tej chwili) światłem dziennym, wpadającym przez okno na południowej ścianie budynku. Łóżko było duże i miało po obu końcach solidne drewniane płyty. Sprawdził miękkość materaca, który okazał się bardziej wygodny, niż się spodziewał. Naprzeciw łóżka stała wielka szafa garderobiana, a przy drzwiach wysoka komoda z szufladami. Przy łóżku dostrzegł nocny stolik z lampą, obok mały sekretarzyk, również z lampą, a podłogę przykrywał ogromnych rozmiarów dywan. Na parę dni w zupełności wystarczy, pomyślał Ash. Nie widział powodu, aby badania i pomiary miały zabrać mu więcej czasu, pomimo że uprzedził Mariellów, iż mogą potrwać dłużej. Nie wiadomo dlaczego, ale wolałby niepotrzebnie nie przedłużać pobytu.

Otworzył walizkę, przerzuciwszy płaszcz przez oparcie krzesła, i zabrał się do wypakowywania przyrządów potrzebnych do badań. Były tam dwa magnetofony, dwa aparaty fotograficzne z lampami błyskowymi i czujnikami pojemnościowymi, składane statywy, termometry, szkło powiększające, taśma miernicza, proszek grafitowy i mąka, czujnik tensometryczny, urządzenie do pomiaru odkształceń i waga sprężynowa oraz inne rzeczy mogące się przydać, takie jak kalka ołówkowa, kompas i woltomierz.

Drobniejsze przedmioty włożył do szuflad, aparaty fotograficzne postawił na komodzie, a statyw oparł o jej bok. Miniaturowy magnetofon wsadził do lewej kieszeni marynarki, a notatnik do drugiej. Ash zamknął walizkę i położył ją na szafie, po czym powrócił do łóżka i otworzywszy torbę wyjął z niej zmianę bielizny oraz trochę ubrań. Przeniósł je do szafy i nie zajętych szuflad. Ostatnim przedmiotem leżącym na dnie torby była duża butelka wódki. Kiedy sięgnął po nią, usłyszał cichy śmiech, dobiegający przez zamknięte okno gdzieś z ogrodu.

Odkręcając kapsel, podszedł do okna, żeby wyrzucić na zewnątrz. Pociągnął łyk

wódki z butelki, po czym nałożył zakrętkę. Ash zmarszczył brwi, widząc, że ktoś skrada się pomiędzy krzewami w ogrodzie.

Był to Simon Mariell, który, śmiejąc się od ucha do ucha, chował się za krzakiem. Ash zobaczył drugą osobę. Była to dziewczyna ubrana w białą suknię i, chociaż odwrócona była do niego tyłem, Ash rozpoznał Christinę po kasztanowych włosach, zakręconych w miejscu, w którym dotykały ramion.

Usłyszał, jak woła Simona, szukając go. Wybuchnęła głośnym śmiechem, a jej brat zanurzył się niżej w bujnych krzewach, zasłaniając sobie usta, żeby nie zdradził go własny śmiech.

Ash podszedł bliżej okna, zaskoczony widokiem tej dziecinnej zabawy.

Coś poruszyło się opodal dwóch postaci w ogrodzie. Pod drzewem stał jeszcze ktoś, tak jak Ash obserwujący bawiących się. Dziewczynka...

Simon, skradając się, opuszczał swoją kryjówkę i to na moment odwróciło uwagę Asha. Kiedy znowu spojrzął w stronę drzewa, trzeciej postaci już tam nie było.

Ponownie popatrzył na Christinę i prawie krzyknął, żeby ją ostrzec przed skradającym się Simonem. Powstrzymał się w ostatniej chwili i uśmiechnął do siebie, rozbawiony dlatego, że niemal dał się wciągnąć w ich grę.

Lecz dziewczyna zaczęła obracać się w jego stronę, jak gdyby wyczuła, że jest obserwowana. Zupełnie bez udziału świadomości powstrzymał oddech. Głowa dziewczyny powoli obracała się w kierunku okna i Ash, speszony, chciał cofnąć się w głąb pokoju. Ale nie mógł wykonać żadnego ruchu, jak gdyby owładnięty nagłym paralizem i zafascynowany pragnął, aby ich spojrzenia spotkały się. Profil jej twarzy ukazywał mu się w tak powolnym tempie, że zdał sobie sprawę, iż to jego umysł dokonał nagłego przyspieszenia przepływu myśli, tworząc złudzenie ruchu dziewczyny w zwolnionych obrotach. Miał jeszcze czas, aby zastanowić się nad tym, kto właściwie został przez kogo zaskoczony w intymnej chwili? Christina, czy on sam?

Już prawie widział jej twarz, ale w chwili, gdy stała zwrócona do niego bokiem, nagle rozległo się pukanie do drzwi. Zamrugał oczami, zaskoczony. Odwrócił wzrok od okna. Drzwi otworzyły się i do środka zajrzała Christina.

— Czy jest pan już gotów na obchód domu? — zapytała, uśmiechając się szeroko.

Ash był zbyt zaskoczony, żeby zdobyć się na jakąkolwiek odpowiedź. Znowu wyjrzał przez okno.

Tamta druga dziewczyna zniknęła. W ogrodzie nie było nikogo.

Rozdział 5

W Edbrook panował chłód, który tylko częściowo można było wytłumaczyć porą roku. W niektórych pokojach i korytarzach odczuwało się wilgoć; w innych dominowało uczucie pustki, które wskazywało, że nie były używane od lat. Był to wielki dom i Ash miał już doświadczenia związane z podobnymi budowlami. Tego typu domy często bywały bardzo zaniedbane, gdyż w przypadku ich dziedziczenia przez młodszych członków rodziny, wysoki podatek spadkowy wręcz uniemożliwiał ich właściwe utrzymanie; po prostu nie wystarczało już pieniędzy na remonty i opłacanie służby. Prawdopodobnie Edbrook właśnie należał do tej grupy starych

rezydencji, której koszty utrzymania przekraczały możliwości obecnych właścicieli.

Christina najpierw pokazała mu wszystkie pokoje na górze, łącznie ze strychem, a później zeszli na dół, do biblioteki, salonu, kuchni, zmywalni naczyń, jadalni i gabinetu. Ash poddawał oględzinom deski podłogowe, połacie boazerii; kominki, czasami opukując ściany, innymi razy wsłuchując się w naturalne odgłosy budowli lub badając istnienie przeciągów oraz ich kierunek. Zawahał się przed wejściem do piwnicy, mając w pamięci owego *bouvier*, którego wcześniej tam wprowadzono. Ale Christina, schodząc już w dół, wyśmiała jego obawy. Zapewniła, że Tropiciele nie zrobi mu krzywdy, chyba że wyczuje zagrożenie z jego strony, a o tym nie może być mowy. Ash podążył za nią, nie do końca jednak wyzbywszy się obaw. Pies zawarczał gdzieś w mroku piwnicy, ale nie pokazał się.

Wewnątrz znajdowały się stojaki do połowy wypełnione zakurzonymi butelkami z winem. Wszędzie walały się jakieś graty: stare meble, niektóre przykryte płachtami materiału, połamane posążki, stare ramy od obrazów, a po jednej stronie znajdował się szereg mrocznych wnęk, wewnątrz których majaczyły jakieś kształty, których Ash nie potrafił rozpoznać. Było tam bardzo zimno, co stwarzało doskonale warunki do przechowywania wina, lecz, co było ważniejsze z punktu widzenia Asha, chłód i wilgoć mogły wskazywać na istnienie w bezpośredniej bliskości podziemnych cieków wodnych lub szczelin skalnych, które powodują lodowato zimne przeciągi owiewające stare mury budowli. Piwnica wydawała się ciekawym miejscem do prowadzenia dalszych badań, ale ze względu na psa Mariellów, Ash wołał nie zatrzymywać się tam na dłużej.

Ash wraz z dziewczyną ruszył w górę po schodach i cały czas towarzyszyło mu niepokojące uczucie, że Tropiciele opuścił swoją kryjówkę i podąża w ślad za nimi.

Z lekkim uczuciem ulgi Ash opuścił wreszcie piwnicę i przeszedł przez kuchnię i zmywalnię na ogrodowy taras. Choć nie podzielał zachwytów Christiny nad domem i jego okolicą, z łatwością potrafił wyobrazić sobie czasy świetności rodzinnej rezydencji Mariellów. Jednak w chwili obecnej trudno było powiedzieć, czego domowi właściwie brakuje. Z pewnością miało to coś wspólnego z odczuwalnym brakiem ciepła, niekoniecznie w fizycznym znaczeniu tego słowa. Doskonałe miejsce dla duchów. Naturalnie jeśli ktoś wierzy w takie historie.

Popatrzył w kierunku rozciągającej się przed nim połaci ogrodu i stwierdził z rozczarowaniem, że nie jest on tak dobrze utrzymany, jak początkowo mu się zdawało. Niemniej zaprojektowano go w interesujący, choć raczej niezbyt oryginalny sposób, a ograniczająca go ściana lasu stanowiła dlań idealne tło. Zrobił głęboki oddech, jak gdyby pragnąc oczyścić płuca z resztek zatechłego powietrza, pochodzącego z wnętrza domu.

— Jak długo zajmuje się pan poszukiwaniem duchów, panie Ash? — zapytała Christina z cieniem figlarnego uśmiechu na ustach.

Odpowiedział całkiem poważnie:

— Nie szukam duchów. Zajmuje się jedynie ustalaniem przyczyn występowania rzadkich i trudnych do wyjaśnienia zjawisk. A poza tym, mam na imię Dawid i wolałbym, żebyś tak właśnie się do mnie zwracała.

— W porządku, Dawidzie, A więc, jak długo zajmujesz się przyczynami tajemniczych zjawisk?

Uśmiechnął się do niej.

— Od bardzo dawna. Zawsze interesowałem się parapsychologią i podobnymi sprawami, ale tak naprawdę wciągnąłem się w te rzeczy, kiedy poszedłem na pierwszy seans spirytystyczny.

— Ile miałeś wtedy lat?

— Och... chyba dwadzieścia kilka — pokiwał głową z zadumą. — Możesz wierzyć lub nie, ale odbywałem wtedy staż inżynierski. Bóg jeden wie, co mnie popchnęło, żeby pójść na ten seans: ciekawość, jak sądzę, oraz po części moje zainteresowania. Chociaż nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy wierzyli w takie sprawy, to jednak jakoś ciągnęło mnie do tego, aby rozszerzyć swoją wiedzę. Ten pierwszy seans naprawdę otworzył mi oczy na wiele spraw.

— Czy doszło wtedy do kontaktu ze światem duchów?

Ash roześmiał się.

— Wręcz przeciwnie — powiedział. — Przez chwilę byłem bliski uwierzenia w te brednie; mężczyzna medium był naprawdę dobry. Udało mu się przekonać wszystkich obecnych, że są świadkami nawiązania kontaktu z duchem dawno zmarłej babki jednej z uczestniczek seansu, która poprzez usta medium zaczęła wymieniać wszystkie dolegliwości owej kobiety, która notabene siedziała obok mnie. Natomiast babka twierdziła, że znalazłszy się po tamtej stronie, przestała odczuwać jakiegokolwiek dolegliwości.

Ash z rozbawieniem potrząsnął głową. Ruszył dalej wzdłuż tarasu wyłożonego kamiennymi płytami, a Christina dotrzymywała mu kroku, rzucając od czasu do czasu spojrzenia w jego kierunku.

— Cała ta scena była niezwykle dziwaczna — ciągnął Ash. — W mroku dostrzegłem coś na kształt obłoku mgły za plecami medium i muszę przyznać, że po plecach przebiegały mi zimne ciarki. Ale z drugiej strony, trywialność informacji pochodzących od zmarłej babki doprowadziła mnie do śmiechu — tu zachichotał na samo wspomnienie tego zdarzenia. — Spodziewałem się rewelacji, czegoś, co byłoby w stanie poruszyć mnie do głębi, informacji o tym, jak to naprawdę jest po tamtej stronie granicy życia i śmierci.

— I... ? — ponagliła go, kiedy pograżył się w milczącym zamyśleniu.

— Och... dowiedzieliśmy się, że po tęgiej popijawie wuj Albert spuścił w klozecie swoją sztuczną szczękę wraz z tym, co zdołał wypić tego wieczoru. Niemniej siedząca obok mnie kobieta sprawiała wrażenie, jakby dowiedziała się, gdzie należy szukać Świętego Graala. Rozejrzałem się dokoła po twarzach obecnych i, mój Boże, wszystkie były śmiertelnie poważne. Wtedy zacząłem naprawdę pokładać się ze śmiechu.

Choć Ash nadal uśmiechał się, ton jego głosu stał się nagle poważny.

— I nagle poczułem wielką ulgę, jakby zdjęto mi z ramion ciężkie brzemię, bo cała ta sprawa okazała się jedną wielką farsą. Oczywiście moje zachowanie nie spodobało się medium i kazał mi wyjść, co z przyjemnością uczyniłem. Ale zanim opuściłem pokój, zapaliłem światło, powodowany złościwością albo zwykłym pragnieniem wyjaśnienia zagadki do końca.

Minęli oszklone drzwi wiodące z tarasu do salonu, który stąd wydawał się pusty. Ponad ich głowami wznosił się Edbrook — posępnie szary i groźnie milczący. Ash poczuł się nieswojo i świadomie zaczął oddalać się od muru budynku, nie chcąc

przebywać w jego cieniu.

— Otóż, gdy rozbłysło światło, wszyscy zobaczyli, że rzekomy duch babki, to stara fotografia rzucona za pomocą epidiaskopu na płachtę muślinu, a dla spotęgowania efektu, do pomieszczenia doprowadzono za pomocą specjalnej rury parę wodną, która, sącząc się przez tkaninę, sprawiała wrażenie ruchu. Dawało to dość imponujące wrażenie w półmroku, ale w jasnym świetle złudzenie prysło jak bańka mydlana.

Christina zmarszczyła brwi.

— Ale te wszystkie rzeczy, które zmarła babka powiedziała tej kobiecie...

— Informacje bez znaczenia, które zostały zapewne uzyskane od krewnych lub znajomych tej kobiety. Przecież wystarczyło jedynie zgromadzić informacje o jednym lub dwóch spośród uczestników seansu, aby wprowadzić w zachwyt całą resztę.

— Musieli być wściekli, kiedy przekonali się o mistyfikacji.

— O, tak... ale na mnie.

— Na ciebie? — potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

Przytaknął.

— Odebrałem im nadzieję. Wcale nie byli mi za to wdzięczni.

Przez chwilę Christina i Ash spacerowali w milczeniu. Kiedy odezwała się znowu, w jej głosie znów zabrzmiało niedowierzanie.

— Ale przecież to niemożliwe, żeby wszyscy byli oszustami. Muszą być wśród nich prawdziwe media.

— Ależ oczywiście — odparł. — Sam znam kilkoro takich osób i z jedną czy dwiema nawet jestem zaprzyjaźniony. Ale nie potrafię wyjaśnić tego, co robią, oraz nie mam pojęcia, jak to się dzieje. Jednak jestem pewien, że nie prowadzą dialogów z duszami zmarłych.

Zeszli z tarasu do ogrodu po kamiennych schodkach i ruszyli dalej po wyłożonej kamieniami ścieżce, która rozwidlała się w trzech kierunkach, omijając rabaty kwiatowe. Poszli dalej prosto.

— Jedynie wtedy, gdy lepiej poznamy prawa rządzące naszymi umysłami, będziemy w stanie zrozumieć mechanizmy rządzące sferą zjawisk paranormalnych.

Słyszac to, Christina zmarszczyła brwi.

— A co było potem? Musiałeś także być rozczarowany?

— Rozczarowany? Jak już powiedziałem, była to dla mnie wielka ulga. Utwierdziło mnie to w sceptycyzmie, ale, z drugiej strony, jeszcze bardziej zaintrygowało. Zastanawiałem się, czy to wszystko jest jedną wielką mistyfikacją — wszystko, co na ten temat czytałem i słyszałem? Więc zacząłem coraz poważniej studiować te zagadnienia i zanim zdałem sobie z tego sprawę, poszukiwanie prawdy stało się moim zawodem. A im więcej odkrywałem fałszerstw i oszustw, tym bardziej mnie to złościło.

Dotarli do ceglanego muru, który ciągnął się wzdłuż ogrodu. Był bardzo niski, popękany i odrapany.

— Kilka lat temu otrzymałem propozycję współpracy z Instytutem Badań Psychiki, Wydaje mi się, że woleli mnie mieć po swojej stronie.

Następne zdanie Christiny zaskoczyło go.

— A więc wydaje ci się, że my wszyscy mamy bzika, myśląc, że nasz dom nawiedzony jest przez duchy. Złości cię to.

— Ależ skądże. Po prostu myślę, że jesteście w błędzie. Wyjaśnienie tej zagadki nie powinno zająć mi zbyt wiele czasu.

Wreszcie zbliżyli się do niskiego murku na tyle, że Ash zauważył, iż okalała on duży, zarosnięty zielskim staw o brudnej wodzie, pełen gnijących lilii wodnych. Widok ten zaszokował Asha, bo choć ogród nie był zbyt dobrze utrzymany, to jednak wygląd stawu niemal przerażał.

Ash wpatrywał się w powierzchnię wody, czując odór zgnilizny, który zmuszał go do wstrzymania oddechu.

Odwrócił się w kierunku dziewczyny, ale zdążyła już niepostrzeżenie odsunąć się od cuchnącego stawu. Spoglądała na mętną wodę tak, jakby i ją zaszokował ten widok, jakby nie zdawała sobie sprawy, że zaszli aż tak daleko. W jej ruchach było coś bojaźliwego, gdy coraz bardziej oddalała się od stawu.

— Christina... ? — odezwał się z pytaniem w głosie. Za jego plecami mętna woda stawu zafalowała, poruszyły się wodorosty...

... Czoło Edith było mokre od potu. Podskoczyła na krześle, jej oczy otworzyły się szeroko i wizja, która pojawiła się w jej umyśle, nagle znikła.

Dwoje starszych ludzi siedzących naprzeciwko przyglądało jej się z wyraźną troską.

— Pani Phipps? — odezwał się siwowłose mężczyzna, pochylając się nad nią z niepokojem. — Czy nic pani nie jest? Mówiła pani o naszym synu...

Edith zamrugała oczami i dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. Wizja przerwała jej kontakt z synem tych staruszków, młodym marynarzem, który zginął w wojnie falklandzkiej w okolicznościach zbyt potwornych, aby opowiadać o nich wciąż pogrążonym w bólu rodzicom.

— Bardzo... bardzo przepraszam — powiedziała — ale straciłam koncentrację. Postaram się... — wciągnęła głęboko powietrze, aby uspokoić się — postaram się dotrzeć jeszcze raz do Michaela.

Ale kiedy znowu zamknęła oczy, powróciła tamta wizja. Patrzyła jakby z dołu na sylwetkę mężczyzny odwróconego do niej tyłem. Pomimo to wiedziała, że to Dawid Ash. Oprócz dziwnego kąta, pod jakim patrzyła, coś jeszcze zakłócało ostrość jej wzroku, jakby falowanie... jakby patrzyła spod powierzchni wody... brudnej, błotnistej wody. Dookoła niej unosiły się na wodzie liście jakichś roślin. Dwie obnażone ręce sięgały w stronę Dawida — szczupłe, blade, z zakrzywionymi palcami. Ale nie były to jej ręce, nie Edith. Należały do kogoś innego.

I mimo że wylaniały się ze wzburzonej wody w kierunku stojącego na brzegu mężczyzny, oplecione gnijącymi wodorostami, ręce te nic miały w sobie życia.

Były martwe.

Rozdział 6

Jadalnia oświetlona była nader skąpo, a świece stojące na długim stole, przy którym zasiedli Mariellowie w towarzystwie Dawida Asha, rzucały słaby blask na twarze siedzących. Ash spodziewał się, że obiad podawać będzie służąca, lecz ciotka Tessa sama obsługiwała gościowi i domownikom, nie korzystając nawet z pomocy Christiny. Stało się dla niego jasne, że Mariellowie nie są już tak bogaci, jak kiedyś. Jakkolwiek rodzina wzbudzała jego ciekawość, to jednak finansowy aspekt ich życia nie miał nic wspólnego z zadaniem, które miał do wykonania. Wolno popijał wino, żałując, że nie jest to coś mocniejszego.

Simon szepnął Christinie do ucha, a ona wybuchnęła głośnym śmiechem. Robert Mariell, siedzący przy końcu stołu, zganiał ich surowym spojrzeniem. Jego siostra posłusznie zakryła usta wierzchem dłoni, lecz Simon pozostał nadal rozbawiony.

Robert skierował swoją uwagę na Asha, który siedział naprzeciw niego.

— Jak przebiegały pańskie dzisiejsze oględziny? Czy udało się panu stwierdzić coś, co mogłoby wyjaśnić naszą małą tajemnicę?

Ash właśnie kroił mięso na talerzu, które wydawało mu się zbyt dobrze wypieczone jak na jego gust.

— To na razie trudno powiedzieć — odpowiedział — ponieważ nie wiem, co jest tą waszą małą tajemnicą. Ale znalazłem wiele błędów konstrukcji budynku, które mogą powodować pewne zakłócenia i być przyczyną niewytłumaczalnych zjawisk.

Wciąż z uśmiechem na ustach, Simon zapytał:

— Takich na przykład, jak pojawienie się ducha, panie Ash?

— Zdziwiłby się pan, jak często cząsteczki pyłu lub pary wodnej bądź dymu tworzą coś na kształt wizerunku upiornej postaci. Albo na przykład woda, która przedostaje się szczelinami w murze, powodować może dziwne hałasy uważane za przejaw działania mocy nieczystych. A występujące w regularnych odstępach skrzypienie starych desek znajdujących się w pobliżu grzejnika może powodować odgłosy podobne do upiornych kroków. Przy pewnym udziale wyobraźni wszystko jest możliwe.

Ciotka Tessa, która siedziała po jego lewej stronie, wtrąciła się do rozmowy.

— To, co widziałam... to znaczy to, co wszyscy zaobserwowaliśmy, nie jest wyłącznie wytworem naszych umysłów. Gdyby pan wiedział...

Ash powstrzymał ją gestem ręki.

— Jutro. Powiecie mi państwo o tym jutro. Na dziś wolałbym zachować niczym nie zmażony obiektywizm.

— Ale wciąż nie rozumiem, skąd może pan wiedzieć, czego szukać — zaprotestowała Christina.

— Szukam źródła pewnego zjawiska, które, jak wywnioskowałem, przyjmuje posiać ducha. To wszystko, co jest mi na razie potrzebne.

Robert lekko uśmiechnął się.

— Wierzy pan w takie rzeczy, panie Ash? Zbłąkane dusze, które błąkają się nocą po korytarzach... ?

— ... Upiory — dodał Simon z ekscytacją w głosie — demony, wampiry...?

— ... Wilkołaki? — włączyła się Christina. Simon zawył jak wilk, a Christina zachichotała. Nawet Robert uśmiechnął się szeroko.

Zupełnie nie rozbawiony Ash spojrzał na ciotkę, która unikała jego wzroku. Ją też zdawały się nie bawić te wyglupy.

Zwrócił się do starszego z braci.

— Jak na rodzinę, która nawiedzana jest przez duchy, nie sprawiacie państwo wrażenia zaniepokojonych.

— A czy powinniśmy? — odpowiedział pytaniem Robert. — Czy możemy doznać jakiejś krzywdy od tych duchów?

Ash potrząsnął głową.

— Raczej nie. Zazwyczaj świadkowie takich zjawisk sami sprowadzają na siebie jakieś nieszczęście, kiedy wpadają w panikę i rzucają się do ucieczki.

— Dlaczego w takim razie mielibyśmy się niepokoić? Jednak wciąż nie udzielił pan odpowiedzi na moje pytanie; czy pan osobiście wierzy w duchy?

— To zależy, jak pan je zdefiniuje. Jako zjawy, produkty telepatycznych wizji, czy też zjawiska elektromagnetyczne. Czasami nawet powstają w wyniku drgań atmosferycznych. Istnieją, pomimo że nie rozumiemy ich znaczenia i nie znamy mechanizmu ich powstawania.

— Ale nie nazwałby pan ich duszami zmarłych? — zapytała ciotka.

Wszyscy wyczekująco wpatrywali się w Asha. Chrząknął, nieco zmieszany, i odpowiedział:

— Ależ skądże znowu. W żadnych z prowadzonych przeze mnie badań nie udało się potwierdzić teorii o istnieniu życia po śmierci. Ponadto, udało mi się zdemaskować wielu tak zwanych spirytystów, ujawniając ich oszukańcze praktyki, że nie dają żadnej wiary w możliwość komunikowania się ze zmarłymi.

— Takie właśnie odnieśliśmy wrażenie, panie Ash — powiedział Robert łagodnym tonem. — Ale nie sądzi pan chyba, że wymyśliliśmy te historie o duchach?

— Ależ naturalnie, że nie. Czegokolwiek państwo jesteście świadkami tu w Edbrook, z pewnością wydaje się wam to realne. Jaki inny powód moglibyście mieć, żeby opłacać usługi kogoś takiego jak ja? Chciałem tylko powiedzieć, że rzekome nawiedzenie domu przez duchy może mieć jakieś racjonalne wyjaśnienie.

Simon oparł się łokciem o stół.

— Ja jednak sądzę, że należy panu powiedzieć...

— Wszystko w swoim czasie — powtórzył Ash. — Proszę na początek pozwolić mi działać na własną rękę.

— Przecież niekoniecznie musi pan doświadczyć tego samego co my — dodał Robert.

— Cóż, na razie nie mam podstaw, żeby sądzić inaczej, ale oczywiście zgadzam się, że może istnieć pewien rodzaj psychicznej więzi, która powoduje, że wyłącznie wy macie możliwość odbioru interesującego nas zjawiska. Już niedługo wszystko się wyjaśni.

— Psychiczna więź? — Simon znowu wyprostował się za stołem. — Co pan przez to rozumie?

— Proszę spróbować wyobrazić sobie, że nasze umysły działają jak odbiorniki radiowe. Państwo, jako mieszkańcy tego domu, możecie być jakby nastrojem na pewną częstotliwość emitowanych przez kogoś fal.

Simon uznał to wyjaśnienie za zabawne.

— Ktoś z tamtej strony mógłby wysyłać takie fale... ? — spojrzał po twarzach osób zebranych przy stole, szukając aprobaty dla kpiny w głosie.

Ash nie pozwolił się sprowokować.

— Nazwijmy to transmisją myśli osoby, która już tu nie przebywa, albo też mamy do czynienia z pewnymi obrazami osób, które utrwaliły się w pamięci domu. A pan, jako związany emocjonalnie z Edbrook, może być zdolny do odbioru tych ulotnych impresji, nadawanych na określonej częstotliwości fal mózgowych.

— Interesująca teoria — przyznał Robert. — Lecz raczej trudna do zaakceptowania, nieprawdaż?

— Bynajmniej nie trudniejsza niż wiara w istnienie duchów — odparł Ash.

Christina otarła usta serwetką. Światło łagodnie opromieniało jej twarz.

— A co my możemy uczynić, aby ułatwić panu odkrycie prawdziwego charakteru tego zjawiska, oprócz tego, że powiemy panu o wydarzeniach, których byliśmy świadkami? — zapytała.

— Niewiele. Proszę mi po prostu nic przeszkadzać — odparł Ash. — Jeszcze dzisiejszego wieczoru zamierzam rozstawić swoją aparaturę w różnych punktach domu, które, jak podejrzewam, mogą stanowić teren występowania owych dziwnych zjawisk. Chciałbym jednak, abyście państwo omijali te miejsca z chwilą, gdy urządzenia zostaną tam zainstalowane. Prawdę powiedziawszy, najlepiej byłoby, gdybyście państwo nie opuszczali swoich pokoi przez resztę wieczoru i noc.

Po tej ostatniej uwadze Asha Mariellowie spojrzeli po sobie.

— To dość drastyczne zalecenie — zaprotestował Simon.

— Tylko na dzisiejszą noc — zapewnił go Ash. — Może później będziemy mogli skoncentrować się wyłącznie na wybranych punktach domu.

— Może pan liczyć na naszą pełną współpracę — odpowiedział Robert w imieniu całej rodziny. — Czy jest jeszcze coś, czego panu potrzeba?

— Na razie dziękuję. Ach, tak, chciałbym nieco później zadzwonić do Kate McCarrick, aby dać jej znać, jak się mają rzeczy.

— Ciocia Tessa powiedziała mi, że panna McCarrick pochwaliła nasz wybór pańskiej osoby do tego zadania. Wygląda na to, że bardzo wysoko ocenia pańską pracę.

— Ona sama jest niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie parapsychologii. Jednak muszę przyznać, że nie zawsze zgadzamy się w naszych poglądach na sprawy zawodowe. Z drugiej strony trzeba zauważyć, że pole naszych zainteresowań jest nadal pełne spekulacji i nie potwierdzonych naukowo teorii. Gdyby wynik moich tutejszych badań okazał się pozytywny, dobrze byłoby, gdyby Kate przyjechała tu w towarzystwie jakiegoś bezstronnego obserwatora.

Zdumiała go gwałtowność wypowiedzi ciotki:

— Nie, nie. To zupełnie zbędne.

Robert odrzucił sugestie Asha w sposób bardziej opanowany.

— Jak już wcześniej podkreślałem, panie Ash, zależy nam, aby nie rozgłaszać tej sprawy. Myślę, że potrafi pan uszanować nasze życzenie.

— Ależ, nie ma w ogóle mowy o jej publicznym nagłaśnianiu — zapewnił Ash. — Wszystkie informacje przekazane zostaną wyłącznie do archiwum Instytutu.

— Pozwólmy, żeby pańskie studia nad problemem rozwijały się stopniowo — odezwał się chłodnym tonem Robert. — Było to również pańskie życzenie, prawda?

Ash zmusił się do uśmiechu.

— W porządku. Nie będę państwa do niczego nakłaniał wbrew woli. Wszystko w waszych rękach.

Robert przyglądał mu się zimnym spojrzeniem z drugiego końca stołu.

— Niezupełnie. Tego bym nie powiedział...

Nerwowo naciskał widełki aparatu, drugą ręką trzymając przy uchu czarną, bakelitową słuchawkę. Nic. Cisza. Linia była głucha. Pomimo solidnego wyglądu, urządzenie okazało się bezużyteczne. Czy ten stary telefon dożył swoich dni, czy też jest to wynik jakiejś awarii poza murami domu? Bez względu na przyczynę oznaczało to cholernie przykrą niedogodność.

Słyszając kroki, odwrócił się nagle, zdziwiony własną nerwowością.

— Panno Webb — odezwał się, zaskoczony jeszcze bardziej nagłą ulgą, jakiej doznał. — Eee... ten telefon nie działa. Wygląda na to, że linia jest odcięta.

Stała blisko niego, wpatrując mu się prosto w oczy.

— Zawsze mamy jakieś kłopoty z telefonem — powiedziała. — To jeden z minusów mieszkania na wsi.

Wzięła od niego słuchawkę i nie trując się nawet, żeby samej sprawdzić, odłożyła ją na widełki.

— Postaram się temu zaradzić, kiedy pojedę jutro do wsi.

Intensywnie wpatrywała się w niego i Ash zastanawiał się, czy wyraz zaniepokojenia w jej oczach jest czymś normalnym. Była niewysoka, drobnej budowy, i Ash sądził, że ma gdzieś około siedemdziesiątki. Kim była dla Christiny i pozostałych? Ciotką, zgoda, ale kim jeszcze? Wywnioskował, że prowadzi dla nich dom, a to oznaczało ogromny wysiłek dla osoby w jej wieku.

— Panie Ash... — zaczęła, ale znowu zawahała się i nie dokończyła zdania. Czekał. Kiedy wreszcie odezwała się, był to niemal szept:

— Proszę na siebie uważać podczas pobytu w Edbrook.

Nie umiał powstrzymać uśmiechu.

— Już powiedziałem, że duchy nie mogą nas skrzywdzić. Tak naprawdę, to nie powinny nawet nas przerażać, przynajmniej nie wtedy, gdy znamy ich prawdziwą naturę.

— Można mieć do czynienia z różnego rodzaju... — zawahała się znowu —

nawiedzeniem.

— Sądziłem, że zrozumiała pani to, o czym mówiłem przy obiedzie...

Jej riposta była gwałtowna.

— Nie, to pan nic nie zrozumiał.

— W takim razie proszę mi to wyjaśnić — odparł sucho. Lecz zanim zdążyła odpowiedzieć, wtrącił się inny głos:

— Pan Ash nie życzy sobie, żebyś zaprzętała mu głowę swoimi fantastycznymi teoriami, ciociu.

Odwrócili się i zobaczyli Roberta Mariella, który przyglądał im się ze szczytu schodów.

— Czyż nie, panie Ash? — w jego spojrzeniu widać było dezaprobatę.

Ash zwrócił się w stronę ciotki.

— Jutro będę zadawał pytania — powiedział cierpliwym tonem, zdumiony jej zachowaniem.

— W takim razie zostawmy już pana Asha w spokoju, ciociu — powiedział Robert. — Chodź. Niech nasz gość zabierze się do pracy. Dobranoc panu, panie Ash. Nie będziemy już panu zawracali głowy.

Po tych słowach odwrócił się i pogрузzył się w ciemnościach panujących w korytarzu na piętrze. Unikając spojrzenia Asha, ciotka Tessa pospieszyła w ślad za siostrzeńcem.

Ash przyglądał się, jak jej drobna postać wspina się po schodach, po czym potrzęsął głową ze zdumieniem. Wyglądało na to, że stosunek cioteczki Mariellów do „ducha” nawiedzającego Edbrook nie był równie entuzjastyczny jak w przypadku pozostałych domowników.

Rozdział 7

Ash spędził resztę wieczoru rozmieszczając przyrządy w różnych miejscach domu. Cztery termometry, które w ciągu nocy zarejestrować miały najniższą temperaturę, umieścił na ścianach i meblach. W kuchni i w bibliotece ustawił magnetofony automatycznie uruchamiające się na każdy dźwięk, natomiast aparaty fotograficzne, których migawka wyzwalana była za pomocą specjalnych czujników reagujących na ruch, rozmieścił na statywach w salonie i w gabinecie. W niektórych miejscach domu rozpylił na podłodze specjalny proszek, a w futrynach niektórych drzwi rozpiął płachty z czarnego materiału.

Później, przy świetle lampki, usiadł w swoim pokoju, przeglądając naszkicowane wcześniej plany Edbrook uwzględniające cały labirynt pokoi i korytarzy. Od czasu do czasu pociągał łyk wódki z butelki, która stała w zasięgu jego ręki na sekretarzyku. Pałac papierosa za papierosem, robił notatki, i co chwila spoglądał w stronę okna, za którym roztaczał się mrok nocy.

W końcu wyszedł z pokoju na obchód domu, ostrożnie omijając miejsca wysypane proszkiem i nie wchodząc do pomieszczeń, w których znajdowały się urządzenia z detektorami,

W Edbrook panowała martwa cisza.

Gdzieś wewnątrz domu odezwał się zegar wybijający późną godzinę. Oświetlając sobie drogę latarką, Ash ruszył wzdłuż korytarza w kierunku okna. Pomimo zmęczenia wszystkie zmysły miał wyostrzone jak, jakby jego umysł był niespokojnym pasażerem starego, zaniedbanego pojazdu. Kate McCarrick miała zawsze w zanadrzu dobrą definicję. Mówiła: „Za dużo pijesz i palisz. Pewnego dnia, Dawidzie, twój umysł stępieje i upodobni się do twego ciała”. To nie byłoby nawet takie złe, pomyślał, wcale nie takie złe.

Poszedł do okna i wyłączył latarkę, przybliżając twarz do szyby, żeby móc wyjrzeć na zewnątrz. Ciemna zasłona chmur częściowo ustąpiła, choć nie całkiem: pozostały białe cumulusy, które trwały w ułudnym bezruchu nieba, jak znieruchomiełe śnieżne lawiny. Księżyc świecił jasno, nie zasłonięty żadnym z obłoków, jakby jego białe srebrzysty blask pożerał otaczające go chmury. Długie cienie drzew i krzewów kładły się na ogrodowych trawnikach. Spowite księżycową poświatą posążki także rzucały ostro zarysowane cienie, niczym palce skierowane na Edbrook w oskarżycielskim geście. Gdzieś w oddali rozległ się krzyk nocnego ptaka i Ash drgnął nerwowo.

Patrzył przez okno, lecz jego myśli powędrowały gdzie indziej. Żałosny okrzyk ptaka poruszył delikatną strunę w jego pamięci. Przypomnił sobie inny rozpaczliwy krzyk, niesiony po falach rzeki, i byłby pewnie przypomniał sobie tamto zdarzenie, gdyby nagle nie usłyszał za plecami jakiegoś dźwięku i nie odwrócił się.

Włączył latarkę i oświetlił długi korytarz. W ostrym promieniu światła wydawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch w przeciwnym końcu korytarza.

Bez chwili wahania ruszył w tamtym kierunku i kiedy zbliżył się, zauważył, że rozsypany przez niego wcześniej delikatny proszek wiruje w powietrzu, jakby uniesiony podmuchem. Zatrzymał się, obserwując z zaskoczeniem kłębiące się drobiny pyłu w świetle latarki. Nie czuł żadnego powiewu ani nie ujrzał na schodach nikogo, kto mógłby ewentualnie spowodować zawirowanie proszku. Prędko sprawdził wiszący obok na ścianie termometr i przeraził się, ujrawszy, że wskazuje temperaturę bliską zera. Jednak sam nie odczuwał chłodu.

Znowu coś usłyszał. Tym razem z dołu. Jakby odgłos kroków bosych stóp na drewnianej podłodze.

Ash podbiegł do balustrady i popatrzył w dół. Kątem oka uchwycił jakiś szary lub biały kształt znikający za rogiem schodów.

Zawołał cicho:

— Christina?

Podszedł do schodów, odgarniając z twarzy wciąż unoszące się drobiny pyłu. Szybko zbiegając po schodach oświetlił promieniem latarki hall, by upewnić się, czy wszystkie drzwi są pozamykane. I wtedy znów do jego uszu dotarł jakiś odgłos. Skierował snop światła w tę część hallu, która prowadziła na tyły domu, pewien, że dźwięk dobiega z kuchni.

Kiedy ruszył w tamtą stronę, zauważył, że drzwi pod schodami — drzwi do piwnicy — są lekko uchylone. Zatrzymał się, przypomniawszy sobie, że sam je wcześniej zamykał. Jednak ponowne dźwięki zmusiły go do dalszego biegu.

Ash wszedł do ciemnej kuchni, gorączkowo szukając źródła tajemniczych odgłosów w świetle latarki, które skierował najpierw na stół, potem na kredensy, zlew i kuchenny piec. Złowrogie warczenie psa było tuż, tuż.

Obrócił się gwałtownie, lecz zawadził latarką o brzeg futryny i jej światło zgasło. Owładnięty niekontrolowanym lękiem, Ash drżącą ręką odszukał na ścianie wyłącznik i przekręcił go. Mdłe światło ledwie rozpraszało mrok, i wystarczająco, by mógł przekonać się, że kuchnia jest pusta. Oraz, że drzwi wiodące na ogrodowy taras są otwarte.

Dobiegł go stamtąd przytłumiony śmiech.

Położywszy zepsutą latarkę na stole, Ash przeszedł przez kuchnię i wyszedł w mrok nocy.

Księżyc świecił jasno i dopiero po pewnej chwili jego wzrok przyzwyczał się do srebrzystej poświaty. Dlatego Ash nie był pewien tego, co ujrzał. Miał bowiem wrażenie, że na tarasie mignęła mu jakaś postać w białej, zwiewnej szacie. Jednak natychmiast zniknęła.

Ash zmrużył oczy. Znowu zawołał cicho:

— Christina?

Ruszył lekkim biegiem wzdłuż tarasu, szukając miejsca, w którym stracił z oczu postać w bieli. Odnalazł je, lecz pomiędzy pobliskimi krzewami nie dostrzegł żadnych śladów ruchu.

Zszedł do ogrodu i pobiegł ścieżką wiodącą w stronę stawu, rzucając na boki czujne spojrzenia. Dotarł do murku okalającego staw i zatrzymał się, spoglądając na taflę wody, w której odbijało się hipnotyzujące światło księżyca.

Nagle znowu usłyszał ten sam, co poprzednio dźwięk — odgłos kroków bosych stóp. Jednak tym razem były nieco szybsze — ktoś biegł w jego stronę po kamiennej ścieżce.

Obrócił się na pięcie, by stawić mu czoło, lecz jakaś gwałtowna siła pchnęła go do tyłu i zanim miał czas zareagować, potknął się o niski murek i stracił równowagę.

Bрудna woda stawu przyjęła go lodowatym uściskiem i zamknęła się nad jego głową. Ash, zdjęty panicznym lękiem, walczył z oplatającymi go wodorostami. Mętna, pełna wzburzonego szlamu, woda zatarła obraz księżyca nad powierzchnią stawu.

Walcząc, aby uwolnić ręce z uścisku wodnych roślin, ujrzał zbliżającą się ku niemu w wodzie postać z szeroko rozrzuconymi ramionami, jak gdyby ukrzyżowaną, w białej szacie, która falowała, unoszona przez wodne wiry. Zdołał też dostrzec jej włosy, czarne i rozpostarte w wodzie jak loki gorgony.

Cuchnąca woda wdarła się do jego gardła, tłumiąc krzyk.

... Edith przebudziła się i otworzyła szeroko oczy, mając wciąż przed sobą koszmarną wizję.

Usiadła w łóżku owładnięta strachem, drżąc na całym ciele. Jednak nie lękała się o siebie.

Wyszeptała jego imię...

— Dawid...

Jej ciężki, chrapliwy oddech rozbrzmiewał głucho w oświetlonej światłem księżyca sypialni. Próbowała uspokoić się i zapanować nad urywanym oddechem. Jej ręka

masowała ciało w okolicy serca.

Edith oparła się o wezglowie łóżka, powoli opanowując gwałtowne skurcze w piersiach. Wpatrywała się nieobecny wzrokiem w przestrzeń. I znów ujrzała te same blade, martwe ręce.

Ręce, które zaciskały się na szyi Dawida Asha.

Rozdział 8

Ash miotał się w wodzie — być może po to, by uciec przed unoszącą się w wodzie sylwetką, a może dlatego, że za wszelką cenę chciał uwolnić się od oplatającej go roślinności. Tonął i wszechogarniająca świadomość tego faktu nie pozostawiała miejsca na inne lęki.

Jednak będąc w obliczu nadchodzącej śmierci, poczuł, że czyjeś ramię chwyta go od tyłu za szyję.

Próbował uwolnić się z uścisku, ale jego wysiłki były coraz słabsze. Czuł, że mgła powoli zasnuwa jego świadomość i słabną mięśnie. Przez ułamek sekundy miał osobliwe wrażenie — jakby *deja vu* — że przenosi się w przeszłość; walczy z wodną kipiela, a czyjaś mocna ręka unosi go...

I znalazł się na brzegu, drżąc z zimna. Czyjeś ręce szarpały jego ubranie, szczypiąc go boleśnie. Ktoś podniósł go i przewlókł ponad ogrodzeniem skapanego w księżycowym świetle stawu, którego powierzchnia wzburzona była falami wywołanymi przez jego własne rozpaczliwe próby ucieczki. Wydawało mu się, że rozpoznaje pochyloną nad nim twarz Simona. Z włosami ociekającymi woda. Poczuł silny ucisk na plecach i po chwili leżał na kamiennej ścieżce, nadal krztusząc się wodą zalegającą w płucach i żołądku.

Leżał tak na zimnych kamieniach to dławiąc się, to gwałtownie łapiąc oddech, targany konwulsjami i czując zawroty głowy. Ash nie miał pojęcia jak długo tak leżał, ale kiedy przewrócił się na plecy, ujrzał nachylone nad sobą twarze. Simon, Robert i ciotka Tessa — wszyscy byli przemoczeni, a młodszy z braci dosłownie ociekał wodą.

Ash usiłował przemówić, chciał powiedzieć im coś, wskazując drżącą ręką na staw, ale słowa uwięzły mu w gardle.

— Ktoś... tam... Ktoś trzymał mnie za...

Robert Mariell pochylił się, uspokajająco dotykając jego ramienia.

— Już wszystko w porządku. Spokojnie. Proszę starać się oddychać miarowo. Ash zdołał podeprzeć się na łokciu.

— Nie! Tam... jeszcze ktoś... dziewczyna... w wodzie...

Tamci wymienili między sobą zdziwione spojrzenia. Ciałem Asha znowu wstrząsnął gwałtowny atak kaszlu, kiedy usiłował podnieść się. Otarł wodę z twarzy.

— Ciociu, czy mogłabyś włączyć oświetlenie stawu — usłyszał głos Roberta.

Ash spojrział w górę, a ciotka oddaliła się. Jej miejsce zajęła Christina, z twarzą pozbawioną wyrazu.

Przekręcił się na bok, wypluwając resztki wody. Zamknął oczy. Przyszło mu do głowy... Ale to niemożliwe, koszula nocna Christiny nie była ani trochę mokra. Tak samo jej twarz i włosy. Nagły strumień jasnego światła zmusił go do otwarcia oczu.

Ash zmusił się do wstania, czując, że ktoś mu pomaga, choć nie wiedział kto. Chwiejąc się, podszedł do murku przy stawie. Mokre ubranie ciążyło mu i po chwili upadł ciężko na kolana. Wiedział, że tamci stoją w pobliżu, ale nie odwrócił się w ich stronę. Wszyscy milczeli, patrząc na rześcicie oświetloną powierzchnię stawu.

Woda była spokojna. Nerwowo omiół wzrokiem całą powierzchnię stawu. Wciąż oddychał z trudnością, ale zdołał wreszcie coś z siebie wykrztusić.

— Wybiegłem z domu w ślad za kimś. Słyszałem, jak biegnie...

— Ach, wydaje mi się, że rozumiem — usłyszał głos Roberta.

Ash odwrócił się w jego stronę, po czym spojrzał w kierunku, w którym patrzył Robert. Coś czało się tam w ciemnościach.

Robert gwizdnął cicho i z mroku wyłonił się pies.

— Wydaje mi się, że śledził pan Tropicielea. Nocą pozwalamy mu wałęsać się po domu.

— Ależ nie — zaprotestował Ash. — Widziałem dziewczynę. Ona biegła... uciekała przede mną.

— To niemożliwe, panie Ash. Chyba że ty, Christina, wałęsałaś się gdzieś przy świetle księżyca... ? — Robert uśmiechnął się do siostry, nie traktując tego pytania poważnie.

Potrząsnęła przecząco głową, lekko marszcząc brwi.

— Spałam w swoim pokoju, kiedy obudziły mnie hałasy.

Podpierając się o niski murek, Ash podniósł się na nogi. Wciąż czuł się słabo i drżał na całym ciele. Usiadł na ceglanej podmurówce, opierając się łokciami o kolana i chowając twarz w dłoniach.

— Nie, tam była... — zaczął, ale przerwał mu Robert.

— Usłyszałem kroki na tarasie i wyjrzałem przez okno mojej sypialni. Widziałem tylko pana, panie Ash. Nie było tu nikogo prócz pana.

— Ale w wodzie...

— Tropiciele musiał pana wziąć za intruza. Zaatakował, a pan wpadł do stawu. Może nawet szczęśliwie się złożyło, Tropiciele bowiem potrafi być bardzo agresywny — wskazał ręką na wodorosty delikatnie unoszące się na powierzchni wody. — Zaplątał się pan w te rośliny i w panice miał wrażenie, że ktoś go przytrzymuje.

Ash potrząsnął głową.

— Nie ma innego wytłumaczenia — ciągnął Robert, nie zrażony. — Chyba, że spotkał pan naszego ducha...

Ash oderwał ręce od twarzy i wpatrywał się po kolei w twarze rodzeństwa. Nie mógł być zupełnie pewien — nadal odczuwał skutki szoku — ale kiedy spojrzał na Christinę, w kąci jej ust ujrzał ślad uśmiechu.

Kate podniosła kieliszek z brandy, a jej towarzysz, siedzący obok na kanapie, przysunął się bliżej. Trącili się kieliszkami, po czym pochylił się, by ją pocałować. Odpowiedziała pocałunkiem, ale zaraz powróciła do rozpoczętego drinka,

Harcourt uśmiechnął się i zaraz również upił łyk brandy ze swojego kieliszka. Miał rozluźniony krawat i rozpiętą marynarkę, co zostało przyjęte przez jego zaokrąglony

brzuch z wdzięcznością. Światło lampy stojącej za jego plecami nielitościwie oświetlało przerzedzone, jasne włosy.

— To był miły wieczór — odezwała się cicho Kate, obracając w palcach kieliszek.

Czubkiem prawego buta zsunęła lewy, po czym powtórzyła ten sam manewr drugą stopą. Wyciągnęła nogi i oparła się wygodnie o poduszkę kanapy.

— Jeszcze się nie skończył — szepnął jej towarzysz.

— To byłoby za wiele, jak na jeden wieczór — odpowiedziała dwuznacznie.

— Zaslugujesz na to, by cię rozpieszczać — przysunął się bliżej. — Nie jestem dziś w nastroju, żeby iść do domu, nie teraz.

Kate uniosła brwi.

— Kota nie ma, myszy harcują, jak mniemam.

Potrząsnął przecząco głową.

— To nie tak. Szczura nie ma. Jestem w podróży służbowej, przynajmniej tak myśli Helen.

Kate zmarszczyła brwi.

— Nie lubię twoich gier, Colin.

— Jestem śmiertelnie poważny, staruszko.

Mimo iż powiedział to lekkim tonem, wiedziała, że mówi poważnie.

— Ale ja nie...

Przerwał jej dzwonek telefonu w przedpokoju.

Harcourt spojrział na zegarek.

— Co za wariat dzwoni o tej porze! Nie odbieraj, niech komu innemu zawraca głowę.

Wzdychając, Kate podniosła się ociężale z kanapy.

— To może być coś ważnego. I lepiej, żeby tak było... o tej porze — mamrotała pod nosem, idąc do przedpokoju.

Harcourt popijał brandy, słuchając głosu Kate przy telefonie.

— McCarrick, słucham. Cisza.

— Edith... czy coś się stało?

We frontowym pokoju swojego małego domku na przedmieściach Londynu, Edith Phipps kurczowo zaciskała palce na słuchawce telefonu. Siedziała na wiklinowym fotelu przy malutkim stoliku, na którym mieścił się jedynie aparat telefoniczny i lampa. Rozglądała się niespokojnie dookoła, jak gdyby była przekonana, że ktoś ją podsłuchuje.

Ton jej głosu zdradzał zdenerwowanie.

— Kate... posłuchaj. Wydaje mi się, że coś niedobrego przydarzyło się Dawidowi.

— Co ty opowiadasz, Edith? — Kate McCarrick zaniepokoiła się. — Miałś od niego jakieś wiadomości?

— Nie... Właśnie przebudziłam się. Miałam sen.

W głosie Kate pojawiło się rozdrażnienie.

— Sen? Edith, czy zdajesz sobie sprawę, która jest godzina?

— Przepraszam, Kate, nie chciałam cię budzić...

— Nie obudziłaś — wtrąciła Kate, podczas gdy Edith mówiła nadal.

— ...był taki wyraźny, tak przerażający. Widziałam, jak Dawid tonie.

Kate odezwała się stanowczym tonem, ukrywając zaniepokojenie.

— Uspokój się, dobrze? To był tylko sen.

— Nie, to było coś więcej — nie ustępowała Edith. — On jest w niebezpieczeństwie. Czuję, że jest w niebezpieczeństwie. Dawid był pod wodą, coś wciągało go w głąb. Bardzo bał się...

— Czy chcesz zarejestrować ten przypadek?

— Proszę, nie bądź ze mną taka oficjalna, Kate. Dzwonię do ciebie jako przyjaciółka. Z tym domem jest coś nie w porządku. Dawid ma kłopoty. Boję się o niego.

Kate uświadomiła sobie, że niepokój zdołał pokonać jej początkową irytację.

— Jeśli ty masz jakieś obawy, to i ja zaczynam się przejmować. Ale sądzę, że niewiele można dziś zrobić w tej sprawie. Posłuchaj, zadzwonię do Mariellów jutro z samego rana — zauważyła, że Harcourt stoi oparty o futrynę drzwi w przedpokoju, trzymając w ręku kieliszek z brandy i przysłuchuje się rozmowie. — Dawid miał do mnie zadzwonić stamtąd dziś po południu, ale prawdopodobnie był zbyt zajęty ustawianiem aparatury. Edbrook to chyba duży dom.

— Nie mogłabyś zadzwonić jeszcze teraz?

Kate zmusiła się do protestu.

— Nie, to byłoby idiotyczne. Jest za późno, żeby zawracać im głowę.

— Kate..

Odezwała się stanowczym, ale jednocześnie łagodnym tonem.

— Proszę, nie zamartwiaj się, Edith. Wiesz, wydaje mi się, że to był tylko zły sen. Pamiętasz, rozmawialiśmy o Dawidzie przy lunchu? Może to spowodowało, że pojawił się w twoim śnie.

— Jeśli ty nie chcesz tego zrobić, to pozwól, że ja tam zadzwonię.

— Wiesz, że nie mogę tak postąpić. Klienci Instytutu mają zagwarantowaną pełną dyskrecję. Nawet nie powinnam rozmawiać z tobą na temat tego przypadku. A poza tym, nie mam ich numeru telefonu. Będę musiała jutro zadzwonić do informacji — Kate wpatrywała się w złocisty płyn w kieliszku Harcourta, czując, że sama ma ochotę na coś mocniejszego. — A teraz wracaj do łóżka, Edith, i przestań się martwić.

W twoim stanie zdrowia może to przynieść więcej szkody, niż pożytku. Przyrzekam ci, że skontaktuje się z tobą natychmiast, kiedy tylko uzyskam jakieś wieści, dobre lub złe.

— Proszę cię, Kate...

— Dobranoc, Edith.

Starsza kobieta zamrugała oczami, kiedy połączenie zostało przerwane. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w słuchawkę telefonu, zanim odłożyła ją na widełki. Myślała o Dawidzie Ashu.

Kate odwróciła się od telefonu z zamyślnym spojrzeniem. Na jej drodze stanął Harcourt.

— To brzmiało dość dramatycznie — powiedział.

— To jedna ze spirytystek zatrudnionych w Instytucie — odpowiedziała Kate z roztargnieniem. — Była bardzo zdenerwowana.

— Z pewnością jakaś neurotyczka — uśmiechnął się pogardliwie.

— Zazwyczaj ma bardzo trzeźwy osąd spraw, tak jak i my oboje.

— Trzeźwy? Ktoś, kto prowadzi konwersacje z duchami? Och, przestań, Kate. Rozumiem, że poważnie podchodzisz do swojej pracy, ale bywają chyba chwile, kiedy samej ciężko ci to przełknąć.

— Prawdę powiedziawszy, nieczęsto mi się to zdarza — Kate minęła go i weszła do pokoju, podnosząc po drodze swój kieliszek. Odwróciła się w jego stronę, gdy usiłował pójść za nią.

— Myślę, że powinienesz już pójść, Colin.

Harcourt zatrzymał się, patrząc na nią z niedowierzaniem.

— Hej, co takiego? Nie miałem zamiaru cię urazić. Wiem, jak bardzo przejmujesz się tym, co robisz. Wiem też, że niełatwo nam, zwykłym śmiertelnikom, zrozumieć to, czym zajmujecie się w tym waszym Instytucie.

— Wiem, Colin. Ale jestem trochę zmęczona.

— Chyba chciałaś powiedzieć, zatroskana — odparł.

— Nie zamierzam się z tobą kłócić. Nie chcę popsuć miłego wrażenia, jakie pozostawił ten wieczór.

— W takim razie przedłużmy go wspólnie. Posłuchaj, żona myśli, że jestem w delegacji.

— Powiedz jej, że udało ci się załatwić wszystkie sprawy wcześniej, niż sądziłaś. Na pewno sprawisz jej miłą niespodziankę. Harcourt odezwał się niedowierzająco:

— Mówisz poważnie?

Kate skinęła głową potakująco i podeszła do drzwi.

— Co, do diabła, w ciebie wstąpiło — powiedział, patrząc jej w oczy, a niedowierzanie zmieniło się w irytację. — Czy to ma coś wspólnego z człowiekiem, o którym rozmawiałaś przez telefon? Tym... Dawidem, prawda?

— Po prostu jestem zmęczona. Proszę, idź już, Colin.

Harcourt gwałtownym ruchem postawił kieliszek na stoliku i ruszył do drzwi, zabierając po drodze płaszcz, przewieszony przez oparcie fotela.

— Chyba nigdy cię nie zrozumiem, Kate — powiedział bardziej z rezygnacją, niż ze złością. Ton głosu Kate był ugodowy:

— Zadzwoń do ciebie jutro.

Zatrzymał się w drodze do wyjścia i powiedział:

— Może powinnaś sobie to darować.

— Może masz rację.

Z wyrazem zniechęcenia na twarzy, Harcourt zniknął w przedpokoju. Kate drgnęła na odgłos zatraskiwanych drzwi.

Usiadła na kanapie z kieliszkiem brandy trzymanym na kolanach. Wyglądała na zmartwioną. Myślała o Dawidzie Ashu.

Może powinna towarzyszyć mu podczas tej sprawy, tak jak bywało to wiele razy w przeszłości. Przypomniała sobie ostatnią taką wspólną sprawę, ponad rok temu...

Rozdział 9

— Kiedy ostatnio byłeś w kościele? — zapytała Kate.

— Dobre pytanie — odpowiedział Ash.

— Zresztą, to nieważne, będziesz miał okazję nadrobić zaległości w tym względzie.

Wziął od niej szklaneczkę z wódką i skrzywił się, kiedy poczuł smak toniku.

— Jak będziesz pił tę truciznę bez dodatków, to wkrótce się wykończysz — Kate usiadła obok niego na kanapie i wygodnie usadowiła się na poduszkach. Popijała wino, a Ash czekał aż się odezwie.

— Jest ciekawa sprawa i chciałabym, żebyś ją poprowadził — odezwała się w końcu.

— Czy w tym celu będę musiał wdziać sutannę?

— Nie, ale trzeba będzie spędzić trochę czasu w kościele.

— Nawiedzony kościół?

— Coś w tym rodzaju. Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów.

Wstał z kanapy, podszedł do barku i dolał wódki do swojego drinka. Kate pokiwała głową z rezygnacją.

— A więc, w czym rzecz? — powiedział, powracając na miejsce.

— Przyszło dziś do naszego biura dwóch mężczyzn, którzy opowiedzieli mi tę historię i przyznam szczerze, że trudno mi było w nią uwierzyć. Choć trochę pomógł w tym fakt, że obaj byli duchownymi. A poza tym, sprawiali wrażenie ludzi trzeźwo myślących.

— Księża przyszli po pomoc do Instytutu?

— Jeden z nich jest wikarym, niejaki Michael Clemens. Ten drugi to dziekan jego wiejskiej parafii, która mieści się w Wrexton.

— A gdzie to, u diabła, jest?

— Niedaleko Winchester. To takie małe miasteczko.

— Mam nadzieję, że sympatyczne.

— Nieszczerólnie, jeśli dać wiarę wielebnemu Clemensowi. Wygląda na to, że

kapłan traci wiernych, którzy obawiają się przestąpić próg kościoła. Jak się zdaje, wydaje im się, że ich świątynia opanowana została przez demony.

Ash skrzywił twarz, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

— Och, przestań, Dawid. Ten człowiek sprawiał wrażenie szczerego. Był bardzo zaniepokojony, ale jednocześnie mówił dość rozsądnie.

— A czy nie wydaje ci się, że zamiast przychodzić z tym do nas, powinni raczej zgłosić to swoim przełożonym?

— Ależ uczynili to. Wielebny Clemens najpierw poinformował swojego dziekana, który następnie, kiedy sprawy zaczęły przybierać gorszy obrót, skierował się do biskupa. To właśnie biskup poradził im, aby skontaktowali się z Instytutem, jednak pod warunkiem, że całej sprawie nie będzie nadawać się niepotrzebnego rozgłosu.

— Naturalnie.

— Naturalnie. Taka historia mogłaby postawić Kościół w idiotycznym świetle. Odniosłam wrażenie, że dziekan był przeciwny naszemu udziałowi w sprawie, ale zmuszono go do wyrażenia zgody na chłodne, naukowe i, co ważne, bezstronne dochodzenie.

— Wikary musiał mieć duży dar przekonywania.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Z moich doświadczeń wynika, że zazwyczaj Kościół woli takie rzeczy rozstrzygać we własnym zakresie. Jeśli trzeba wypędzić jakieś diabły, to przecież oni do tego są najbardziej kompetentni. Po co zatem zdecydowali się na wciągnięcie do sprawy ludzi z zewnątrz, ryzykując ośmieszenie?

— Chyba dlatego, że w miasteczku rzekome nawiedzenie stało się tajemnicą poliszynela. Niektórzy mieszkańcy jawnie dworują sobie z niego, a inni wydają się porządnie przestraszeni. Biskup chce za wszelką cenę powstrzymać dalszą eskalację tego zjawiska, zanim szkody będą nie do odrobienia i ma nadzieję, że nasza organizacja najlepiej nadaje się do tego celu.

— To brzmi rozsądnie. Kiedy mam zacząć?

— My. Będziemy pracować razem.

Ash zdziwił się.

— Jest jakiś szczególny powód? Spojrzała w bok.

— Będziemy mieli okazję spędzić trochę więcej czasu razem. Tacy jesteśmy ostatnio zapracowani... A poza tym już dawno nie byłam osobiście zaangażowana w żadne zadanie. Za dużo czasu poświęcam na sprawy organizacyjne.

Zastanawiał się, czy przypadkiem nie istnieje jeszcze jakiś inny ukryty powód. Czyżby Kate towarzyszyła mu, żeby mieć go na oku? Czy dodanie toniku do wódki było tylko delikatną wskazówką, sposobem zwrócenia mu uwagi: Dawid, dotarły do mnie różne pogłoski, nawet zażalenia na twoje zachowanie i teraz będziesz pod moją kuratelą? Wiedział, że nie chodzi jej tylko o reputację Instytutu. Niepokoiła się o niego. I to irytowało go bardziej, niż cokolwiek innego. Picie nie było problemem — z tym dawał sobie radę. Prawdziwym problemem stał się wewnętrzny niepokój — jego własny demon, nad którym trudno było mu zapanować. Tym bardziej, że przyczyna niepokoju pozostawała ukryta. Nie rozumiał jego źródła, ani też nie potrafił

mu się oprzeć. Alkohol przynajmniej stępsiał to wrażenie.

Kate ujęła jego dłoń, a Ash chciał ją wysunąć, lecz świadomie powstrzymał się.

— Myślę, że moglibyśmy wyruszyć do Wrexton jutro rano — powiedziała. — Zostaniesz dziś na noc?

Zadała to pytanie niby mimochodem, ale jej kciuk nagle przestał głaskać jego dłoń i widać było, że czeka na jego odpowiedź.

— Muszę się spakować.

— Moglibyśmy zabrać twoje rzeczy jutro po drodze.

Zastanawiał się, dlaczego szuka innych powodów, żeby zostać. Co się z nim, do diabła, dzieje?

— Twój entuzjazm mnie zniewala — powiedziała.

— Naprawdę mam ochotę zostać. To ja powinienem cię o to prosić.

Oczywiście za późno, ale jej dłoń zacisnęła się na jego.

— Porozmawiamy o tym później.

Miała na myśli czas, kiedy będą leżeli w łóżku, dotykając się nagimi ciałami, oddzieleni mrokiem od reszty świata, ale bliscy sobie nawzajem. Czas obopólnej bezbronności i czułej wrażliwości.

— Czy naprawdę musimy? — zapytał, a ona zrozumiała powagę tego pytania.

Na chwile przymknęła oczy.

— Wiesz, że tak.

Jednak nie rozmawiali tamtej nocy. Kate podjęła taką próbę, ale była zbyt zmęczona miłością, by nalegać. Dawid być może ulegał zmiennym nastrojom, bywał czasami irytująco zapatrzony w siebie, ale na szczęście potrafił być czuły i namiętny. I chwala Bogu za to.

Kate siedziała za kierownicą swojego saaba. Zjeżdżali właśnie z ronda w kierunku Winchester. Wkrótce powinien ukazać się drogowskaz z nazwą Wrexton. Rzuciła okiem w kierunku siedzącego obok Asha i zobaczyła, że spał z głową opuszczoną na pierś. Piękne dzięki, pomyślała. Zawsze to lepiej mieć dobre towarzystwo w długiej podróży samochodem. Zaproponował jej wcześniej, żeby pojechali jego samochodem, ale po pierwsze, nie podobał jej się stan techniczny auta, a po drugie, nie podobał jej się jego stan i nie mogła pozwolić, aby prowadził. Był całkowicie nieodpowiedzialny, ale przyjdzie kryśka na Matyska i kiedyś go złapią. Będzie to dla niego doskonałą nauzką.

Dawid, przebudź się, zanim nie będzie za późno, pomyślała. Dla dobra nas obojga.

— Obudź się, Dawid — powiedziała głośno. — Zaraz będziemy na miejscu.

I przebudził się. Ale nie tak, jakby ona tego pragnęła. Jeszcze nie tak.

Drzwi kościoła były półotwarte. Ash wszedł do środka i zawiódł się, sądząc, że wewnątrz będzie cieplej. Czy kościoły zawsze muszą być takie zimne? Ciepło duchowe to jedna rzecz, ale może więcej ludzi chodziłoby do kościołów, gdyby były przyzwoicie ogrzane. Szedł główną nawą, a odgłosy jego kroków odbijały się głośnym echem. Rozbawiło go to wrażenie: jakby jakaś zjawą kroczyła w ślad za nim.

Ash zatrzymał się, zwróciwszy spojrzenie w stronę ołtarza. Nie dostrzegł niczego złowrogiego. Tylko ponura ciemność. Dla Asha obraz ołtarza z krzyżem i świecami nie miał w sobie nic wzniosłego w słabym świetle, ledwie przenikającym okienne witraże. Już miał zawrócić, kiedy zobaczył, że przed ołtarzem ktoś klęczy.

Za sobą usłyszał głosy. Jeden z nich należał do Kate. Obejrzał się za siebie. Ujrzał ją wchodzącą do kościoła w towarzystwie mężczyzny, zapewne wielebnego Michaela Clemensa. Pastor Clemens miał około czterdziestu pięciu lat i był szczupłej budowy. Nosił grube okulary w rogowej oprawie. Kiedy Kate przedstawiła mu Asha, wikary uściśnął mu rękę sztywnym gestem. Nawet nie uśmiechnął się. Na jego twarzy dominowało zatroskanie.

— Bardzo dziękuję państwu za przybycie — odezwał się. — Może uda się państwu przekonać biskupa, że kościół św. Marka nie jest już miejscem odpowiednim dla chrześcijan.

— Sądzę, że źle nas pastor zrozumiał — odparł Ash. — Moim zadaniem jest udowodnić, że właśnie nie dzieje się tu nic bezbożnego. A przynajmniej, że nie mamy do czynienia z autentycznym przypadkiem nawiedzenia przez duchy.

Duchowny spojrział na Kate.

— Sądziłem, że...

— W większości badanych przez nasz Instytut przypadków u podstaw pozornie niezwykłych zdarzeń leżą całkowicie naturalne przyczyny, choć okoliczności mogą wskazywać na tajemniczy charakter zjawisk — wyjaśniła Kate. — Dawid jest prawdziwym ekspertem w rozwiązywaniu takich zagadek.

— Rozumiem — wielebny Clemens wydawał się zawiedziony. — Może się okazać, że tym razem nie pójdzie panu tak łatwo.

— Zapewniam, że w tego typu przypadkach zazwyczaj mamy do czynienia z dziełem wandalii lub dowcipnisiów. Może jeszcze wchodzić w rachubę ktoś, kto ma awersję do instytucji Kościoła, albo nawet osobistą, w stosunku do księdza.

— Zakładam, że powiedziano panu o charakterze zdarzeń, jakie mają tu miejsce.

Kate odpowiedziała za niego.

— Dawid zwykle zaczyna swoje dochodzenie nic nieznając szczegółów. Pragnie w ten sposób zachować niczym nie zmącony, trzeźwy osąd sprawy.

— Może ten przypadek jest wyjątkowy.

Kate zerknęła na niego ze zdziwieniem.

— Mogłoby to nam zaoszczędzić sporo czasu — Ash zwrócił się bezpośrednio do niej.

— Krew, panie Ash.

Oboje skierowali swą uwagę na duchownego.

— Krew na ścianach i świętych figurach. Ociekające krwią obrusy ołtarzowe. Pewnego ranka wszedłem do kościoła i zobaczyłem, że chrzcielnica dosłownie wypełniona jest krwią.

— Czy napotkał pastor również ekskrementy?

— Przepraszam?

— Ludzie, którzy włامują się do kościołów z przestępczymi zamiarami, często profanują święte miejsca w paskudny sposób. Pozostawienie ekskrementów i moczu to najłatwiejsze, co mogą zrobić.

— Nie, nic tak ohydneho.

— Krew też jest raczej ohydna. Gdzie znajdują się wspomniane przez księdza obrusy?

— Obawiam się, że spaliłem je. Nie mogłem ścierpieć widoku takiego świętokradztwa.

— Szkoda. Jakies inne zdarzenia?

— Dwa dni temu, nocą, ktoś podpalił kotarę za ołtarzem. Jedynie szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczać należy, że nie spłonął cały kościół.

Wikary poprowadził ich w kierunku ołtarza, pokazując po drodze uszkodzone figury w bocznych nawach kościoła.

— Proszę zobaczyć, jak są zniszczone. Osobiście usunąłem niektóre bardziej wulgarnie zniekształcone rzeźby.

Ash zainteresował się, kiedy zobaczył, że postać klęcząca przed ołtarzem zniknęła. Gruby filar zasłaniał mu widok, ale zrozumiał, że gdzieś w pobliżu ołtarza musi znajdować się jakieś wyjście. Kiedy podeszli bliżej ołtarza, zorientował się, że jego podejrzenia były słuszne. Były tam małe drzwi umieszczone w ciemnej wnęce.

— Organy kościelne zostały zniszczone w sposób uniemożliwiający ich naprawę — ciągnął dalej wikary. Wskazał na ambonę i dodał:

— Ozdoby zostały oderwane, a na drewnie są uszkodzenia przypominające ślady szponów. Proszę spojrzeć na te boczne drzwi — poprowadził ich w stronę wnęki, którą Ash wypatrył już wcześniej. — Wygląda tak, jakby ktoś zaatakował je siekierą. Tak samo wyglądają główne drzwi wejściowe.

— Nie zauważyłem — powiedział Ash.

— Nic dziwnego. Te ślady są od wewnątrz. Nie powstały w wyniku próby ich sforsowania, panie Ash.

Ash zmarszczył brwi oglądając ślady na mniejszych drzwiach.

— No i jeszcze świece. Wiele razy po przyjsciu do kościoła na poranne modlitwy zastawałem palące się lub wypalone do końca świece.

— Plebania jest w pobliżu odezwała się Kate. — Czy nigdy wielebny nie słyszał żadnych podejrzanych hałasów?

— Panno McCarrick, przez kilka nocy nie zmrzyłem oka i niczego nie zauważyłem. Jedynym dźwiękiem, jaki słychać czasami w nocnej głuszy, jest pojedyncze uderzenie dzwonu z kościelnej wieży. A gdy zaprowadzę państwa na górę, to sami stwierdzicie, że niemożliwe, by dźwięki te były dziełem ręki śmiertelnika.

Wspinaczka na wieże była dla Asha dużym przeżyciem. Dostał potwornej zadyszki, poza tym pokonanie ostatniego rzędu schodów wymagało od niego nie lada odwagi, gdyż drewniane stopnie były spróchniałe i wydawały się w każdej chwili grozić zarwaniem.

— Proszę chwilę poczekać, zaraz znajdę wyłącznik światła — powiedział pastor, podnosząc klapę wejścia na sam szczyt dzwonnicy. — Obawiam się, iż światło

dziennie prawie tu nie dociera.

Kiedy Ash i Kate dołączyli do niego, zrozumieli dlaczego. Okna dzwonnicy były pozabijane deskami i światło przenikało tam jedynie przez wąskie szpary. Jedynym oświetleniem była, zamocowana na stropowej belce, goła żarówka.

Ash wskazał palcem na ciężkie dzwony, pod którymi znajdowały się specjalne otwory w podłodze.

— Rozumiem, co pastor miał na myśli. Nie ma sznurów.

— No właśnie, panie Ash. Ani serc dzwonów. Nie było już ich tutaj na długo, zanim objąłem parafię, i żaden z miejscowych ludzi nie potrafi wyjaśnić, kiedy i gdzie zniknęły. A oś i koła od dawna pokrywa rdza. Obawiam się, że parafia św. Marka po prostu nie ma środków na remont dzwonów. Niestety, moi parafianie nie są zbyt hojni.

Pochylił się i otarł dłonią kurz z najbliższego dzwonu.

— Tak więc, sam pan widzi, panie Ash, że te dzwony nie mogły bić. Niemniej, w ostatnim czasie jeden z nich zadzwonił — głośno i wyraźnie. I to nie tylko jednej nocy. Dla mnie brzmiało to, jak dzwon pogrzebowy.

Był już wieczór, kiedy Kate zapytała:

— Dlaczego zrobiłeś wyjątek?

— Co? Otworzyła drzwi swojego Saaba.

— Chciałeś dowiedzieć się wszystkiego przed przystąpieniem do pracy. Ciekawa jestem, dlaczego.

— Przeczucie — odparł Ash.

— Podejrzewasz, że jednak „ręka śmiertelnika” maczała w tym palce?

— Och, przestań, Kate. Przecież wiesz, że tak.

Uśmiechnęła się.

— Tego masz właśnie dowieść — uśmiech zniknął z jej twarzy równie szybko, jak się pojawił. — Dawid, mieliśmy porozmawiać...

— Czekają na mnie. Pastor i jego żona zaprosili mnie na obiad.

— Obiad może poczekać.

— Nie. Nie teraz Kate. Ty wracaj do Londynu, a porozmawiamy, kiedy ta sprawa się zakończy.

— Jak zwykle: unikasz sedna sprawy.

— Przecież uzgodniliśmy na początku, że nie będziemy się w to angażować. Pamiętasz? Byłaś wtedy po rozwodzie. Wydawało mi się, że właśnie tobie zależało na tym układzie.

— Czasami o tym zapominam — wsiadła do samochodu i włączyła silnik. Zanim zatrzasnęła drzwiczki, powiedziała, nie patrząc w jego stronę:

— Zadzwoni do mnie, dobrze?

— Kate...

Ale drzwi samochodu były już zamknięte, rzuciła mu przelotne spojrzenie i po

chwili Saab ruszył. Ash patrzył jak odjeżdża. Nie był zły na siebie, ale czuł, że ogarnia go fala żalu. O co tak naprawdę mu chodzi? Dlaczego zawsze wszystko niszczy? Nie, to nie może być prawdą. Pozwalał, aby jego związki z kobietami powoli rozpadały się, nie chcąc żadnej z nich ranić, ale też nie dając nic z siebie. Powrócił do domu i w progu spotkał wielbego Clemensa.

— Zaczynamy obiad, Rosemary przysłała mnie po pana.

Wszedł do domu w towarzystwie duchownego, prawie żałując, że zgodził się zamieszkać na plebanii do czasu zakończenia śledztwa. Pokój w miejscowym zajeździe byłby lepszy, choć mieszkanie w pobliżu kościoła miało swoje niewątpliwe plusy.

Przy obiedzie wikary zabawiał go opowiastkami z życia Wrexton, a w szczególności swoich parafian. Wyraził głęboki żal, że kościół św. Marka zostanie zamknięty z powodu tych niesamowitych historii, a w takim przypadku będzie zmuszony wraz z żoną przenieść się do innej parafii. Kilka razy podczas posiłku Ash uchwycił ukradkowe spojrzenia Rosemary, która popijała jeszcze więcej wina od niego. Była nieco młodsza od męża, może o jakieś dwa lata, raczej tęgawa, ale mimo to atrakcyjna.

Ash przyjął z ulgą zakończenie obiadu i wyszedł z domu, by sprawdzić aparaturę, którą poprzednio ustawił w kościele, rozmowa z Clemensem bowiem nudziła go, a spojrzenia Rosemary stawały się coraz bardziej natrętne.

Po wizycie w kościele Ash zadzwonił do Kate z automatu przy głównej ulicy miasteczka. Zgodnie z prawdą powiedział jej, że nie ma na razie żadnych rewelacji. Obiecał także, że zadzwoni następnego dnia. Pożegnali się chłodno.

Po rozmowie z Kate Ash udał się do najbliższego pubu. Dopiero później wrócił na plebanie.

Dostał od pastora zapasowy klucz i starał się nie robić zbyt wiele hałasu na schodach, nie chcąc zakłócać spokoju duchownego i jego żony. Kiedy miał wchodzić do swojego pokoju, instynktownie wyczuł czyjąś obecność za plecami.

Rosemary Clemens stała w drzwiach swojej sypialni, przytrzymując ręką rozpiętą koszulę nocną.

— Przestraszyła mnie pani — powiedział.

Odezwała się przyciszonym głosem:

— Chciałam przeprosić pana za nudy podczas obiadu.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie.

— Mój mąż ciągle tylko opowiada o pracy i o swoich owieczkach. Jednak nie ma o nich dobrego zdania.

Czuł się bardzo niezręcznie, stojąc blisko tej kobiety, której dłoń przestała przytrzymywać koszulę. Starał się to zignorować.

— Nie ma za co przepraszać.

Podeszła bliżej.

— Może napije się pan... napijesz się czegoś przed snem? Nie mogę zasnąć. Michael nigdy nie ma z tym kłopotów — wskazała ręką drzwi w końcu korytarza. — Już od lat sypiamy osobno, Dawidzie.

— Nie jest już tak wcześnie — odrzekł Ash. — Prawie północ. A ja muszę jutro wcześnie wstać.

— Ale napiłbyś się jeszcze, prawda? — przysunęła się jeszcze bardziej do niego. — Moglibyśmy porozmawiać. Tylko porozmawiać. Wiesz, jak to jest, kiedy...

Oboje zastygli w bezruchu na dźwięk kościelnego dzwonu.

Kate skuliła się na przednim siedzeniu samochodu. Było zimno i ogarniała ją nuda. Kiedy dwa dni temu mówiła Dawidowi, że czuje potrzebę jakiegoś działania, nie miała na myśli nocnej obserwacji. Chuchnęła w zziębnięte dłonie.

Patrząc nocą na kościół św. Marka otoczony cmentarnymi nagrobkami, których kształty rzucały złowrogie cienie, była gotowa uwierzyć, że miejsce to nawiedzone jest przez duchy. Wieża z dzwonnica wznosząca się ku ciemnemu niebu także napawała lękiem. Nie zazdrościła Dawidowi, który musiał ubiegłej nocy wejść na górę po groźących zarwaniem schodach, by sprawdzić, w jaki sposób odezwał się dzwon. Kiedy wszedł do kościoła, odkrył, że urządzenia i aparaty zostały zniszczone lub rozregulowane. Na ścianach i na licznych świętych obrazach znalazł ślady krwi. Ławki kościelne były poprzewracane. Paliły się wszystkie świece.

Lecz nie natrafił na żaden ślad intruza. Nawet w dzwonnicy.

Dźwięki dzwonu urwały się zanim jeszcze wszedł do wnętrza kościoła, a kiedy w końcu dotarł na dzwonnice, nikogo tam nie było — jednak ktoś zniszczył jego przyrządy.

Kate z trudnością zapanowała nad przemożną chęcią uruchomienia na moment silnika samochodu po to, aby włączyć ogrzewanie. Miała szczerą nadzieję, że Ash, który ukrywał się teraz we wnętrzu kościoła, odczuwa zimno w taki sam sposób. Wikary i jego żona byli przekonani, że Ash wrócił do Londynu, by naprawić uszkodzone przyrządy i zabrać dalszą aparaturę potrzebną do dalszego śledztwa, które wznowione zostanie za dzień lub dwa. Jednakże Kate odwiozła go z powrotem do Wrexton po tym, jak zrelacjonował jej pewne plotki zasłyszane wcześniej w miejscowym pubie (w każdym miasteczku pub jest najlepszym miejscem do zbierania tego typu informacji o jego mieszkańcach). Nawet teraz nie była jeszcze pewna, czy sprawa, w którą się zaangażowali, nie nadaje się przypadkiem dla miejscowej policji. Przecież mieli do czynienia z przestępstwem. Ale oczywiście o takim rozwoju sprawy nie może decydować Instytut; jedynie wikary lub jego kościelni przełożeni mogą podjąć taka decyzję. Gdyby wielebny Clemens nie był owładnięty teorią o „opętaniu przez demony”, wtedy być może lokalna policja mogłaby wkroczyć do akcji.

Kate starła parę gromadzącą się na przedniej szybie samochodu wstrzymując na chwilę oddech i wypatrując czegoś w mroku. Ktoś skradał się w stronę kościoła pomiędzy nagrobkami cmentarza.

Mam nadzieję, że nie zasnęłaś tam, Davidzie, pomyślała Kate. Otworzyła drzwi samochodu najciszej, jak tylko zdołała.

Ash siedział na ławce w tylnej części pogrążonego w mroku kościoła, obok kamiennego filaru. Jedyne światłem docierającym do wnętrza była księżycowa poświata sącząca się przez witraże. Trzymał ręce głęboko w kieszeniach płaszcza, którego klapy miał postawione. Mimo to drżał z zimna. Nagle usłyszał w

ciemnościach jakiś dźwięk.

Poczuł podmuch powietrza. Otworzyły się drzwi.

Zobaczył jakiś czarny kształt przesuwany się w mroku. Ash trwał w bezruchu, pragnąc zobaczyć, co zrobi intruz.

Dźwięk zapalanej zapałki rozległ się nienaturalnie głośnym echem. Ash zobaczył, jak tamten zapala świecę, po chwili następną. Postać poruszała się po ołtarzu szybko i sprawnie, zapalając coraz to nowe płomyki. Zaczęło robić się jaśniej i Ash skulił się jeszcze bardziej w ławce, mimo że znajdował się nadal w cieniu. Teraz widział znacznie lepiej postać intruza.

Był zgięty w pół, jak gdyby miał na plecach garb. Miał na sobie luźną, ciemną szatę z kapturem zakrywającym całą twarz.

Po chwili Ash zrozumiał, dlaczego zdawało mu się, że postać jest zdeformowana. Tamten dźwigał coś ciężkiego przed sobą.

W trakcie gdy Ash obserwował go, tajemniczy intruz podniósł pojemnik i zaczął wylewać jakiś płyn na ołtarz.

Kate zabrała z sobą latarkę, ale na razie nie włączyła jej.

Zaczekała przed furtką wiodącą na teren kościoła i weszła dopiero wtedy, gdy intruz zniknął jej z pola widzenia. Zaciśnęła zęby ze złości, kiedy furtka otworzyła się z głośnym skrzypieniem zawiasów.

Pobiegła przez cmentarz, nie chcąc na dłużej tracić z oczu tajemniczej postaci w czerni i zgadując, że tamten zmierza w stronę bocznego wejścia do kościoła. Kiedy żwir zachrząścił pod jej stopami, Kate zeszła na trawę, uważając, by nie deptać po płytach nagrobnych. Kusiło ją, by włączyć latarkę.

Dotarła do rogu budynku i wyjrzała. Nie było śladu intruza.

Po chwili usłyszała go z prawej. Był tam, w innej części cmentarza. Ale zmierzał w przeciwną stronę.

Kate zmrużyła oczy. To niemożliwe! Postać skradająca się pomiędzy grobami szła w kierunku plebanii.

Ash zsunął się na klęcznik, kiedy zakapturzona postać ruszyła w stronę środka kościoła, trzymając w dłoniach świecę.

Intruz zatrzymał się na chwilę, jak gdyby zdał sobie sprawę z czyjejś obecności, a Ash skulił się jeszcze bardziej i wstrzymał oddech, czekał aż odgłos kroków pojawi się znowu.

Kiedy tamten minął ławkę, na której ukrywał się, Ash obrócił głowę, by móc nadal obserwować tajemniczą postać. Patrząc na nią od tyłu, Ash miał wrażenie, że sylwetkę intruza otacza delikatna aureola — efekt spowodowany przez trzymaną przezeń świecę. Zakapturzony osobnik zmierzał w stronę wąskich drzwi wiodących na dzwonnice.

Przez chwilę płomień świecy oświetlał wejście, by po chwili — kiedy postać weszła na schody — zniknąć w mroku. Ash cicho przesunął się wzdłuż ławki, po czym popędził w stronę ołtarza, gdzie paliły się wyjęte z lichtarzy i ustawione na

podłódze świece. Ich płomienie odbijały się na powierzchni rozlanego płynu.

Prędko pokonał stopnie dzielące go od ołtarza, podejrzewając, że świece ustawiono w kałuży rozlanej benzyny.

Ash nie czuł oparów benzyny, lecz zupełnie inny zapach. Ciężki, nieprzyjemny odór. Ash zatrzymał się przed samym ołtarzem i jego ręce dotknęły lepkiej krwi.

— Nie ruszać się!

Kate zapaliła latarkę i skierowała jej światło prosto w oczy mężczyzny. Obserwowała go, jak skradał się w kierunku domu, zaglądał do wnętrza przez oświetlone okna i myszkował w pobliżu tylnych drzwi. Kate nieostrożnie nadepnęła na jakąś gałązkę, która pękła z trzaskiem zdradzając jej obecność. Mężczyzna obrócił się gwałtownie, jakby spodziewał się ataku. Kate nie miała innego wyjścia, jak tylko przyjąć wyzwanie; oślepiła go strumieniem światła latarki.

— Co u licha pan tu robi? — krzyknęła, mając nadzieję, że nie usłyszy lęku w tonie jej głosu.

— Wyłącz to cholerne światło! — padła gniewna odpowiedź. O, nie, pomyślała Kate.

— Zadałam pytanie. Co tu robisz?

— Nie twój zakichany interes! Wyłącz to światło!

Mężczyzna zrobił krok w jej stronę i Kate rzuciła się do ucieczki. Robimy tyle hałasu, że na pewno zaalarmujemy Dawida i mieszkańców plebanii, pocieszała się w myślach. Trzymaj się i nie daj się zastraszyć!

Otworzyły się tylne drzwi plebanii i mężczyzna stanął w jasnym świetle padającym z wnętrza domu.

— Co tam się dzieje?

Kate rozpoznała głos żony wikarego, Rosemary.

— Eric, czy to ty?

Mężczyzna nawet nie zadał sobie trudu, żeby odwrócić się w jej stronę.

— Nic nie mów, Rosemary.

Kobieta przerzuciła wzrok w stronę źródła snopu światła, wciąż nie zauważając Kate.

— Michael, powiedziałeś, że masz spotkanie z dziekanem i że będziesz w domu bardzo późno.

Kate odezwała się, wreszcie zaczynając coś rozumieć:

— To wy we dwójkę? To wy jesteście tymi wandalami, którzy dewastują kościół. Mój Boże, co za okrutna gra. Jak pani mogła zrobić to mężowi, pani Clemens?

— Kto tam? Kim pani jest?

Kate podeszła, nadal kierując latarkę ku mężczyźnie, jakby był to pistolet.

— Jestem Kate McCarrick z Instytutu Badań Psychiki. Byłam tu wczoraj z Dawidem Ashem.

— Ale... co pani tu robi? — złapała się futryny drzwi, jakby dla oparcia.

— Oczywiście, to co pani wyprawia, jest pani prywatną sprawą, ale powinna pani wiedzieć, że pani rozliczne romanse stają się głośne w miasteczku. Lecz osobną sprawą jest psychiczne znęcanie się nad mężem poprzez profanacje jego kościoła — wyłączyła latarkę, a mężczyzna przetarł oczy z ulgą. — Dlaczego zdręcza pani męża w ten sposób, pani Clemens? Co pani chciała przez to osiągnąć?

— To wariatka — warknął mężczyzna o imieniu Eric. — Jesteś cholerną wariatką, kobieto! — zwrócił się w stronę Kate.

— Myślę, że oboje będziecie musieli sporo wyjaśnić — odpowiedziała Kate opanowanym tonem. — Policja na pewno...

Urwała. Twarze wszystkich trojga zwróciły się w stronę szarej bryły kościoła, skąd dobiegł ich dźwięk dzwonu.

Ash pokonywał wąskie stopnie wiodące na dzwonnice w ogłuszającym hałasie bijącego dzwonu. Oświetlał schody latarką, ciężko dysząc z wysiłku i czując ból w mięśniach nóg.

Potknął się, boleśnie uderzając nogą o krawędź kamiennego stopnia, lecz szybko podniósł się i kontynuował wspinaczkę zdecydowany za wszelką cenę zdemaskować osobę, która „nawiedzała” kościół św. Marka. Czuł, że w atmosferze świątyni jest coś niedobrego, ale daleki był od przypisywania tego opętanym demonom. Zgnilizna — nie potrafił bowiem znaleźć lepszego terminu na określenie tego — miała o wiele więcej wspólnego ze słabością ludzkiej natury, niżli ze świętokradczą działalnością duchów. Wierni odwracali się od świątyni wielbnego Clemensa z innych powodów niż religijne zwątpienie.

Dotarłszy na drugie piętro wieży, oparł się plecami o ścianę, z trudnością łapiąc oddech. Od tego miejsca schody były drewniane i skrzypiały niemiłosiernie pod naciskiem stóp. Ash musiał skoordynować dalszą wspinaczkę z ogłuszającym biciem dzwonu. Przez otwory w podłodze, przez które niegdyś przewleczone były liny, widział w górze słaby płomień świecy.

Ruszył dalej, czując się bardziej niż nieswojo wśród niesamowitego hałasu.

Migoczący promień świecy przygasł, jak gdyby ktoś osłonił go ręką przed podmuchem wiatru. Ash zbliżał się wolno, podpierając się rękoma o ścianę. Dotarł do klapy w podłodze dzwonnicy. Dostrzegł wielki cień odwróconej do niego plecami postaci.

Ash wszedł do środka i zauważył, że zakapturzony osobnik był zajęty czymś przy ścianie.

Wciąż słyhać dźwięk dzwonu, ale żaden z dzwonów nie poruszał się. Tajemnicza postać też trwała w bezruchu.

— Wyłącz to! — krzyknął Ash, nie mogąc już znieść ogłuszającego hałasu.

Tamten wydawał się nie słyszeć.

— Wyłącz to! — powtórzył, tym razem zapalając latarkę, skierowaną ku zakapturzonej postaci.

Tamten nagle zeszywniał. Po chwili zaczął odwracać się w stronę Asha.

Ash trzymał latarkę tak, jakby to była wycelowana broń.

Po chwili ukazała mu się twarz.

— Proszę to wyłączyć — powiedział Ash po raz trzeci, zdając sobie sprawę, że tamten go nie słyszy. Ale pastor zrozumiał jego słowa, mimo że nie dotarły do jego uszu. Sięgnął ręką w kierunku urządzenia i przekreślił wyłącznik.

Ash poczuł ulgę, choć dźwięk wybrzmiewał jeszcze przez chwilę.

— Niech to załatwią między sobą — powiedział Ash, kiedy wraz z Kate McCarrick szedł przez cmentarz do samochodu. — Wykonaliśmy zadanie, a reszta należy do nich.

Drzwi plebanii zamknęły się za nimi cicho. Wewnątrz domu dziekan przemawiał łagodnym tonem do pastora Clemensa.

— Obawiam się, że raport Instytutu wcale mu nie pomoże — powiedziała Kate.

Była przygnębiona. Nie dlatego, że przypadek okazał się nie mieć nic wspólnego ze światem duchów, ale ponieważ serdecznie współczuła pastorowi.

— To nie nasz problem — odezwał się Ash bezkompromisowym tonem. Powinien zwrócić się z tym do swoich przełożonych, a nie do nas.

To, że podejrzewał żonę o sypianie z połową męskiej populacji miasteczka, mogło okazać się zbyt trudnym do przełknięcia zwierzeniem.

Ash wzruszył ramionami.

— Nie z połową, ale z dostateczną liczbą facetów, by wywołać plotki. Swoją drogą, wydaje mi się, że bardziej nienawidził swoich parafian za to, że szeptali za jego plecami, niż własną żonę.

— Ale, żeby upozorować nawiedzenie...

— Pragnął zamknięcia parafii. Chciał stąd wyjechać i zacząć gdzieś na nowo. Trudno go za to winić.

Kate otworzyła drzwi po stronie kierowcy, a Ash obszedł samochód dookoła. Wsiadł i zasłonił twarz dłońmi. — Ale jestem zmęczony — powiedział.

— Nie śpij w drodze powrotnej. Potrzebne mi jakieś towarzystwo W czasie nocnej jazdy — zerknęła na zegar na tablicy rozdzielczej. — A właściwie porannej — zatrzasnęła drzwi samochodu. — Wiedziałaś o tym od początku?

Potrząsnął przecząco głową.

— Jedyne podejrzewałem. Sprawiał wrażenie bardzo znerwicowanego. Nie ma teraz sensu badanie krwi rozlanej na ołtarzu, ale jestem pewien, że jest zwierzęca. Z pewnością zabijał jakieś bezdomne koty lub psy, a może owce.

— To ohydne. Człowiek w służbie bożej. — Doprowadzony do ostateczności. Możliwe zresztą, że ma lekkiego bzika. Trudno za wszystko winić Rosemary. Ciekawiło mnie, jak on to robił — Ash wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i wyjął jednego. — Krew, świece, pożar i zniszczenia to wszystko było proste dla kogoś, kto miał swobodny dostęp do kościoła. Siady profanacji miały sprawiać dramatyczne wrażenie, ale kiedy o tym pomyśleć, to przecież nigdy nie doszło do poważnych zniszczeń. Gdyby mu całkiem odbiło, albo gdyby nie trzymały go w ryzach święte przyrzeczenia, to najprawdopodobniej spaliłby kościół. Ale najbardziej interesowało mnie, jak udawało mu się spowodować bicie dzwonu.

— Prosty wyłącznik czasowy podłączony do magnetofonu?

— Właśnie. Nie miał okazji go dziś nastawić, bo spędził prawie cały dzień u dziekana.

Kate włączyła rozrusznik i silnik Saaba zaczął cicho pracować.

— Rosemary sądziła, że wróci dopiero późnym wieczorem i zaprosiła kolejnego kochanka.

— Pastor przeprosił dziekana i wyjechał wcześniej, myśląc, że jestem w Londynie. To wszystko było strasznie głupie. Przecież prędzej czy później znalazłbym ukryty za deskami magnetofon, nawet gdybym miał rozwalić te dzwonnice na strzępy.

— Podejrzewam, że nie kierował się rozsądkiem.

Ash zaciągnął się łąpczywie papierosem, sadowiąc się wygodnie na siedzeniu.

— To nie była trudna zagadka. Wszystko wydawało się oczywiste. Jednak wciąż pewna rzecz nie daje mi spokoju — dodał.

Kate spojrzała na niego pytająco.

— Dwa dni temu, kiedy po raz pierwszy wszedłem do kościoła św. Marka, ujrzałem kogoś przy ołtarzu. Ktoś tam klęczał. A może po prostu był niewielkiego wzrostu. Teraz myślę sobie, że to mogło być dziecko. Wydawało mi się, że ten ktoś wyszedł bocznymi drzwiami, ale gdy podeszliśmy tam z pastorem, drzwi były zamknięte od wewnątrz na zamek i zasuwę. Jednakże, nie było żadnej innej drogi wyjścia z kościoła; nikt nie mógł niepostrzeżenie przejść obok nas w kierunku głównych drzwi.

Oboje obejrżeli się w kierunku kościoła i okalającego go cmentarza.

Rozdział 10

Obłoki pary unosiły się w górę, liżąc delikatnie powierzchnie ścian łazienki i pozostawiając na białych kaflach wilgotne ślady. Jedynym dźwiękiem było gwałtowne chlupotanie wody, kąpiel ta bowiem była dla Asha czymś więcej niż zwykłym oczyszczeniem ciała; szorował skórę jakby chciał usunąć coś, co przedostało się pod nią, jakby nieczystości stawu przeniknęły do jego wnętrza. Wydawać by się to mogło irracjonalne, jednak Ash nie potrafił wyzbyć się dziwnego uczucia.

Wkrótce brud fizyczny zniknął, lecz poczucie wewnętrznego skalania pozostało.

Wanna była ogromna, z emalią pokrytą brązowymi plamami poniżej staroświeckich kurków. Żeliwne nogi wanny były poskręcane, jak gdyby ugięły się pod jej ciężarem. Nad starą, prostokątną umywalką wisiało małe lustro, którego tafla pokryta była teraz drobnymi kropelkami pary, a obok stał jasnozielony taboret o popękanej i częściowo złuszczonej powłoce farby.

W końcu stanął w wannie, odgarniając czarne włosy opadające na oczy. Ostrożnie, aby nie pośliznąć się na lśniącej podłodze, sięgnął po wiszący opodal ręcznik. Wycierał się energicznymi ruchami, jakby czynność ta stanowiła dalszy ciąg mistycznego procesu oczyszczenia. Na chwilę przerwał nad słuchując i spoglądając w kierunku drzwi łazienki. Lecz nic nie zakłócało ciszy w Edbrook. Skończył wycieranie, po czym ubrał płaszcz kąpielowy. Jego ciało było znów wilgotne, tym razem jednak od pary zebranej w pomieszczeniu.

Ash wyjął korek z otworu odpływowego wanny i ręką zmył brudny, mydlany osad z jej powierzchni. Wpatrywał się w wir spływającej wody jakby zahipnotyzowany. Jego myśli błądziły zupełnie gdzie indziej — w innym czasie i przestrzeni... Zadrżał i powrócił do rzeczywistości. Zrobił głęboki wdech i wydech, uspokajając skołataną nerwy.

Gdy woda spłynęła, Ash podszedł do drzwi łazienki. Jego ręka ślizgała się po wilgotnej powierzchni mosiężnej gałki. Zawahał się przed ponowną próbą otwarcia drzwi, zastanawiając się, skąd bierze się uczucie, że po drugiej stronie ktoś czeka na niego. Zacisnął dłoń na gałce i przekręcił ją. Z ledwie oświetlonego, lecz pustego korytarza wtargnęła fala zimnego powietrza.

Przeczesując palcami mokre włosy, Ash poszedł bosy do swojego pokoju, czując, mimo napięcia nerwowego, narastające zmęczenie.

Zamknął za sobą drzwi i podszedł do sekretarzyka, gdzie rozłożone były jego notatki i plany domu. Obok stała szklaneczka i Ash natychmiast napełnił ją do połowy wódką. Pociągnął spory łyk, potem następny, czekając aż alkohol rozleje się ciepłą falą w piersiach i dopiero wtedy podszedł do okna. Popatrzył w dół, na ogród, zadowolony, że z jego pokoju nie widać tarasu i stawu.

Nie podobały mu się posągi ustawione w ogrodzie i cienie rzucane przez drzewa i krzewy. Czy na pewno są tylko cieniami? Co się z nim dzieje? Wpadł do stawu popchnięty przez kogoś — kogoś, nie przez psa! — i wydawało mu się, że ta osoba znalazła się wraz z nim w stawie, oraz że chciała, by utonął. Jednakże wizja ta była zakłócona, zamazana przez wydarzenia sprzed lat, przez koszmarne wspomnienie, które wypaczało jej prawdziwy obraz. Cholera! Musi się uspokoić i zacząć wreszcie myśleć logicznie! Mariellowie wydawali się coś przed nim ukrywać. Idiota! Przecież sam powiedział im, żeby nic nie mówili na wstępnym etapie badań. Pozwolił, by jedno nieprzyjemne zdarzenie zakłóciło realny stan rzeczy. Oni naprawdę wierzyli, że dom jest nawiedzony. Natomiast jego zadaniem było dostarczenie im dowodów, że jest inaczej, wyjaśnienie, że zjawisko występujące w Edbrook — niezależnie od formy jaką przyjmuje — ma racjonalne podłoże. Duchy, zjawy, zabłąkane dusze, wampiry nie istnieją. To niemożliwe. Za dzień lub dwa z pewnością uda mu się ich przekonać o niedorzeczności takich wyobrażeń. I on także będzie mógł odzyskać dawną niezachwianą pewność.

Z wyrazem obrzydzenia na twarzy odwrócił się od okna i podszedł do łóżka, zabierając z sobą szklaneczkę i butelkę z wódką. Postawił je na stoliku, gdzie były pod ręką, zdjął płaszcz kąpielowy i wsunął się do łóżka.

Pościel była nieprzyjemnie chłodna, aż zadrżał z zimna. Kiedy zgasił lampkę, pokój wypełnił mrok nie rozproszony przez zasnuty chmurami księżyc. Ash miał otwarte oczy. Wpatrywał się w ciemnoszarą płaszczyznę sufitu...

Wszystkie światła pogasły. Edbrook stał się ogromną bryłą, która zlała się w jedno z czarnym tłem pochmurnej nocy. Lekki wiatr targał koronami drzew i gałęziami krzewów w ogrodzie. W lesie nocne zwierzęta polowały, tocząc gwałtowne, lecz krótkie walki z ofiarami. Grzyby pasożytujące na gnijących pniach drzew fosforyzowały niebieskozielonym światłem. Chrząszcze poruszały się, żerowały w leśnym poszyciu. Księżyc wyglądał jak zjawą, zasnutą ciężkimi chmurami, przesuwającymi się leniwie na tle mrocznego nieba.

Wewnątrz domu Ash spał, ale nie był to zdrowy sen.

Śniło mu się, że pogrzeża się w czarnej, wodnej otchłani. Od czasu do czasu wynurzał się na powierzchnię i widział po obu stronach brzegi rzeki, które coraz bardziej oddalały się od niego. Krzyczał, a zimna woda wypełniała mu usta, dławił się i dusił.

Nagle silny prąd wciągnął go w głębinę. Prócz niego, w wodzie znajdował się jeszcze ktoś, walczący z prądem tak jak on. To była dziewczynka o długich włosach oplatających twarz. Jej ramiona i nogi rozpaczliwie miotaly się w wodzie. Ona również miała otwarte usta, jak gdyby krzyząc z przerażenia. Dziewczynka oddalała się od niego i jej sylwetka stawała się coraz bardziej zamazana przez wody rzeki, jednakże po chwili ujrzał jeszcze jej nogę w białej skarpetce i zauważył, że nie jest obuta. Później zniknęła mu zupełnie z oczu.

Znowu prąd wody wyniósł jego wątłe, chłopięce ciało na powierzchnię. Nie miał siły, by walczyć z żywiołem.

I znów ją ujrzał, tym razem tylko jej rękę, która wydawała się machać do niego, zanim na dobre zniknęła w odmętach...

Ash przebudził się z cichym jękiem. Miał jeszcze przed szeroko rozwartymi oczami wizję z sennego koszmaru. Jednak wkrótce poczuł nadejście fali innych emocji: głębokiego smutku, a może wyrzutów sumienia. Jego ciało było złane zimnym potem.

Przez okno zaglądał do pokoju świt, lecz jego szarość nie dawała ukojenia.

Rozdział 11

Ash przyklęknął, żeby zbadać pył rozspany u szczytu schodów. Jednak zbyt wiele stóp zdeptało to miejsce — prawdopodobnie zeszłej nocy lub dzisiaj rano — by był z tego jakiś pożytek. Wziął do ręki szczyptę proszku i rozsypał go w powietrzu. Lecz pyłek opadał i nic nie wskazywało na istnienie przewiewu. Spojrzał na umieszczony na ścianie termometr. Było dość zimno, ale raczej normalnie jak na chłodny, jesienny poranek w nie ogrzewanym budynku.

Ash zszedł na dół do jadalni, skąd dobiegały przytłumione odgłosy rozmowy. Christina śmiała się z czegoś, co opowiadał Simon, a Robert Mariell, siedzący przy końcu stołu, uśmiechał się. Rozmowa zamarła, kiedy Ash wszedł do pokoju.

— Panie Ash — Robert powitał go wskazując dłonią miejsce, obok ciotki Tessy, naprzeciwko swojego rodzeństwa. — Mam nadzieję, że spał pan dobrze mimo tego, co zdarzyło się zeszłej nocy.

Ash wysunął krzesło spod stołu i usiadł.

— O, tak... spałem — odpowiedział. — Choć nadal nie rozumiem, co się właściwie stało. Jestem pewien... Jestem zupełnie pewien, że widziałem w ogrodzie dziewczynę.

Patrzyli na niego w milczeniu.

— W porządku — przyznał. — Może to i pies wtrącił mnie do stawu. Niemniej, wiem na pewno, że wyszedłem z domu w ślad za jakąś dziewczyną — spojrzał przed siebie. — Myślałem, że to byłaś ty, Christino.

Odwzajemniła jego spojrzenie, ale milczała.

Milczenie przerwał Simon:

— Myślę, że najwyższa już pora, aby nasz pogromca duchów dowiedział się, co właściwie dzieje się w Edbrook.

Po chwili wahania odezwał się Robert:

— Tak, naturalnie. Zeszłej nocy nie chcieliśmy panu już zawracać głowy, znajdował się pan bowiem w stanie lekkiego szoku oraz dlatego, że przecież sam zalecił nam pan wstrzymanie się od wyjaśnień. Jednak sądzę, że nadeszła właściwa pora, by powiedzieć panu o duchu, który nawiedza Edbrook.

— Ja też tak sądzę — przytaknął Ash.

— W takim razie należałoby zacząć od cioteczki, która pierwsza natknęła się na naszego ducha.

Wszystkie oczy skierowały się na ciotkę, która w tym czasie odeszła od stołu, żeby podać śniadanie dla Asha. Postawiła przed nim talerz z porcją jajecznicy na bekonie z grzybami, i usiadła spuszczać wzrok, jak gdyby trudno było jej zabrać głos w tej sprawie.

— No, ciociu, nie wstydź się — zachęcił ją Simon. — Pan Ash jest tu po to, aby nam pomóc.

Ash łagodnie ponowił prośbę.

— Proszę opowiedzieć o swoich doświadczeniach, panno Webb. Przrzekam, że nie będę się z niczego wyśmiewał. Nic nie jest w stanie mnie zdziwić.

Nadal niechętnie, przemówiła łamiącym się głosem:

— Ja... widziałam... tego ducha kilka razy.

— Zawsze w tych samych miejscach? — zapytał.

— Nie. W różnych częściach domu. I... i w ogrodzie.

— Przy stawie?

Unikała jego wzroku.

— Tak. Raz.

Ash powiódł poważnym wzrokiem po twarzach pozostałych domowników.

— Jaką postać przybiera to zjawisko, to znaczy... ten duch?

— To dziewczyna — odparła. — Młoda dziewczyna.

Ash przyłapał Simona i Christinę na wymianie konspiracyjnych uśmiechów. Ukrył rozdrażnienie.

— Ubrana w białą zwiewną suknię lub nocną koszulę — powiedział, nie traktując tego jako pytanie. Ciotka potaknęła z wyraźną niechęcią.

— W ciągu jakiego czasu?

Podniosła wzrok i spojrzała na niego.

— Proszę?

— Od jak dawna występuje to zjawisko?

— To na pewno duch, panie Ash — wtrącił się Robert Mariell.

— To jeszcze nie zostało ustalone — Ash odpowiedział szorstko. — Od jak dawna, panno Webb?

— Od lat. Od wielu lat.

— W takim razie, dlaczego dopiero teraz zdecydowaliście się zbadać tę sprawę? Znowu Robert odezwał się w jej imieniu.

— Ponieważ do niedawna jedynie Cioteczka była świadkiem tego, eee... zjawiska. A teraz my wszyscy.

Simon zasłonił usta dłonią, jak gdyby pragnąc stłumić chichot. Ash patrzył na niego przenikliwym wzrokiem.

— Czy to jest jakiś dowcip?

— Proszę wybaczyć mojemu bratu — usprawiedliwił go Robert. — Jemu wszystko wydaje się zabawne.

— Nie jestem w tym odosobniony — szybko odpowiedział Simon. Brat zignorował go.

— Jesteście bardzo niegrzeczni w stosunku do naszego gościa — odezwała się ciotka Tessa z wyrzutem.

— Masz zupełną rację, ciociu — powiedział Robert z uśmiechem i odwrócił się do Asha. — Niestety, ciocia musi znosić nasze młodzieńcze poczucie humoru od czasów naszego wczesnego dzieciństwa. Często zastanawiam się, jak wytrzymała z nami tyle lat.

Odezwała się cicho, tak jakby mówiła do siebie:

— Ktoś musiał. Ktoś... — jeszcze raz spuściła wzrok tak, jakby przyglądała się prawie nietkniętej zawartości swojego talerza.

Ash próbował zacząć śniadanie, ale zupełnie nie miał apetytu.

— Powiedzieliście państwo, że wszyscy widzieliście to, co według was jest duchem mającym postać dziewczyny. Robert odpowiedział za wszystkich:

— Nieraz. I każde z nas widziało ją w innych częściach domu. Ale jedynie Cioteczka widziała tę biedną duszyczkę poza murami Edbrook.

— Dlaczego nazywa pan tego ducha „biedną duszyczką”?

— Czyż nie tak właśnie zazwyczaj określa się duchy? Błąkające się dusze zmarłych, którzy odeszli z tego świata w dramatycznych, często tragicznych, okolicznościach? Jestem pewien, że gdzieś o tym czytałem.

— To powszechnie pokutująca teoria.

Christina odezwała się po raz pierwszy tego ranka:

— Ale ty jej nie akceptujesz, prawda?

Światło, wpadające przez wysokie okno za jej plecami, rzucało czerwoną aureolę na jej włosy. W oczach Christiny dostrzegł iskierki rozbawienia i zastanawiał się, czy szydzi z niego.

— Wydaje się prawdopodobne, że niektórzy ludzie umierają w stanie tak silnych emocji, powodowanych bólem, smutkiem lub szokiem, iż pozostawiają po sobie coś w rodzaju trwałego wrażenia, które może utrzymywać się w postaci „zjawy” przez

bardzo długi czas — zwrócił się teraz w stronę Roberta. — Wyobrażam sobie, że Edbrook ma długą historię. Czy Mariellowie byli jego właścicielami od początku?

— Wiele pokoleń naszej rodziny żyło w tym majątku, panie Ash — powiedział Robert. — Mariellowie zamieszkują ten dom od szesnastego wieku, to jest od momentu zbudowania Edbrook.

— Może zatem wiadomo panu o...

Natychmiast wtrącił się drugi z braci:

— Mariellowie zawsze okrywali tajemnicą swoje nieszczęścia. O ile mi wiadomo, w Edbrook nie miały miejsca żadne tragedie. Nasze pokolenie oczywiście doświadczyło niezwyklej tragedii. Mam tu na myśli śmierć naszych rodziców, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, ale oni zginęli w wypadku samochodowym w miejscu odległym od domu.

— A może jacyś goście domu lub służący zmarli tu w tragicznych okolicznościach?

— Istotnie, to były czasy, kiedy mieliśmy służbę w Edbrook. Teraz prowadzenie domu spoczywa wyłącznie na barkach biednej cioteczki. Lecz mimo to, świetnie daje sobie radę...

Ciotka, która właśnie nalewała herbatę gościowi, nie wydawała się zachwycona komplementem. Ash podziękował, gdy postawiła przed nim filiżankę, lecz dziwiła go jej małomówność.

— Niestety, nic mi nie wiadomo o żadnych morderstwach lub samobójstwach gości lub służących na terenie Edbrook.

— Aż dziwne, że nie ma żadnych mrocznych tajemnic związanych z tym starym domem — dołał mleka do herbaty i upił mały łyk. Bardzo by mi pomogło, gdybym wiedział, kim była ta dziewczyna.

Christina pochyliła się nad stołem i zapytała:

— Czy to ma oznaczać, że wierzysz w to, że dom jest nawiedzony przez ducha?

Wzruszył ramionami.

— Nie mogę wykluczyć, że błąka się po domu utrwalony kiedyś obraz pewnej osoby. Może właśnie taki wizerunek wczoraj widziałem?

— To przecież tylko inna forma słowa „duch” — upierał się Simon.

— Nie, to inna forma słowa „wyobrażenie”. To nie musi być duch w tym sensie, w jakim pan to rozumie..

Spojrzał po wszystkich zgromadzonych przy stole.

— Chciałbym, żeby każde z was...

Ciotka Tessa krzyknęła. W rękę trzymała pojemniczek z pieprzem, którego pokrywka, wraz z kupką mielonego pieprzu, leżała teraz na jej talerzu. Simon i Christina wybuchnęli gwałtownym śmiechem, a kiedy ciotka kichnęła, śmiech stał się histeryczny. Nawet Robert roześmiał się serdecznie ubawiony.

Ash wodził wzrokiem po ich twarzach, zażenowany tym dzieciennym dowcipem.

Przyglądał się Christinie, która pochwyciła jego spojrzenie i w tej samej chwili umilkła. Popatrzyła na braci, jakby szukała u nich potwierdzenia, ale nie zauważyli jej

spojrzenia.

Ash nadal ją obserwował, lecz unikała jego wzroku. Zastanawiał się, dlaczego.

Rozdział 12

Kate McCarrick popchnęła wahadłowe drzwi wejściowe do Instytutu Badań Psychiki i przeszła obok biurka sekretarki, witając się i odbierając od niej stertę listów. Przeglądała je po drodze do swojego gabinetu, położonego na pierwszym piętrze, mrucząc po drodze słowa pozdrowienia w stronę mijanych pracowników.

Kiedy była już w swoim pokoju, rzuciła listy na biurko, zdjęła szalik oraz płaszcz i powiesiła je na wieszaku przy drzwiach. Usiadła i zaczęła przeglądać notatnik, w którym zapisane były terminy spotkań. Podniosła słuchawkę telefonu i wcisnęła biały guzik.

— Jenny, czy Dawid Ash usiłował się skontaktować ze mną dziś rano? — zapytała.

— Nie? W takim razie znajdź mi, proszę, jego numer.

Podana nazwisko i adres Mariellów, po czym odłożyła słuchawkę. Zaczęła otwierać listy.

W tym samym czasie, w bibliotece w Edbrook, Dawid Ash ustawiał aparat fotograficzny na statywie, uważając, by nie naruszyć delikatnych przewodów łączących polaroida z czujnikiem. Robert Mariell przyglądał się temu z rękoma założonymi na piersi i wyrazem lekkiego rozbawienia na twarzy.

— Tutaj? — zapytał Ash, szukając potwierdzenia u obserwatora.

— Tak, najpierw tutaj, a potem... — Robert powiódł ręką dookoła pokoju... — tu i tam... właściwie w wielu miejscach.

Ash wyprostował się, zadowolony z tego, że w zasięgu obiektywu znajduje się spora część pokoju.

— Czy ona kiedykolwiek przemówiła? Czy pan usiłował odezwać się do niej?

Robert zmarszczył brwi.

— Mój panie, nie mam w zwyczaju prowadzić konwersacji z duchami. Myślę, że samo ich oglądanie jest już dostatecznie nieprzyjemnym przeżyciem — wstrząsnął ramionami jakby przeszył go dreszcz. — Cokolwiek by powiedzieć, pański aparat jest dobrze ustawiony. Proszę mi powiedzieć, co to za urządzenie połączone jest z aparatem.

Ash wskazał na nie palcem.

— To jest czujnik zmiany pojemności. Każdy ruch w pokoju zostanie zarejestrowany przez czujnik, który wtedy uruchomi migawkę aparatu. Ustawię go później, kiedy już nikt z nas nie będzie wchodzić do biblioteki.

Ash wyjął z kieszeni mały magnetofon.

— Chciałbym, żeby udzielił mi pan kilku informacji do kartoteki.

Robert uniósł brwi.

— Do kartoteki?

— Tylko do wiadomości Instytutu. Gwarantuję panu pełną dyskrecję — włączył magnetofon i położył go na rogu stołu. Robert patrzył przez chwilę na malutkie urządzenie.

— No, dobrze — w końcu odezwał się. — Zobaczyłem tę zjawę w tym pokoju. Początkowo postać była zamglona. Ale wydawało mi się, że to była kobieta, a właściwie dziewczyna. Mogła mieć niewiele ponad dwadzieścia lat. Ponownie ujrzałem ją po kilku dniach, nie dniach: nocach, tym razem już zdecydowanie wyraźniej, jakby zjawa wzrosła w siłę. Muszę przyznać, że poczułem się słabo na jej widok.

— To się czasami zdarza. Zjawy tego typu często karmią się energią psychiczną osób postronnych — świadków ich pojawienia się — po to, by się wzmocnić. Potrafią także czerpać energie z atmosfery, właśnie dlatego temperatura w pomieszczeniu, w którym ukazuje się taki twór, może gwałtownie spaść. W niektórych przypadkach zaobserwowano nawet, że twory te mogą zakłócać zjawiska elektryczne.

— Niezwykłe. Ale ma pan na pewno na myśli duchy, panie Ash.

— Nie. Nadal mówię o niewyjaśnionych zjawiskach. Proszę kontynuować.

Robert zaczął nerwowym krokiem przemierzać pokój. Jednak po chwili przypomniał sobie o magnetofonie i zatrzymał się.

— Odniosłem wrażenie, że było w tej... postaci... coś niezmiernie tragicznego i smutnego, jakby poszukiwała czegoś albo jakby była zagubiona...

Małe szpulki mikrokasety przesuwwały się powoli, rejestrując wszystkie dźwięki w pokoju: nawet odgłos kroków po drewnianej podłodze i odgłos zapalanej przez Asha zapalki.

Kate szperała w kartotece, kiedy zadzwonił telefon. Podeszła do biurka.

— McCarrick — powiedziała, po czym zmarszczyła brwi, usłyszawszy głos Jenny.

— To niemożliwe. Musi być tam telefon — nalegała. — Pytałaś, czy jest zastrzeżony?

Słuchała.

— Nie ma go w ogóle w rejestrze? To niemożliwe! — zamyśliła się na chwilę. — W porządku, Jenny, dziękuję za starania.

Kate odłożyła słuchawkę na widelki i bębniła palcami po blacie biurka, pogrążona w myślach.

Był to mały magnetofon szpulowy. Połączony został z czujnikiem reagującym na drgania. Simon Mariell przyglądał się z zainteresowaniem, kiedy Ash umieszczał urządzenie na jednej z piwnicznych półek w Edbrook. Niedaleko, na statywie, stał aparat fotograficzny ze specjalnym filtrem na obiektywie, przepuszczającym jedynie promieniowanie podczerwone. W aparacie znajdował się specjalny czarno — biały film, a wyzwolenie migawki następowało po wykryciu przez czujnik czyjejs obecności w pomieszczeniu.

Wilgoć piwnicy była nieprzyjemna, a zapach stęchlizny trudny do zniesienia, lecz Ash próbował go ignorować wieszając na półce szklarniowy termometr. Mała, słaba

zarówka ledwie rozpraszała ciemności. W piwnicznych niszach gościł nieprzyjazny mrok. Ash otrzepał ręce z kurzu i odwrócił się w stronę Simona.

— Czy pańskie aparaty zarejestrowały coś godnego uwagi ostatniej nocy? — zapytał tamten.

— Dopiero teraz rozmieściłem urządzenia w piwnicy.

— A w pozostałych częściach domu?

— Nic. Lecz nie ustaliłem dotąd optymalnego sposobu rozlokowania czujników i aparatury rejestrującej.

— Może więc powinien był pan zapytać nas o wskazówki?

— Nie o to mi chodziło. Miałem zamiar przekonać się, co potrafię ustalić samodzielnie.

Simon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Chyba nie spodziewał się pan aż takich rewelacji? — włożył ręce do kieszeni i zdawał się świetnie bawić. — No, to co mam panu powiedzieć? Jak stanąłem twarzą w twarz z tajemniczą zjawą tu w piwnicy?

— Wysłucham tego z zainteresowaniem. Ale najpierw proszę powiedzieć mi coś innego. Ile lat miała pańska matka, kiedy zmarła?

Simon uśmiechnął się słysząc to pytanie, nie czując się wcale niezręcznie.

— Była dużo starsza, niż nasza zjawą, mój przyjacielu. Nic pan nie wskóra idąc tym tropem.

— Jak Christina to przyjęła?

— Śmierć naszych rodziców? Mój Boże, tak, jak i my wszyscy: była zdruzgotana! A czego by pan się spodziewał? Byliśmy wtedy jeszcze bardzo młodzi. Mieliśmy szczęście, że ciotka Tessa była z nami.

Ash odczuwał coś na kształt satysfakcji, że udało mu się w końcu usunąć ironiczny uśmieszek z twarzy Simona. Widać było, że młodszy Mariell zdenerwował się na niego.

— Proszę posłuchać. Raczej wolałbym mówić o nawiedzeniu domu, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu — odezwał się prawie błagalnym tonem. — Ta piwnica jest strasznie wilgotna i nieprzyjemna.

— Przepraszam — zreflektował się Ash, wyciągając z kieszeni magnetofon i włączając go. — Proszę opowiedzieć mi o tym, co pan właściwie tu zobaczył.

Nadal lekko poirytowany, Simon odpowiedział:

— To samo, co inni. Dziewczynę. Widziałem ją wielokrotnie. Pewnego razu zszedłem tu po butelkę wina i zobaczyłem, jak przygląda mi się... o tam — zadrżał, jakby chciał zilustrować tamto zdarzenie. — Na jej widok krew zamarła mi w żyłach, mówię panu.

— Czy przypominała panu kogoś znajomego... kogo pan znał?

— Jasne, że nie. To właśnie jest z tego wszystkiego najokropniejsze — wykrzywił twarz w grymasie obrzydzenia. — Było coś takiego w jej postaci, w jej twarzy... coś okropnego. Była w jakiś sposób... trudno mi to powiedzieć... zniekształcona...

Ash podszedł bliżej, żeby magnetofon dokładnie zarejestrował jego słowa.

Tymczasem u góry, w hallu ciotka Tessa przysunęła się do szpary w drzwiach, nadsluchując.

Rozdział 13

Kate podniosła głowę znad maszyny do pisania, kiedy otworzyły się drzwi jej pokoju. Zza krawędzi drzwi wyjrzała głowa Edith Phipps. Na jej twarzy malowało się zaniepokojenie.

— Powiedziałaś, że zadzwonisz... — w jej głosie także dominował niepokój.

— Wiem. Przepraszam — powiedziała Kate, zachęcając Edith gestem ręki, by weszła do środka. — Ale obawiam się, że niewiele mam ci nowego do powiedzenia. To dziwne, ale Mariellowie chyba nie mają telefonu.

Edith usiadła naprzeciw szefowej Instytutu, wpatrując się jej prosto w oczy.

— A więc Dawid nie kontaktował się jeszcze z tobą?

Kate uśmiechnęła się uspokajająco.

— Nie, ale doprawdy nie ma w tym nic dziwnego, nieraz zdarzało mu się znikać na wiele dni bez znaku życia. Kiedy Dawid zaangażuje się w pracę, to czasami zapomina o swoich przełożonych — zdjęła okulary i poprawiła się na krześle. — Poza tym, jeśli oni rzeczywiście nie mają telefonu, to w jaki sposób mógłby się z nami skontaktować? Pamiętaj, że Dawid nie ma samochodu, a trudno mi sobie go wyobrazić, jak przemierza wiejskie drogi w poszukiwaniu budki telefonicznej — zaśmiała się, próbując zbagatelizować sprawę.

Jednak bez większego skutku. Twarz Edith była wciąż blada jak ściana.

— Czy ten dom stoi aż na takim pustkowiu? — zapytała kobieta medium.

— Zgodnie z informacją, jaką otrzymałam listownie, Edbrook oddalony jest o parę mil od najbliższej wioski. Dlatego panna Webb postanowiła odebrać Dawida ze stacji.

Nagle Kate spoważniała. W nocy czuła się nieswojo po telefonie medium, ale teraz, w jasnym świetle dnia, miała bardziej trzeźwe spojrzenie na całą sytuację. Wydawało jej się idiotyczne zamartwianie się z powodu jednodniowego braku kontaktu z Dawidem. Chociaż Edith Phipps była uznanym medium, to przecież nawet one popełniają błędy. Niemniej, Kate rozumiała niepokój koleżanki.

— Wciąż denerwujesz się o niego, Edith? — zapytała łagodnym głosem.

Starsza kobieta złożyła dłonie, usiłując powstrzymać ich drżenie.

— Uczucie, że Dawid znajduje się w niebezpieczeństwie było tak silne zeszłej nocy...

— Muszę przyznać, że i ja bardzo się zdenerwowałam twoim telefonem. Ale w obecnej sytuacji jedyne, co możemy zrobić, to czekać, aż on się odezwie. Ma ogromne doświadczenie i na pewno da sobie radę.

Twarz Edith pokrył rumieniec i uśmiechnęła się przepaszająco.

— Wydaje ci się, że jestem głupią, starą babą.

— Za bardzo doceniam twoje umiejętności parapsychiczne, aby tak sądzić —

odparła Kate pojednawczo. — Proszę cię jedynie, żebyś pomyślała praktycznie: nie możemy nic zrobić do czasu, aż Dawid sam skontaktuje się z nami. Zachowajmy jeszcze przez jakiś czas cierpliwość.

Lecz tym razem jej uśmiech był niepewny.

Rozdział 14

Pogoda zmieniała się jak w kalejdoskopie. Początkowo było pochmurno, potem przejaśniło się i przysłała jedna z tych rzadkich chwil babiego lata przed nastaniem prawdziwej zimy. Nadal było chłodno, ale czuło się w powietrzu orzeźwiająca świeżość.

Christina i Ash spacerowali w lesie, od czasu do czasu przecinając przesiekę zalaną kolorami jesiennych liści. Zatrzymali się na chwilę, aby przyjrzeć się szarej wiewiórce przeskakującej zwinnie z gałęzi na gałąź. Kiedy znaleźli się w gęstszej części lasu, Christina naciągnęła sprężystą gałązkę, po czym puściła ją, a ta uderzyła Asha w pierś. Dziewczyna wybuchnęła głośnym śmiechem, a Ash po chwili konsternacji zawtórował jej.

Christina biegła przodem, gdyż przyjęła na siebie rolę przewodnika, ponagając go, żeby nie zostawał w tyle i chłoscząc go kolejnymi gałęziami z zamiarem ukarania za zniedołężniałą powolność. Obserwował ją, jak wspina się na strome zbocze pagórka, czepiając się kęp trawy i wystających korzeni. Długa spódnica od czasu do czasu powiewała, odkrywając zgrabne, szczupłe łydki. Jego nastrój poprawił się, prawdopodobnie trochę dlatego, że znajdował się z dala od niezdrowego mroku domu, a po części również dlatego, że udzielała mu się jej pogoda ducha.

Ześliznął się z pochyłości i wylądował w kupce liści, co rozbawiło ją jeszcze bardziej. Jej śmiech niósł się echem po lesie.

Otrzeptał spodnie, uśmiechając się ponuro, i poczuł, że opuszcza go napięcie po wydarzeniach ostatniej nocy. Ash ponowił próbę wspinaczki na strome zbocze i tym razem udało mu się, choć Christina wciąż naigrawała się z niego.

Szli dalej w milczeniu, zadowoleni ze wspólnego spaceru. Po chwili zatrzymali się dla odpoczynku na polanie osłoniętej od wiatru przez gęste drzewa i rozgrzanej słońcem. Ash oparł się plecami o gruby pień dębu, dysząc jeszcze po wysiłku, zamknął oczy i wystawił twarz na promienie jesiennego słońca. Christina usiadła opodal niego, ze skrzyżowanymi nogami.

— Moja kondycja jest słabsza niż sadyłem — powiedział, strącając jakiegoś owada, który przysiadł mu na policzku. — Czuję się jakbym przebiegł parę kilometrów w ołowianych butach.

— To jeden z minusów życia w mieście — odparła.

— Raczej wynik prowadzenia wyniszczającego trybu życia — sięgnął do kieszeni i wyjął miniaturowy magnetofon. Czy masz coś przeciwko temu podczas rozmowy?

Potrząsnęła głową i wydawało mu się, że widok małego magnetofonu rozbawił ją.

— Ależ skądże. A o czym chcesz rozmawiać?

— O tobie, o twoich braciach, o domu. Zaśmiała się lekko.

— Czy to naprawdę dla ciebie aż tak ważne, żeby to nagrywać?

— Niewykluczone, że tak.

— To od czego mam zacząć?

Włączył magnetofon.

— Powiedz mi, gdzie widziałaś ducha?

— A więc teraz nazywasz to duchem?

— Wyłącznie dla uproszczenia sprawy. Różnica nie ma większego znaczenia na tym etapie.

— Dlaczego jesteś takim niepoprawnym sceptykiem? — miał wrażenie, że jest szczerze zaskoczona.

— Wolę uważać się za realistę — odpowiedział.

Zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami, po czym odezwała się znowu:

— Widziałam ją w hallu, w korytarzach. Widziałam ją w twoim pokoju. Jednego razu, kiedy byłam w ogrodzie, zauważyłam, że obserwuje mnie z okna.

— Czy kiedykolwiek próbowała nawiązać z tobą jakiś kontakt?

Odpowiedziała cicho:

— Sądzę, że tego bardzo pragnie. To wygląda tak, jakby nie miała dość siły, by przemówić. Może jedynie się ukazywać.

— Boisz się jej?

Christina lekko potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. Jest mi tylko bardzo smutno na jej widok. Ona wydaje się... taka zagubiona.

Ash rozważał coś przez chwilę, nim zadał kolejne pytanie.

— Jak zginęli twoi rodzice, Christina?

Miał wrażenie, że jej twarz nagle pobladła, a może to tylko cień gałęzi poruszonej gwałtownym podmuchem wiatru na chwilę zasłonił jej twarz.

— To było dawno temu — powiedziała i zauważył, że wspomnienie tego faktu sprawia jej ból, który, choć tłumiony, stale w niej drzemie. — Zostawili nas pod opieką ciotki Tessy, która jest młodszą siostrą naszej matki. Sądzę, że moja matka za bardzo ceniła sobie uciechy życia, by dać się skrępować przez matczyne obowiązki wobec dzieci, tak więc ciotka sprawowała faktyczną opiekę nad nami na długo przed wypadkiem rodziców...

— Byliście dziećmi, kiedy to się stało?

— Byliśmy bardzo młodzi.

Z drzewa spadł liść o zwiniętych do środka, brązowych brzegach. Po nim następny. Ash zaczął odczuwać przenikliwe zimno, mimo ciepłych promieni słońca.

— Ale przecież pytałeś mnie o to, jak zginęli — ciągnęła Christina. — To był wypadek samochodowy. Zdarzyło się to we Francji, gdy jechali do swoich znajomych w Dijon. Nikt nie wie, jak to się właściwie stało, ale samochód zjechał z drogi. Nawet nie wiadomo było, kto wtedy prowadził. Samochód stanął w płomieniach. Później znaleziono wewnątrz dwa... dwa zwęglone... niemożliwe do zidentyfikowania...

ciała.

Wyłączył magnetofon i pochylił się dotykając jej ramienia.

— Przepraszam — powiedział. — Nie miałem zamiaru wywlekać koszmarnych wspomnień.

— To było tak dawno. Teraz to tylko mgliste wspomnienie.

— Z pewnością bardzo wam brakowało rodziców.

— Mieliśmy szczęście, że ciotka Tessa była z nami. Ponadto, rodzice zostawili dość sporo pieniędzy, dzięki czemu byliśmy zabezpieczeni materialnie.

— Czy pannie Webb powierzono zarządzanie majątkiem i opiekę nad wami?

Christina przytaknęła.

— Cioteczka czuwała nad nami przez te wszystkie lata, pomimo że często doprowadzaliśmy ją do szału i była bliska załamania nerwowego.

Jej nastrój zmienił się gwałtownie. Roześmiała się, widząc zdziwione spojrzenie Asha.

— Chodzi o nasze psikusy — wyjaśniła. — Od wczesnej młodości uwielbialiśmy płać sobie nawzajem przeróżne figle. Cioteczka mówi, że odziedziczyliśmy tę skłonność po mamie; ona też czasami doprowadzała ojca do rozpaczki za sprawą różnych sztuczek i dowcipów. Tak samo jak my to robimy z ciotką.

— Tak. Zauważyłem przy śniadaniu — powiedział oschle. — Czy ona nigdy nie wścieka się na was?

Znowu wybuchnęła śmiechem.

— Ależ tak, nawet często. Lecz nauczyła się tolerować nas takich, jakimi jesteśmy.

Wyrwała źdźbło trawy i zaczęła wodzić jego końcem po wargach.

— Kiedy byliśmy dziećmi, łąjała nas częściej niż teraz, ale to dlatego, że potrafiliśmy być wobec siebie niezwykle złośliwi. Wiesz, jakie są dzieci. Byłam chyba najbardziej złośliwa z całej naszej trójki, ale czegoż można by się spodziewać po dziewczynie, która ma dwóch starszych braci?

— Nie musisz mi mówić, jak bardzo złośliwe potrafią być małe, słodkie dziewczynki.

Christina spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— Powiedziałeś to tak, jakbyś miał jakieś nieprzyjemne doświadczenia z tym związane.

Odwrócił wzrok.

— Bo ja... też miałem siostrę.

— Miałeś?

Patrzył niewidzącymi oczyma w przestrzeń.

— Juliet. Ona... — przerwał, jakby trudno było mu znaleźć właściwe słowo — ... utonęła... kiedy byliśmy dziećmi. Oboje wpadliśmy do rzeki. Ja miałem szczęście; uratowano mnie.

Przypomniał sobie tamtą małą, bladą rękę, która zniknęła pod powierzchnią wody.

Palce dłoni były szeroko rozwarte.

Teraz Christina pochyliła się i dotknęła jego ręki. Drgnął.

— Nadal odczuwasz lęk przed wodą? — zapytała cicho. — Czy dlatego byłeś taki przerażony ubiegłej nocy?

Nie odpowiedział, ale wpatrywał się badawczo w jej oczy, po czym znowu odwrócił głowę, niepewny, spłoszony,

— Nie wiem, co myśleć o tym zdarzeniu — wykrztusił w końcu — ale nadal miewam koszmarne sny na temat śmierci Juliet. Może wczoraj pomieszały się z rzeczywistością — pomyślał o ramionach, które wyciągały go z wody, nie będąc już pewien, czy jest to świeże wspomnienie, czy też pochodzi sprzed lat.

— Nadal myślisz o Juliet? — łagodnie namawiała go do kontynuowania zwierzeń.

Odpowiedział chłodno:

— Prawie jej nic pamiętam.

Zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. W końcu wyjął paczkę i włożył jednego do ust. po czym przypomniał sobie o Christinie i wyciągnął ku niej paczkę. Potrząsnęła przecząco głową, przyglądając mu się. Ash zapalił i zaciągnął się głęboko dymem. Zapomniawszy zgasić zapalniczkę, zamierzał powiedzieć coś, kiedy zauważył, że Christina wpatruje się w jego uniesioną dłoń. Obserwowała płomień zapalniczki niczym zahipnotyzowana.

Zamrugła oczyma, kiedy go zdmuchnął.

Natychmiast wstała i rozprostowała fałdy długiej spódnicy.

— Powinniśmy już wracać do domu — powiedziała.

Ash, zaskoczony jej dziwnym zachowaniem, pozostał pod drzewem.

— Na pewno będę pierwsza! — krzyknęła, a w jej głosie zabrzmiało wyzwanie.

Ze śmiechem okręciła się i zaczęła uciekać w stronę leśnej gęstwiny.

Ash pośpiesznie zgasił papierosa i niezgrabnie podniósł się. Zawołał za nią:

— Hej, nie tak szybko! Zgubię się w lesie!

Ale Christina zignorowała jego wołanie i mógł tylko z rezygnacją patrzeć, jak coraz bardziej oddala się od niego.

Ruszył za nią, nie będąc pewien, czy irytuje go, czy też bawi jej dziecinne zachowanie. Strata rodziców nie przyspieszyła dojrzałości Christiny i jej brata Simona, ale być może właśnie tego im zabrakło: twardej ręki ojca i łagodzącej wszelkie problemy matki. Ciotka Tessa nie spełniała żadnej z tych ról. Wydawało się, że Robert jest głową rodziny, pomimo demonstrowanej przez niego chłodnej wyższości.

Dostrzegł Christiny pomiędzy drzewami.

— Christina! Przestań... — krzyknął, ale w odpowiedzi usłyszał tylko jej odległy śmiech.

W lesie panowała cisza, a najgłośniejszym dźwiękiem wydawał się odgłos jego kroków po suchym poszyciu. Po chwili całkiem stracił ją z oczu.

Zatrzymał się. Rozejrzał się dookoła. Czyżby słyszał coś z tym? Ponownie zawołał

ją po imieniu.

Tym razem nawet jej śmiech nie był odpowiedzią. Ruszył dalej, by po chwili znowu zatrzymać się. Czyżby dojrzał rąbek jej spódnicy wystający zza drzewa po lewej stronie? Czekał przez chwilę, ale nie dostrzegł żadnych oznak ruchu.

Szedł dalej, powoli zaczynał odczuwać irytację z powodu tej głupiej zabawy w chowanego.

Tym razem zatrzymał się na inny dźwięk, który brzmiał jak dziecinny chichot.

Okręcił się na pięcie i po prawej dostrzegł postać biegnącą wśród drzew. W ułamek sekundy później zniknęła. Niemniej, odniósł idiotyczne wrażenie, że była to mała dziewczynka.

Jednak wrażenie zniknęło tak błyskawicznie, że nie mógł być tego pewien.

Gwałtownie odwrócił głowę. Nie, to niemożliwe, żeby słyszał jakieś szepty. To na pewno tylko wiatr szumi w koronach drzew. A teraz niesiony echem śmiech.

Oddech Asha stał się przyspieszony. Czuł, że z wolna wzbiera w nim niesamowite uczucie: z głębi żołądka — takie miał wrażenie — sączy się chłód, który mrozi mu krew w żyłach, i rozprzestrzenia się, ogarniając powoli całe jego ciało. Był to niepokój, którego źródła nie rozumiał, i którego zarazem nie potrafił zignorować. Przyspieszył kroku, od czasu do czasu spoglądając za siebie. Co chwila rzucał gwałtowne spojrzenia na prawo i lewo. Jednak nie dostrzegł nikogo.

Ash nie biegł, lecz szedł szybkim krokiem. Usłyszał chichot, poczuł dotyk czyjejś dłoni na ramieniu. A może tylko dotknął gałęzi mijanego drzewa. Ale chichot nie mógł być niczym innym, jak tylko chichotem. Potknął się i byłby przewrócił się, gdyby nie podparł się ręką o pień drzewa.

Las wydawał mu się ciemniejszy niż poprzednio, jakby nadchodził przedwczesny zmierzch. Chłód mógł istnieć tylko w jego wyobraźni, czuł bowiem, że ma spoconą twarz i mokrą od potu koszulę na plecach. Prawie biegł, nie zwracając uwagi na towarzyszące mu dźwięki i cienie, które rozpraszały się, kiedy tylko spoglądał w ich stronę.

Wreszcie znalazł się na zalanej słońcem leśnej polanie i od razu poczuł ciepło, jakby zmagazynowane w tym miejscu. Usłyszał bzyczenie wielkiej muchy, która zdołała jakoś przetrwać mroźne dni w bezpiecznej kryjówce. Zmrużył oczy na skutek niespodziewanego blasku.

Polanka porośnięta była wysoką trawą i niskimi krzewami. W środku stała mała, kamienna budowla, o ścianach pokrytych mchem i porostami. Prowadziła do niej zardzewiała furtka, która była uchylona, po obu zaś stronach wejścia znajdowały się gliniane wazony ze zwiędłymi kwiatami.

Zorientował się, że ta zaniedbana i zniszczona przez naturę budowla to mauzoleum. Grobowiec. Miejsce wiecznego spoczynku Mariellów.

Zaciekawiony, podszedł bliżej.

Słońce rozgrzewało go i nie czuł już chłodu.

Z wnętrza grobowca dobiegł go jakiś dźwięk. Jakieś poruszenie.

Ash przystanął.

— Christina, jesteś tam?

Czekał na odpowiedź, ale nie nadeszła. Jednak znowu usłyszał jakiś dźwięk ze środka mauzoleum. Zmusił się do wesołego tonu:

— W porządku, Christina, zabawa skończona.

Cisza nie działała na niego uspokajająco. Zmęczony jej grą, westchnął:

— Christina...

Miał dziwne wrażenie, że powietrze stoi w miejscu. Postąpił kilka kroków do przodu i wyciągnął rękę w stronę żelaznej furtki. Złapał za pręt, jakby szukając oparcia. Na ścianie grobowca, po lewej stronie od wejścia, zobaczył starą tablicę, zabrudzoną, z napisami trudnymi do odczytania z tej odległości. Zdołał jedynie wypatrzeć częściowo zatarte litery nazwiska Mariellów.

Popchnął furtkę, która otworzyła się powoli z głośnym zgrzytem zawiasów. Wewnątrz czuło się wilgoć i zapach stęchlizny. Miał też dziwne uczucie, że grobowiec jest pusty. Jednak były tam betonowe bloki, na których spoczywały kamienne sarkofagi.

Prawie szeptem powiedział:

— Kto tu jest?

I znowu jego pytanie pozostało bez odpowiedzi. Lecz coś poruszyło się w ciemnościach. Z mroku, gdzieś zza najniżej położonego sarkofagu, oderwał się cień.

Naraz Ash usłyszał groźne warczenie psa i zobaczył jego ciemny kształt. Po chwili ujrzał przygarbione barki, nisko zwieszony pysk i obnażone kły Tropicielea.

Ash zaczął powoli i ostrożnie wycofywać się. Pies nie spuszczał go z oczu, a jego wilgotne nozdrza zdrząły. Zawarczał gardłowo, sprężył mięśnie zadnich łap i rzucił się do przodu.

Rozdział 15

Ash błyskawicznym ruchem pociągnął za sobą furtkę. Szarżujący pies popchnął ją jeszcze mocniej i zatrzasnęła się ze szczękiem. Ash przewrócił się, podczas gdy cielsko rozpedzonego zwierzęcia targnęło metalowymi szczękami. Pies zaczął wściekle ujadać na będącego poza jego zasięgiem człowieka, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że jest uwięziony. Ślina kapała mu z pyska na żelazne pręty.

Ash podniósł się ani na chwilę nie spuszczać oczu z rozszalałego zwierzęcia, którego ujadanie niesło się echem w kamiennej budowlu. Wycofywał się przez chwilę zgięty w pół, gotów na odparcie ewentualnego ataku psa, na wypadek, gdyby zwierzę zdołało się w jakiś sposób uwolnić. Dopiero gdy dotarł do skraju polany, rzucił się do ucieczki. Dźwięki metalu tłukącego o kamień i wściekle ujadanie Tropicielea towarzyszyło mu w lesie. Odgarniał gałęzie drzew i krzewów, przeskakiwał niższe przeszkody, nie będąc pewien, jak długo nie zatrzaśnięta furtka będzie w stanie powstrzymać oszalałe zwierzę.

Głosy. To niemożliwe, żeby słyszał jakieś głosy. Ale one istniały. Dokoła niego. W lesie.

Sam zaczął krzyczeć, nie mając pojęcia, co wykrzykuje.

Chichot, Boże, ktoś śmiał się z niego. Tajemnicze cienie majaczyły między drzewami.

— Przestańcie! — zawołał.

W odpowiedzi usłyszał szepty.

Wtem do jego uszu dotarły odgłosy łamanych gałązek i szelest liści, tak jakby ktoś pędził w ślad za nim. Ktoś lub coś. Mój Boże, to przecież ta bestia.

— Na pomoc! — krzyknął, lecz w odpowiedzi usłyszał tylko śmiech.

Nie odważył obejrzeć się za siebie. Mógłby potknąć się, przewrócić, mógłby wreszcie zobaczyć tę czarną bestię. Niemniej wydawało mu się, że dystans pomiędzy nim a psem gwałtownie zmniejsza się. Już słyszał zdyszane sapanie zwierzęcia i jego przytłumione warczenie, a nawet czuł jego gorący oddech na plecach.

Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, stawy kolanowe bolały od biegu, który utracił swój początkowy rytm i koordynację. Zachwiał się i niemal przewrócił. Płuca rozsadzały mu klatkę piersiową. Pies był tuż za nim. Słyszał go, słyszał, jak rozdziawia pysk, kłapie zębami i mlaszcze jęzorem...

Nagle poraził go błękit nieba i poczuł uścisk silnych rąk, które powstrzymały go i nie pozwoliły przewrócić się. Ktoś stanął na jego drodze.

Zamrugął, by usunąć z oczu mgłę, spowodowaną przez nagle oślepienie słonecznym blaskiem lub strach.

Na ścieżce przed nim, tak blisko, że poczuł zapach pudru na jej pomarszczonej twarzy, stała ciotka Tessa i nadal podtrzymywała go, by nie upadł. Niesione przez nią kwiaty leżały rozsypane na ziemi.

Nie potrafił wykrztusić z siebie słowa. Zdobył się jedynie na to, aby wskazać drżącą ręką w stronę lasu, gotów w każdej chwili podjąć przerwana ucieczkę.

Ale nic nie biegło za nim. Słyszał teraz jedynie śpiewy ptaków, podekscytowanych jego paniczną ucieczką. Widział, że nic nie porusza się w leśnym poszyciu i jedynie wiatr delikatnie targa liście krzewów i drzew.

Rozdział 16

Ash siedział, z łokciami na blacie kuchennego stołu, z papierosem w drżących wargach. Jesienne kwiaty, te same, które wytrącił z rąk ciotki Tessy, kiedy wpadł w jej objęcia na leśnej ścieżce, leżały opodal na stole. Ich płatki zaczęły już tracić połysk, lecz zapach miały wciąż intensywny. Zaciągnął się głęboko dymem z papierosa, który teraz trząsał się między palcami.

Ciotka Tessa posłała mu zatroskane spojrzenie, nalewając brandy do szklaneczki stojącej na kredensie. Jej dłonie również lekko drżały. Odstawiła butelkę i wciąż trzymając ją za szyjkę, na chwilę przyknęła oczy. Dopiero po chwili odwróciła się i postawiła szklankę przed nim na stole.

— Proszę to wypić — odezwała się. — To pomoże panu uspokoić się.

Ash wypił spory łyk brandy, potem jeszcze jeden, a ciotka Mariellów wysunęła spod stołu krzesło i usiadła. Czuł, że bacznie mu się przygląda.

— A więc twierdzi pan, że Tropiciele znowu rzucił się na pana? — zapytała niespokojnym tonem. — Gonił pana?

Pokiwał głową, wpatrując się w trzymaną oburącz szklaneczkę.

— Ale przecież nigdzie go nie było widać — stwierdziła. — Gdyby rzeczywiście biegł za panem, to co go powstrzymało?

— Nie wiem — powiedział zachrypniętym od alkoholu głosem. — Może wycofał się, kiedy zobaczył panią. Wiem tylko, że zaatakował mnie w tym... w tym... cholernym grobowcu.

Wyraźnie wzdrygnęła się.

— Ależ, panie Ash, co pana skłoniło, żeby pójść do rodzinnego grobowca?

— Chryste, przecież znalazłem się tam przypadkowo. Zgubiłem się w lesie i natknąłem na grobowiec. Dlaczego nikt mi nie powiedział, że Mariellowie mają własne mauzoleum?

— Nie sądziłam, że to ważne — odpowiedziała. — Chodzę tam raz w tygodniu, aby zmienić kwiaty. Obawiam się, że to miejsce jest okropnie zaniedbane, tak jak wszystko w Edbrook.

Przez chwilę wydawało się, że błądzi myślami daleko.

Ash upił łyk brandy i chrząknął.

— Czy rodzice Christiny są tam... pochowani?

— Ich doczesne szczątki zostały przewiezione z Francji i spoczywają w Edbrook. Powiedział pan, że znalazł Tropicielea wewnątrz grobowca?

— Tak, ukrył się gdzieś z tyłu. Myślałem... — zawahał się i potrząsnął głową — ... Myślałem, że to Christina chowa się tam przede mną. Zostawiła mnie samego w lesie. Taka głupia dziecinada...

— Musi pan wybaczyć, panie Ash, zarówno jej, jak i jej braciom, dziecinne zachowanie. Sądziłam, że może zmienią się przez te wszystkie lata, ale myliłam się. Po śmierci ich rodziców wydawało mi się, że smutek i żal pomogą im wydorosnąć, spoważnieć — skuliła ramiona w bezradnym geście. — Jednak tragedia ta wywołała zupełnie przeciwny efekt, tak jakby strata rodziców spowodowała regres i ucieczkę do świata dziecięcych zabaw i psot.

Ash nie usiłował ukryć zniecierpliwienia.

— Droga pani, ten pies jest zbyt niebezpieczny, by pozwalało mu swobodnie biegać po okolicy.

Nagle wyprostowała się i ton jej głosu stał się wręcz ostry:

— O, nie, Tropiciel jest niegroźny, proszę pana. Jestem pewna, że nie zrobiłby panu krzywdy. Wyobrażał sobie, że pilnuje swojej pani i chciał pana jedynie odstraszyć.

— O czym pani, do diabła, mówi? — Przecież Christiny tam nigdzie nie było.

Ciotka Tessa wydała się bardziej zasmucona, niż poruszona jego wybuchem gniewu.

— Nie miałam pojęcia, że Tropiciel wciąż pilnuje miejsca jej spoczynku.

Starając się opanować rozdrażnienie, powiedział:

— Usiłuję coś z tego wszystkiego zrozumieć, panno Webb, ale pani wcale mi w tym nie pomaga. Miejsce czyjego spoczynku?

Unikając jego wzroku, nerwowo spłotła palce obu dłoni. Kosmyk siwych włosów opadł jej na czoło.

— Christina... — zaczęła łamiącym się głosem. Odgarnęła włosy z czoła.

— Christina miała siostrę bliźniaczkę.

Ash zatrzymał dłoń trzymającą papierosa w połowie drogi do ust.

— Były do siebie podobne — ciągnęła ciotka Tessa — bardzo podobne, a jednak była między nimi pewna straszna różnica.

Czekał, z ręką zastygłą w bezruchu.

— Jej siostra cierpiała na schizofrenię. Chwilami zachowywała się jak normalne dziecko, innymi razy jak szalona.

Zapytał cicho:

— Ona nie żyje?

— Widział pan miejsce, gdzie spoczywa wraz z rodzicami.

— To jeszcze jedna rzecz, o której nikt mi nie wspomniał — zaciągnął się chciwie papierosem i gwałtownie wydmuchnął chmurę dymu.

— A dlaczego sądzi pan, że ma to jakiegokolwiek znaczenie?

— Naprawdę pani nie rozumie? Mój Boże, po domu krąży zjawia dziewczyny, a wam nie przyszło do głowy, iż fakt, że Robert, Simon i Christina mieli siostrę, jest istotny? Nawet wtedy, gdy pytałem o te sprawy dziś rano?

— Nie jest to rzecz, o której łatwo nam mówić.

— Aby nie szargać rodzowego nazwiska, tak? — odparował z obrzydzeniem w głosie. — Jeśli chcemy się posunąć dalej w tej sprawie, jeśli chcecie państwo pomóc sobie, to, na miłość boską, chyba należy o tym porozmawiać.

Ciotka wstała, odsuwając krzesło z głośnym szurnięciem. Podeszła do kredensu, skąd wyjęła drugą szklaneczkę. Tym razem sobie nalała sporą porcję brandy,

Ash podniósł swoją, prawie pustą, szklanekę, a ciotka wróciła do stołu i postawiła przed nim butelkę. Nalał sobie, a ona w tym czasie zajęła swoje poprzednie miejsce przy stole.

Krzywiąc się, wypila odrobinę brandy, zanim znów się odezwała.

— Nie wiem, czy powinnam...

— Musi mi pani o tym opowiedzieć — nalegał.

— To było bardzo dawno. Staralam się o tym zapomnieć.

Ton jego głosu złagodniał.

— Chcę, żeby pani zrozumiała pewną rzecz. Jeśli wszyscy państwo wypieracie z pamięci jakieś mroczne wspomnienie, jakieś przerażające wydarzenie z przeszłości, to niewykluczone, że jesteście świadkami zbiorowego omamu. Po prostu, a proszę mi wierzyć, że to możliwe, wasza podświadomość przywołuje do istnienia postaci zmarłej dziewczyny, o której nie potraficie zapomnieć. Być może wasze zmysły działają wspólnie i w ten sposób powstaje owa zjawia. Czy rozumie pani, co chcę przez to powiedzieć?

Zamyśliła się głęboko.

— Sądzę, że... tak. Ale przecież pan nie wierzy w sprawy nadprzyrodzone.

— Nie, ale wierzę w istnienie zjawisk paranormalnych. To dość istotna różnica. A teraz może opowie mi pani o wszystkim?

Podniosła szklaneczkę i pociągnęła spory łyk. Spojrzała mu prosto w oczy, jakby właśnie podjęła decyzję. Zaczęła opowiadać.

— Moja siostra i jej mąż nigdy nie chcieli przyznać się do tego, że ich córka jest... że nie wszystko z nią w porządku. Gdyby pan ich znał, panie Ash, gdyby pan żył tutaj, w tym samym co oni środowisku...

— Oczywiście, nazwisko Mariell musiało tu kiedyś sporo znaczyć — wtrącił się Ash.

— Oddanie córki do... jakiegoś szpitala w ogóle nie wchodziło w grę. Nie tylko z powodu wstydu i plotek, które musiałyby powstać, ale dlatego, że oboje bardzo kochali to dziecko. To dziwne, kiedy pomyślę, ile razy moja siostra, Isobel, błagała mnie, abym zaopiekowała się dziećmi na wypadek, gdyby miało się coś stać jej lub mężowi. To tak, jakby miała jakieś przeczucie. Czy to możliwe, panie Ash? Czy sądzi pan, że zdawała sobie sprawę, iż oboje umrą tak młodo?

— Niektórzy z moich współpracowników powiedzieliby, że takie przeczucia są powszechne — odpowiedział.

Skinęła głową, przyjmując jego odpowiedź.

— Ich straszna śmierć wstrząsnęła nami wszystkimi, ale ona, siostra Christiny, przeżyła to najdotkliwiej. Jej psychika nie umiała poradzić sobie z tą ogromną stratą i coraz częściej mroczna strona jej umysłu brała górę nad tą zdrową. Bawiła się tak jak pozostałe dzieci, ale jej zabawy stawały się coraz bardziej niebezpieczne. Rodzeństwo zaczęło się jej bać i stopniowo odwracać od niej. Kiedy znajdowała się w stanie nasilenia choroby, jej jedynym towarzyszem był Tropiciel. Jej psoty stawały się złośliwe i nieobliczalne, tak więc musieliśmy zamykać ją w odosobnieniu, aby zapewnić bezpieczeństwo rodzeństwu i jej samej.

Ciotka wypila kolejny łyk brandy, wyraźnie po to, aby się uspokoić. Ash zgasił papierosa w popielniczce. Czekał, aż podejmie przerwana opowieść.

— Pewnej nocy w jakiś sposób wzniciła pożar w domu — nie wiemy, na ile było to dziełem przypadku. Kiedy zorientowaliśmy się, co się dzieje, ugasiłmy zarzewie, ale ona zniknęła. Przeszukaliśmy cały dom. Dopiero kiedy Simon odkrył, że drzwi do ogrodu są otwarte, zdaliśmy sobie sprawę z tego, co się stało. Znaleźliśmy jej ciało w stawie.

Ash wpatrywał się w nią z przerażeniem. Jej myśli błądziły gdzieś daleko. Zapewne wspominała tamtą tragiczną noc.

— Jej nocna koszula zajęła się ogniem i zapewne wskoczyła do stawu, by ugasić płomień. Ale musiała być zbyt poparzona, zbyt słaba, żeby wydostać się z wody. Utonęła, panie Ash, to biedne dziecko utopiło się.

Był oszołomiony na tyle, że nie potrafił zebrać myśli.

— Wczoraj, kiedy Christina pokazywała mi okolicę domu, wydawało mi się, że boi się zbliżyć do stawu...

— Żadne z nas nie lubi tam przebywać od czasu tego wypadku. Dlatego też staw jest taki zaniedbany.

Ash poprawił się na krześle i zamyślił się.

— Nadal nie wiem, dlaczego nikt nie powiedział mi o tym wcześniej.

— Dlaczego mielibyśmy zdradzać panu rodzinną tajemnicę? Szaleństwo to temat tabu. Zawsze dbaliśmy o nasze dobre imię. To nie była informacja przeznaczona dla pańskich uszu, panie Ash. No, ale teraz uznałam, że ma pan prawo wiedzieć.

— Czy jest jeszcze coś, co chciałaby pani mi powiedzieć? Wolno pokręciła głową.

— Są tu w Edbrook sprawy, w których nie powinien grzebać się nikt obcy. Ciotka Tessa dopiła swoją brandy i podniosła się.

— Chwileczkę... — powiedział Ash szybko, kiedy odwróciła się i odeszła.

Otworzyła kuchenne drzwi, zatrzymała się w progu i odwróciła do niego.

— Radzę panu opuścić ten dom — powiedziała. — Pańskie badania nie mogą przynieść nic dobrego. Czy pan tego nie czuje?

Ciotka Tessa wyszła z kuchni.

Rozdział 17

Dym papierosowy kłębił się w promieniach słońca, docierającego przez okno do wnętrza pokoju. Ash przeglądał notatki z wyrazem niezadowolenia na twarzy. Zgasił niedopałek papierosa w mosiężnej popielnicy. Sięgnął po wódkę, której pozostało już mniej niż połowa. Energiczne pukanie do drzwi powstrzymało go przed łyknięciem z butelki.

Nie czekając na zaproszenie, do pokoju wszedł Simon Mariell.

— Czy ma pan chwilę czasu? — zapytał z lekceważącym uśmiechem na twarzy, który coraz bardziej irytował Asha. — Robert chciałby zamienić z panem kilka słów. Czeka w salonie.

— To świetnie, bo ja także chciałbym z nim porozmawiać — odparł Ash nie siląc się, by ukryć rozdrażnienie.

Założył marynarkę, która była przewieszona przez poręcz krzesła, i podszedł do drzwi. Simon poszedł przodem, a Ash w pewnej odległości za nim. Nie podobał mu się mroczny korytarz i zapach kurzu oraz starego drewna, szczególnie intensywny w tej części domu.

Schodził po szerokich schodach ociężale wskutek wypitej brandy i wódki. Po raz pierwszy zauważył, jak bardzo wytarty jest dywan na krawędziach schodów.

W salonie oczekiwali na niego Robert, Christina i ciotka Tessa. Simon zamknął drzwi za Ashem, po czym usiadł na kanapie obok siostry.

Robert, który stał przy jednym z wielkich okien salonu, teraz podszedł do Asha z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

— Zastanawiam się, czy jest pan gotów zdać nam sprawę z dotychczasowych wyników pańskiego dochodzenia, panie Ash? — powiedział.

— Co wy sobie właściwie wyobrażacie? Czy to jest jakaś gra? — odparł Ash.

Christina podskoczyła na kanapie, zaskoczona jego odpowiedzią.

Lecz ton głosu Roberta był opanowany, a uśmiech nie opuszczał jego twarzy.

— Chyba niezupełnie pana rozumiem...

— Mam na myśli wczorajszy incydent. A dzisiaj, z kolei, Christina doprowadziła mnie do rodzinnego grobowca, gdzie znowu czekał na mnie ten cholerny pies.

— Ależ, ja nie... — Christina zaprotestowała. Nie pozwolił jej dojść do głosu.

— A więc to, że uciekłaś w tamtym kierunku, było dziełem przypadku, tak? A te głosy, które słyszałem w lesie, to tylko produkt mojej wyobraźni? — zwrócił się ponownie do Roberta. — Przed chwilą pańska ciotka opowiedziała mi historyjkę o waszej siostrze, bliźniaczce Christiny, która utopiła się w Edbrook — rzucił gniewne spojrzenie w kierunku ciotki Tessy, która sztywno przysiadła na brzegu fotela. — Prawie udało jej się mnie przekonać. Ta bajka znakomicie zazębia się z tą historią o duchu, dla wyjaśnienia której tu jestem, nieprawdaż?

— Obawiam się, że pańskie ostatnie doświadczenia nie wpłynęły na pana zbyt dobrze. Jest pan przemęczony — powiedział Robert. — Dlaczego mielibyśmy posuwać się do takich rzeczy?

— Tego właśnie chciałbym się od pana dowiedzieć! Czy nie jest to przypadkiem efekt jakiejś intrygi zaaranżowanej przez was przy współudziale innych osób po to, aby zdyskredytować moją osobę? Czy po to, aby wziąć odwet za wszystkie historie o nawiedzonych przez duchy domach, których wiarygodność obaliłem? Za fałszywych spirytystów, których zdemaskowałem przez te wszystkie lata? Na pewno sprzysięgliście się wszyscy, żeby ośmieszyć mnie i w taki sposób podważyć wszystkie moje poprzednie osiągnięcia.

Robert odparł opanowanym tonem:

— Zastanawiam się, czy pan zdaje sobie sprawę ze swojej własnej śmieszności. Oczywiście, wiemy o pańskiej krucjacie przeciwko spirytystom i o pańskich uprzedzeniach do świata zjawisk nadprzyrodzonych, ale to zupełnie nie jest przedmiotem zainteresowania naszej rodziny. Nie niżylibyśmy się do tego.

— To pan tak mówi. A co, u diabła, ja właściwie o was wiem?

Ash omiółł gniewnym wzrokiem wszystkich obecnych.

Christina sprawiała wrażenie niepewnej, podczas gdy ciotka Tessa wydawała się zaniepokojona gwałtownością jego wybuchu. Tylko Simon uśmiechał się jak zwykle. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Asha.

Robert podszedł do kominka i oparł rękę na półce.

— Powiedzieliśmy panu wszystko, co uważaliśmy za konieczne. Jeśli uważa pan, że to za mało, obiecuję, iż będziemy współpracować z panem na wszystkie możliwe sposoby. Jednak odniosłem wrażenie, że podaje pan w wątpliwość słowa naszej cioteczki.

— Tak, ponieważ mówiła o bliźniaczce Christiny tak, jakby zmarła wiele lat temu, kiedy była jeszcze dzieckiem. A więc jak to możliwe, żeby Tropiciele był jej ulubionym psem? — nerwowym gestem przeczesał dłonią włosy. — To właśnie powiedziała mi panna Webb. Powiedziała, że nawet teraz Tropiciele strzeże miejsca spoczynku swojej pani. Może nie znam się szczególnie na zwierzętach, ale to oczywiste, że ten pies nie może być taki stary. Jej historyjka to idiotyczne,

prymitywne kłamstwo — zrobił w powietrzu nieokreślony gest ręką. — Dało mi to do myślenia. Zacząłem zastanawiać się nad sensem całej sprawy. Ciekaw jestem, co chcieliście osiągnąć dyskredytując mnie.

— Zależy nam wyłącznie na prawdzie, panie Ash — powiedział starszy z braci Mariell. — Chodzi tylko o prawdę.

Christina podniosła się z kanapy i podeszła do Asha, który spojrzał na nią nieufnym wzrokiem.

— Dawid, może to twoje uprzedzenia sprawiają, że nam nie wierzysz — odezwała się do niego.

— Raczej powiedziałbym, że moje uprzedzenia są zdrowe, w przeciwieństwie od waszych sztuczek — odparł oziębło.

— Naprawdę myśli pan, że to jakaś gra — odezwał się Robert z drugiego końca pokoju. — W takim razie proszę to udowodnić. A jeśli to się nie powiedzie, to proszę dowieść, że dziwne zdarzenia w tym domu, a przecież sam pan był świadkiem kilku z nich, są wynikiem działania podziemnych cieków wodnych, ukrytych wad konstrukcyjnych budynku lub impulsów elektromagnetycznych. Proszę udowodnić, że te zjawiska są naturalne, albo że są wynikiem mistyfikacji. Może uda się panu nas przekonać, iż mylimy się sądząc, że nasz dom jest nawiedzony. Będziemy bardzo ciekawi pańskich rewelacji, panie Ash. Jestem pewien, że zainteresuje się nimi również pański Instytut.

— Właściwie dlaczego miałbym zawracać sobie tym głowę?

Simon zaśmiał się.

— Z powodu własnej zawodowej ciekawości. Czyż to nie jest dostateczny powód?

— Sądzę, że jest jeszcze inny — dodał jego brat. — Rozumiem, że w tej pracy potrzebny jest panu sceptycyzm. Niemniej, aby dodatkowo zachęcić pana materialnie, proponuję potrojenie pańskiej normalnej stawki za usługę oraz ponadto zobowiązuję się wpłacić pewną znaczną sumę na konto Instytutu. To ostatnie jedynie w przypadku, gdy udowodni pan, że w Edbrook nie ma żadnego ducha — rozłożył ręce w teatralnym geście. — Czy jest pan skłonny przyjąć to wyzwanie?

Ash powiódł wzrokiem po twarzach wszystkich obecnych, zanim udzielił odpowiedzi.

— Dobrze, ale chcę, żebyście państwo przyrzekli mi, że dzisiejszej nocy nie opuścicie swoich pokoi, niezależnie od tego, co się będzie działo. To jedyna metoda, która pozwoli mi upewnić się, że nie macie nic wspólnego z tym, co ma tutaj miejsce.

Robert uśmiechnął się i powiedział:

— Simon i ja spędzimy tę noc w Londynie. Wczesnie rano mamy spotkanie w City w interesach, tak więc może być pan pewien, że przynajmniej my dwaj nie będziemy robić żadnych sztuczek. Jestem pewien, że Christina i ciocia również przystaną na pański warunek.

Ciotka Tessa odwróciła wzrok, a Christina patrzyła mu prosto w oczy. Nie zauważył w jej spojrzeniu śladów poprzedniego niepokoju.

— Może będę znał rozwiązanie zagadki w chwili pańskiego powrotu do Edbrook — odezwał się do Roberta Ash.

— Mam nadzieję — odparł tamten. — Tak, mam taką nadzieję.

Rozdział 18

Szedł wiejską drogą wśród leśnej gęstwiny. Wysokie drzewa po obu stronach drogi skrywały widok odległych wzgórz. Choć dzień był wciąż słoneczny, to jednak od chwili, gdy słońce przekroczyło zenit, czuło się narastający chłód.

Ash postawił kołnierz marynarki i żałował, że przed opuszczeniem Edbrook nie wstąpił do swojego pokoju po płaszcz. Szedł szybkim krokiem i to, w połączeniu z panującym zimnem, usunęło poprzednie odczucie zmęczenia.

Niemniej, kiedy dotarł do budki telefonicznej, która stała pośród wysokiej trawy na rozdrożu, dyszał ciężko i miał obolałe nogi, nienawykłe do takiego wysiłku. Budka telefoniczna należała do starego typu — jak zwykle czerwona. Kilka szybek było wybitych lub popękanych, ale Ash miał nadzieję, że pomimo śladów dewastacji, aparat jest sprawny. Nie bez wysiłku udało mu się otworzyć drzwi. Wszedł do środka i podniósł słuchawkę. Na szczęście usłyszał znajomy sygnał. Wysypał garść monet na półkę pod aparatem i wygrzebał tę, której potrzebował. Wykręcił numer, odczekał chwilę, po czym wrzucił monetę.

— Z Kate McCarrick — rzucił do słuchawki. Czekaając na połączenie, patrzył na drogę w kierunku, z którego przyszedł. Szyba zaparowała od jego oddechu.

— Kate? Tu Dawid.

Usłyszał zaniepokojenie w jej głosie.

— Dawid, dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej. Martwiliśmy się o ciebie.

— Nie mogłem — powiedział jej. — Telefon w Edbrook nie działa. To chyba jakaś poważniejsza awaria.

— Numeru Edbrook wcale nie ma w rejestrze. Zmarszczył brwi i zamilkł na chwilę.

— Dawid, słyszałeś? Wygląda na to, że Mariellowie w ogóle nie mają telefonu.

— Tak, słyszałem — odpowiedział znużonym głosem. — To przedziwna rodzinka. Czy masz jakieś informacje na ich temat?

W Instytucie Badań Psychiki Kate zdjęła okulary i położyła je na biurku.

— Tylko to, co napisała mi panna Webb w swoich dwóch listach, a było tego niewiele — powiedziała. — Mogłabym zasięgnąć języka na ich temat, ale nie mam dziś zbyt wiele czasu: przygotowuję się do jutrzejszej Konferencji Parapsychologicznej. Wiesz, jak bardzo jestem zajęta... — odsunęła słuchawkę od ucha, słysząc głośnie trzaski. — Jesteś tam jeszcze, Dawid? — zapytała, kiedy zakłócenia ustąpiły. — Coś okropnie trzeszczy.

— Zrób, co będziesz mogła, Kate — ledwie słyszała jego głos. — Nie jestem jeszcze pewien, czy mam do czynienia z autentycznym przypadkiem.

— Jeśli coś jest nie w porządku, to daj sobie spokój. Nie musisz wcale doprowadzić tej sprawy do końca.

Ash przetarł palcami szybką pokrytą parą. Skrzywił usta w sztywnym uśmiechu.

— Nie znasz ich ostatniej oferty — powiedział. Ponownie rozległy się głośnie

trzaski na linii.

— Nie usłyszałam — dotarł do niego głos Kate. — Co mówiłeś?

Podniósł głos, aby go usłyszała:

— To nieważne. Dam sobie z tym radę, Kate. To niezwykle przypadek. Posłuchaj, nie mam więcej monet, więc nie mogę już dłużej rozmawiać. Zadzwoń jutro.

— Jutro będę na konferencji. Powiedz mi coś więcej o tym, co tam się dzieje.

— Żebym to ja wiedział — odparł. — Ale Robert Mariell wysunął interesującą propozycję...

Usłyszał modulowany sygnał, który oznaczał, że czas rozmowy dobiega końca.

— Zadzwoń jutro wieczorem, kiedy będziesz już w domu, Kate — powiedział szybko. — Wtedy porozmawiamy...

Połączenie zostało przerwane i usłyszał ciągły sygnał.

W biurze Kate siedziała ze wzrokiem utkwionym w aparat telefoniczny.

— Dawid? Cholera!

Odłożyła z trzaskiem słuchawkę. Spojrzała w stronę Edith Phipps, która przyglądała jej się uważnie z przeciwległego końca pokoju.

Wybrawszy drogę na skróty, Ash zbliżał się do domu od strony ogrodu. Zatrzymał się i oparł plecami o drzewo dla zaczerpnięcia oddechu i ulżenia zmęczonym nogom. Starzejesz się, pomyślał, sięgając do kieszeni marynarki po papierosy. Przyglądał się z oddali domowi, jego zniszczonej od starości fasadzie, której wygląd znacznie odbiegał od tego z czasów świetności budowli. Z niektórych kominów podpadały płyty tynku i nawet z tej odległości widać było, że farba dookoła okien jest popękana i częściowo złuszczone, rynny obłuzowane, a w poszyciu dachu brakuje wielu dachówek. Mariellowie dopuścili do dewastacji swojej rodowej siedziby, a Ash zastanawiał się dlaczego. Czyżby ich pozycja finansowa była niepewna? Chyba nie, skoro Robert mógł pozwolić sobie na zapłacenie Ashowi potrójnego wynagrodzenia oraz okazałą darowiznę na rzecz Instytutu. Ash często prowadził dochodzenia w podobnych posiadłościach jak Edbrook, częstokroć nawet większych, których zaniedbanie wynikało nie tyle z powodu tarapatów finansowych obecnych dziedziców, ile z pewnego, osobliwego zresztą, braku dbałości o właściwe utrzymanie rodowych rezydencji.

Już miał zamiar zapalić papierosa, kiedy dostrzegł coś kątem oka. W pewnej odległości przed sobą ujrzał nieruchomą postać. Może właśnie dlatego dopiero teraz ją zauważył. Postać w bieli. Poczł zimne dreszcze na plecach.

To była dziewczyna o ciemnych włosach, luźno opadających na ramiona.

Ash wyjął papierosa z ust i wsunął go z powrotem do kieszeni. Ostrożnie zbliżył się w stronę dziewczyny, jakby bał się, że hałas ją spłoszy, że jej obraz zniknie. To idiotyczne, pomyślał, lecz nadal skradał się cicho.

Gdy podszedł blisko, usłyszał, że cichutko nuci melancholijną melodie, te samą, którą już kiedyś słyszał, lecz nie pamiętał w jakich okolicznościach. Melodia brzmiała prosto, jak dziecinna piosenka, lecz jednocześnie miała w sobie coś niesamowitego.

Był już zaledwie o wyciągnięcie ręki od niej. Jej wąskie ramiona i włosy wydawały

się mu znajome.

Melodia nagle urwała się. Christina odwróciła się i uśmiechnęła do niego.

— Nie chciałem cię przestraszyć. — Ash poczuł się, niezręcznie.

— Czekałam na ciebie — powiedziała.

Przypomniał sobie, że Christina nuciła tę samą smętną melodię, gdy poprzedniego dnia wracali razem ze stacji. Usiadł obok niej na ogrodowej ławce.

— Nie jest ci zimno? — zapytał.

Chociaż jej sukienka była długa i miała długie rękawy, to jednak wykonano ją z cienkiego materiału.

Wzruszyła ramionami.

— Długo cię nie było — stwierdziła.

— Stąd do budki telefonicznej to kawał drogi.

Spojrzała na niego pytająco.

— Musiałem zadzwonić do Instytutu, by zawiadomić ich, jak się mają sprawy — wyjaśnił. — Nie było to wcale łatwe, bo sam jeszcze nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Dlaczego telefon w domu nie działa?

— Och, nienawidzimy telefonów. To takie niemiłe: rozmawianie z kimś, kogo nie można zobaczyć — znowu uśmiechnęła się i ponownie dostrzegł w jej uśmiechu coś na kształt lekkiej drwiny.

Zignorował to.

— Ale jak dajecie sobie radę bez telefonu? Jak twoi bracia prowadzą bez niego swoje sprawy służbowe?

— Jakoś im się udaje. Znowu zaczęła nucić tę samą melodię, jakby straciła zainteresowanie dla rozmowy.

Ash pochylił się, opierając łokcie na kolanach. Tak jak ona, patrzył w stronę Edbrook.

— Dlaczego zostawiłaś mnie samego w lesie? — zapytał. Melodia urwała się.

— Nie zrobiłam tego celowo. Wydawało mi się, że jesteś tuż za mną. Wybacz mi, proszę — w tonie jej głosu zabrzmiało szczere ubolewanie.

— Czy na pewno nie była to jedna z waszych sztuczek? Coś, co zostało zaplanowane i wymyślone przez ciebie i Simona, a może i Roberta, po to, aby mnie nastraszyć?

Znowu odezwały się dźwięki nuconej melodii.

— Czym właściwie zajmują się twoi bracia? — Ash nie ustępował. — Skąd macie pieniądze na utrzymanie takiego miejsca jak Edbrook?

— Wydawało mi się, że już ci mówiłam. Mój ojciec zostawił nam pieniądze; jakieś akcje, udziały inwestycyjne, zresztą nie znam się na tym i nie interesuje mnie to. W każdym razie Robert i Simon pojechali do Londynu właśnie w tych sprawach.

— A jednak nie jesteście dość majątni, by opłacić służbę. Prowadzenie takiego wielkiego majątku to trochę ponad siły waszej ciotki.

— Ona zatrudnia ludzi do pomocy dorywczo, wtedy gdy są potrzebni. Wiosną i latem zatrudniamy ogrodników, ale przez większość czasu wolimy być sami.

— Czemu?

— Ponieważ marny siebie i nie potrzebujemy towarzystwa ludzi z zewnątrz.

Zwrócił twarz w jej stronę.

— Czy nigdy nie masz ochoty uciec stąd, Christina? Opuszczasz czasami Edbrook?

— Och tak — uśmiechnęła się do niego. — Często i na długo.

Lecz Ash już nie patrzył na nią. Skierował uwagę na inną postać stojącą w pobliżu grupy drzew, po przeciwległej stronie wielkiego trawnika. Była to z pewnością dziewczynka, choć trudno było z tej odległości dojrzeć rysy jej twarzy. Stała w cieniu drzew. Białe podkolanówki wskazywały na to, że jest bardzo młoda.

Christina nadal coś mówiła, nieświadoma, że jej nie słucha.

— Jednak zawsze wracam do Edbrook. Nie sądzę, bym mogła tak naprawdę opuścić go na stałe...

Dotknął jej ramienia.

— Spójrz tam, Christina. Czy widzisz ją?

Popatrzyła we wskazanym przez niego kierunku.

— Nie widzę nikogo.

— Tam, pod drzewami.

Zmrużyła oczy, wysilając wzrok.

— Nadal nikogo nie widzę...

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Ależ na pewno... — Ash delikatnym gestem ręki skierował jej twarz w tamtą stronę. Ale pod drzewami nie było już nikogo.

Rozdział 19

Chodził po opustoszałym domu. Jego kroki rozlegały się głośnym echem w korytarzach. Nie był zupełnie sam, Christina i ciotka bowiem były w swoich pokojach. Mimo to nie mógł pozbyć się uczucia pustki i samotności. Na dworze była już bezchmurna noc i dumny księżyc niepodzielnie władał swoim królestwem. Stare ściany budynku zdawały się wchłaniać panujący na zewnątrz chłód. W domu panowało niezwykle zimno.

Tego wieczoru jadł kolację w samotności. Ciotka prawie nie odzywała się do niego, kiedy podawała posiłek, a i on nie miał zbyt wielkiej ochoty na rozmowę. Gdy zapytał o Christinę, wiedząc, że jej bracia prawdopodobnie już wyjechali do Londynu, Tessa Webb powiedziała mu, że jej siostrzenica położyła się wcześniej do łóżka, ponieważ wydarzenia poprzedniej nocy zmęczyły ją. Ta ostatnia uwaga zabrzmiała w jej ustach jak wyrzut, jakby to on był temu winny.

W pokojach Ash sprawdził, czujniki i przyrządy pomiarowe, upewniając się, że zadziałają prawidłowo, kiedy zajdzie taka potrzeba. Rozsypał jeszcze trochę proszku

w kilku nowych miejscach, po czym sprawdził, czy wszystkie drzwi wejściowe są zamknięte od wewnątrz na klucz. Podłoga skrzypiała pod naciskiem nóg, kiedy chodził od pokoju do pokoju. Wszędzie tam, gdzie palce dotykały ścian i sprzętów, pozostawały na nich brudne ślady kurzu. Zauważył jeszcze coś, czego nie dostrzegł poprzednio: pajęczyny, które zwisały się u sufitu jak małe draperie, we wszystkich bez mała kątach. Najwięcej było ich w najdalszych, rzadko używanych pomieszczeniach domu. Pokręcił głową. Mariellowie zbyt wiele wyobrażali sobie, sądząc, że ciotka sama zdoła dać sobie radę z utrzymaniem tego potężnego domu. Trudno się dziwić jej wiecznemu rozdrażnieniu.

W jednym z pokoi, kiedy sięgnął ręką do wyłącznika światła, pajak przebiegł po jego dłoni. Ash wzdygnął się. Patrzył, jak pajak chowa się w szparze za listwą podłogową. Pokój był bardzo słabo oświetlony i Ash zastanawiał się, dlaczego nigdy dotąd w nim nie był, po chwili przypomniał sobie, że poprzednio pokój ten był zawsze zamknięty, Mariellowie bowiem twierdzili, że nigdy nie natknęli się tam na ducha. Być może tym razem otworzyli go po to, aby mógł mieć dostęp do wszystkich pomieszczeń.

Meble przykryto pokrowcami. Nad kominkiem wisiał portret kobiety i mężczyzny w wieczorowych strojach. Miał dziwne uczucie, że jest przez nich obserwowany.

Nie miał wątpliwości co do tożsamości osób na portrecie, ponieważ kobieta z obrazu była niezwykle podobna do Christiny, choć rysy jej twarzy wydawały się mniej delikatne, a włosy jaśniejsze. Niemniej, miała takie same oczy jak Christina, w których wyrazie artysta zręcznie uchwycił ukryte ogniki rozbawienia: dziwne, gdyż cień uśmiechu nie był jawnie szyderczy, a jednak brakowało mu ciepła.

Mężczyzna z portretu był w każdym calu jakby starszą repliką Roberta, choć rysy miał bardziej ostre i surowe. Nawet jeśli człowiek ten mógł się poszczycić poczuciem humoru, to odstawił je całkiem na czas pozowania do obrazu. Trudno byłoby na podstawie portretu ocenić jego naturę.

Byli to Thomas i Isobel Mariell, zmarli rodzice Roberta, Simona i Christiny.

Ich nieruchome spojrzenia sprawiły, że Ash poczuł się nieswojo. Zgasił światło i zamknął drzwi.

Gdy wracał korytarzem, zauważył, że z jego ust wydobywają się obłoczki pary. Spojrzał na najbliższy termometr. Było dziewięć stopni. Jak bardzo spaść musi temperatura, by domownicy zdecydowali się włączyć ogrzewanie albo rozpalic w kominkach, które przecież znajdowały się we wszystkich pokojach?

Dotarł do drzwi biblioteki i wszedł do środka. Oślepiło go jasne światło.

Ash zaklął, przecierając szczypiące oczy, kiedy zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie pozostawił włączony czujnik. Z aparatu polaroida wysunęło się prostokątne zdjęcie i spadło na podłogę. Szpulki małego magnetofonu kręciły się powoli. Mrugając oczami i zasłaniając je ręką przed następnym błyskiem, ruszył w kierunku ustawionego na statywie aparatu. Kolejne zdjęcie znalazło się na podłodze obok poprzedniego. Znowu rozbłysło światło flesza.

Namacał ręką wyłącznik czujnika i zorientował się, że urządzenie jest wyłączone. To niemożliwe! To przecież nie powinno działać. Wyrwał przewód łączący czujnik z aparatem.

Ponownie błysnął flesz. Potem usłyszał bzyczenie mechanizmu wysuwającego kartonik. Szpulki magnetofonu wciąż obracały się.

— To niemożliwe! — tym razem powiedział to głośno.

Znowu oślepiający błysk i po chwili nowe zdjęcie opadło na podłogę.

Potykając się o meble, Ash podskoczył do gniazdka i już miał wyszarpnąć stamtąd wtyczkę, kiedy błyski flesza ustały i ostatni kartonik ze zdjęciem spadł na podłogę. Szpulki magnetofonu zatrzymały się. Jedyнным dźwiękiem w pokoju był jego własny, przyspieszony oddech.

Ash był przerażony i zaskoczony. Nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, aby urządzenie działało w ten sposób. Polaroid, odłączony od czujnika, nie powinien w ogóle działać. Może wskutek gwałtownego skoku napięcia prądu w sieci zakłócony został delikatny mechanizm detektora pojemnościowego? Spojrzał na słabo świecąca żarówkę. Nie zauważył żadnej gwałtownej zmiany, ale to mogło zdarzyć się w chwili, gdy otwierał drzwi. Później oślepiły go błyski flesza. Ale przecież czujnik w ogóle nie był włączony. Ash wyprostował się. Podejrzewał jakąś sztuczkę.

Podszedł do rozsypanych na podłodze kartoników, na których pojawiały się już zarysy fotografii. Schyliwszy się, podniósł te, na których kontury były już wyraźne i zaczął bacznie im się przyglądać. Na jednym z nich ujrzał siebie w drzwiach, na drugim aparat sfotografował go w chwili, gdy zbliżał się w jego stronę. Pochylił się, żeby zebrać pozostałe zdjęcia. Na każdym następnym jego sylwetka stawała się większa, kiedy podchodził do polaroida, a następnie aparat uchwycił go jeszcze kilka razy w chwili, gdy oddalał się w stronę gniazdka na ścianie. Na zdjęciach nie było widać nic ponadto, prócz tła.

Ash złożył zdjęcia i wsunął je do kieszeni marynarki. Wyszedł z biblioteki z uczuciem zamętu w głowie, nie dotykając więcej urządzeń. Zamknawszy za sobą drzwi, przystanął na chwilę w korytarzu, nad słuchując.

Słyszał jakieś głosy. Przytłumione głosy, nieco głośniejsze od szeptów.

— Christina? — odezwał się głośno. — Panna Webb?

Zapadła cisza.

Po kolei podchodził do wszystkich drzwi obok, otwierał je i zaglądał do pokoi. Wszystkie były puste.

Wszedł po schodach na piętro i poszedł korytarzem w stronę przeciwną od tej, po której znajdował się jego pokój. Zatrzymał się pod drzwiami sypialni Christiny i cicho zapukał. Bez odpowiedzi. Zawołał ją, lecz nadal nikt nie odpowiadał.

Ruszył dalej w kierunku krętych, wąskich schodów wiodących na wyższe piętro. W odległych czasach znajdowały się tam kwatery służących pracujących w Edbrook. Zapukał po kolei do wszystkich drzwi. Znowu nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Stał tam przez chwilę w mroku, nie bardzo wiedząc, co dalej czynić. Dom wydawał się zupełnie opustoszały.

Kiedy wrócił na parter, na jego twarzy malował się wyraz zdecydowania. Mariellowie rozgrywali znowu swoją partię. Był pewien, że jest to kolejna sztuczka mająca na celu przestraszyć go i sprawić, że... no właśnie? Do czego oni właściwie zmierzają? Czy naprawdę wydaje im się, że będą w stanie go znowu przestraszyć? Czy spodziewają się, że w popłochu opuści ich dom, gnany lękiem przed tym, co niewytłumaczalne? Uśmiechnął się posepnie. Niedoczekanie. Ich gierki nie są w stanie go przestraszyć.

Zatrzymał się u podnóża schodów. Nadśluchował.

Znowu jakiś głos, tym razem pojedynczy.

Jakaś melodia. Ta sama smętna melodia, którą nuciła wcześniej Christina.

Ash wszedł w głąb hallu i obrócił się dokoła, starając się zlokalizować pochodzenie dźwięku.

Drzwi piwnicy były uchylone i głos dobiegał stamtąd.

Choć starał się podejść do drzwi bezszelestnie, to jednak śpiew urwał się gwałtownie.

Czekał przy szparze między drzwiami a futryną. Na twarzy czuł lodowato zimny podmuch. Nic.

Popchnął drzwi do wewnątrz i namacał ręką wyłącznik. Słaba żarówka dawała marne światło.

Powoli zaczął schodzić po schodach, które skrzypiały pod jego ciężarem.

Kiedy był już na dole, wszedł do dużego pomieszczenia o ceglanej posadzce. Wszędzie z belek stropu zwisały brudne pajęczyny. Było ich też pełno na starych meblach i połamanych posążkach, które zagracały piwnicę. Zapach stęchlizny i pleśni wydawał mu się silniejszy niż poprzednim razem.

— Christina, jesteś tu? — starał się mówić normalnie, lecz jego głos niósł się basowym echem w piwnicznym pomieszczeniu. Cisza.

Nie potrafił powstrzymać narastającego gniewu.

— Jeśli jest to wasz kolejny wygłup...

Cisza zdawała się przeczyć nie dokończonemu zarzutowi.

Zadrzał z zimna. Termometr wiszący na półce wskazywał trzy stopnie Celsjusza. Usłyszał cichy trzask i obrócił się w stronę źródła dźwięku. Aparat fotograficzny samoczynnie przewinął film o jedną klatkę. Jego obecność została zarejestrowana. Znowu ten sam trzask: migawka została ponownie uwolniona i Ash szybko podszedł, by zatrzymać aparat. Zauważył, że leżący na półce magnetofon także włączył się.

Ash zastanawiał się, czy to on spowodował jego uruchomienie, czy też ktoś przed nim. Wcisnął klawisz przewijania.

Czekając, aż taśma przewinie się, zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem. Taśma zatrzymała się, włączył odtwarzanie. Przez dwie lub trzy sekundy słychać było jedynie szum. Ash zeszywniał, kiedy usłyszał z głośnika magnetofonu odgłosy kroków.

Stawały się coraz głośniejsze. Potem nastąpiła pauza. Ash nie był pewien, czy doznał uczucia ulgi, czy też rozczarowania, gdy usłyszał swój własny głos: Christina, jesteś tu?

Zatrzymał magnetofon. Oparłszy się plecami o stojak z butelkami, zaciągnął się dymem. Powróciły poprzednie pytania. Dlaczego? O co im chodzi? Co spodziewają się przez to osiągnąć? Omiótł wzrokiem piwnicę, by upewnić się, że nie ma tam nikogo prócz niego. Był zadowolony, że udało mu się ich przekonać, aby pies spędził te noc na dworze. Czy to możliwe, że słyszał głos Christiny? Albo uległ złudzeniu, albo też do piwnicy prowadził jakiś przewód wentylacyjny, przez który docierał dźwięk z innej części budynku. To z pewnością jedyne logiczne wyjaśnienie. Wciąż

nie miał pojęcia, jak zdołali uruchomić czujnik w bibliotece, ale był pewien, że znaleźli jakiś sposób. Jutro dokładnie to zbada, nawet gdyby miało to oznaczać rozebranie urządzenia na czynniki pierwsze.

Czuł suchość w gardle i zdał sobie sprawę, że mimo prób zrationalizowania sobie niezwykle zdarzeń jest zdenerwowany. Idiota! Jednak udało im się osiągnąć zamierzony cel. Wzburzony, sięgnął po butelkę leżącą na najbliższym stojaku i starł dłonią kurz z nalepki. Château Cheval—Blanc, 1932. Bez wątplenia świetny rocznik. Wsunął butelkę z powrotem i sięgnął po następną. Nie bez pewnej dozy zawiści zdał sobie sprawę, że ta też reprezentowała dobry rocznik: Château Climens, 1929. Ash podszedł do następnego stojaka i zauważył, że pomiędzy regałami na wino były półki, na których stały mocniejsze trunki. Wziął do ręki butelkę armagnacu i próbował paznokciem kciuka zderzyć powłokę wosku na szyjce. Niech Mariellowie narzekają, mrucał do siebie. Ja też mogę na nich złożyć zażalenie. Z papierosem w ustach otworzył butelkę.

Nagle usłyszał stłumiony chichot.

Obrócił się gwałtownie, w porę, aby ujrzeć jakiś ślad ruchu w jednej z mrocznych nisz. Butelka koniaku wysliznęła mu się z ręki i jednocześnie wypadł mu z ust papieros. Szkło roztrzaskało się, a zawartość rozlała na kamiennej posadzce i częściowo na nogawkach jego spodni.

Ash krzyknął z przerażenia, kiedy alkohol wybuchnął płomieniem.

Raptownie odskoczył. Zauważył płonące ogniki na spodniach. Otrzeptał nogawki i odsunął się od ognia. Chwyciwszy w dłonie jakąś leżącą opodal płachtę, rzucił ją na płomień i zaczął przydeptywać, krusząc butami szkło i lękając się, że materiał zajmie się od ognia.

Nie miał czasu, żeby zastanawiać się nad hałasem, który stał się przyczyną całego zdarzenia, ale zrozumiał, że alkohol zapalił się od ognika papierosa. Całą uwagę skierował na to, aby nie dopuścić do rozprzestrzeniania się pożaru.

W chwilę później odetchnął z ulgą — wygrał walkę z ogniem. Leżąca na posadzce płachta szerniała i nadpaliła się w kilku miejscach. Był zlany potem wskutek wysiłku i zdenerwowania. Zrobiło mu się strasznie gorąco. Czuł się, jakby trawiły go płomień.

Powoli i ostrożnie uniósł osmaloną szmatę. Ogień był ugaszony. Jednak gdy wyprostował się, ujrzał pomarańczowe blaski pełzające po ścianach i suficie piwnicy.

Rozejrzył się dokoła z przerażeniem. To niemożliwe! Ogień został ugaszony! Ale migoczące cienie mówiły co innego.

Poczuł falę gorąca na nogach. Odskoczył i zaczął znowu otrzępywać nogawki spodni. Lecz przecież nie zauważył płomieni. Nie było płomieni, a jednak czuł ich gorąco! Oddychanie sprawiało mu coraz większą trudność, lak jakby szybko rozprzestrzeniający się pożar pochłaniał tlen w pomieszczeniu. Słyszał trzaskające płomień.

Ale płomieni nie było!

Z niedowierzaniem spojrzął na wiszący obok termometr. Zaszokowany, zauważył, że słupek rtęci unosi się gwałtownie, niewiarygodnie szybko!

Ash poczuł się słabo. Jego oddech stał się urywany i sprawiał mu ból.

Instynktownie zasłonił oczy, kiedy szkło termometru pękło z głośnym trzaskiem. To zmusiło go w końcu do działania. Ślaniając się na nogach i szarpiąc kołnierzyk koszuli, dusząc się niewidzialnym dymem, ruszył w stronę schodów. Potknął się na pierwszym stopniu, lecz chciał za wszelką cenę wydostać się z piwnicy, więc parł dalej pod górę wśród płomieni pełzających po ścianach. Słyszał trzaski płonącego drewna. Za chwilę, pod wpływem wysokiej temperatury, jedna po drugiej zaczęły pękać butelki z alkoholem, podsycając ogień. Czuł, że jego ubranie zaczyna się tlić, że od gorąca wysycha i sztywnieje mu skóra.

Ash zmusił się do dalszego wysiłku, z trudnością łapiąc oddech i czując parzące działanie płomieni. Znajdował się już blisko wyjścia. Drzwi piwnicy były zamknięte. Wyciągnął rękę w stronę klamki i krzyknął z bólu w chwili, gdy zacisnął dłoń na gorącym metalu.

Opadł na kolana, przytrzymując oparzoną dłoń drugą ręką. Oddychanie sprawiało mu ból. Czuł, że za chwilę straci przytomność. Zdołał jednak wyjąć z kieszeni chusteczkę i spróbował jeszcze raz chwycić gałkę przez materiał.

Dłoń ześliznęła się.

W dole szalało piekło. Skulił się ze strachu. Tym razem złapał gałkę obiema dłońmi przez złożoną chustkę i nie zwracając uwagi na ból, przekreślił.

Zamek ustąpił. Pociągnął drzwi ku sobie. I stanął oko w oko z nowym koszmarem.

Przed nim stała dziewczyna z rozwianymi włosami. Jej nocna koszula powiewała, targana gorącym powiewem z wnętrza piwnicy.

Rozdział 20

Postać schyliła się nad nim. Jej twarz ukryta była w cieniu gęstwiny rozwianych włosów. Ash napiął mięśnie, gotów odeprzeć atak zjawy, kiedy ta przysunęła się bliżej i w łunie pożaru ujrzał zatroskaną twarz Christiny.

Jej usta wymówiły jego imię, lecz on nie słyszał. W oczach Christiny ujrzał odbicie przygasających płomieni i poczuł, że żar i piekielny hałas za jego plecami znikają.

Dostrzegł jakiś ruch i po chwili zorientował się, że dziewczynie towarzyszy Tropiciel. Na szczęście, tym razem pies trzymał się z dala. Zwiesił nisko pysk, drżał na całym ciele i wpatrywał się niespokojnie w głąb piwnicy, skowycząc żałośnie jak skrzywdzone dziecko.

Ash nie potrafił wstać o własnych siłach; tak wielkiego doznał wstrząsu. Dziewczyna ujęła go pod ramiona i pomogła mu podnieść się. Zachwiała się pod jego ciężarem. Kiedy się odwrócił, dostrzegł, że szalejące płomienie i gorączka ustąpiły.

Tak jak poprzednio, zobaczył jedynie schody wiodące do brudnej i wilgotnej piwnicy, gdzie pod sufitem kołysała się słaba, goła żarówka, a na ścianach tańczyły cienie.

Edith przebudziła się, lecz koszmar nie opuścił jej nawet na jawie. Wypreżyła się w łóżku, zdjeta panicznym strachem, który narodził się we śnie.

Czuła suchość w gardle, jakby kłęby dymu rodem z koszmaru wypełniały jej sypialnię. Oddychała z trudnością, a jej krtań była ściśnięta, jak gdyby w obronie przed trującym czadem. Po chwili poczuła znajomy ból w piersiach. Z trudem sięgnęła do wyłącznika lampki, mrugając oczami, by usunąć łyżę bólu i strachu. Na

nocnym stoliku pod lampą stała fiolka z lekarstwem. Pośpiesznym ruchem zdjęła nakrętkę i wytrząsnęła na otwartą dłoń tabletkę nitrogliceryny. Wsunęła ją pod język i opadła z powrotem na poduszkę, czekając, aż rozpuści się i poskromi siedzącego w niej demona bólu. Miała świadomość, że tym razem to może nie wystarczyć. Lecz ból i drżenie powoli ustępowały. Powracał miarowy oddech.

Czasami Edith wypluwała tabletkę nitrogliceryny, zanim ta zdążyła rozpuścić się do końca, ponieważ ból głowy, jaki powodowała, był niemal równie dokuczliwy, jak ucisk w piersiach. Jednak tej nocy tego nie zrobiła.

Podtrzymywany przez dziewczynę Ash wszedł do sypialni. Ślaniał się na nogach, ale nie wskutek wypitego alkoholu, lecz z powodu szoku i zmęczenia. Dygotał na całym ciele i oddychał ciężko.

Christina pomogła mu ułożyć się na łóżku, podeszła do sekretarzyka i naląła do szklaneczki nieco wódki.

— Pożar... — mamrotał, kiedy wróciła.

Christina ujęła jego dłoń i wsunęła do niej szklaneczkę.

— Nie było żadnego pożaru, Dawidzie. Nie rozumiesz? To część tej historii z duchem.

Podparł się na łokciu i nie odezwał się, dopóki nie łyknął wódki. Skrzywił się, gdy poczuł pieczenie w gardle. Spojrzał na nią, potrząsając głową.

— To niemożliwe. Żar...

— Był tylko w twojej wyobraźni — Christina łagodnie obstawała przy swoim. — W piwnicy nie było żadnego pożaru.

Chaotyczne myśli krążyły mu po głowie.

— Twoja siostra... to prawda. Miałaś siostrę. Ona kiedyś spowodowała pożar w piwnicy.

Christina popatrzyła na niego. Wydawało mu się, że dostrzegł w jej spojrzeniu cień współczucia.

— Nic ci nie grozi. Jesteś bezpieczny.

— Ona spłonęła tam...

— Drżysz. Pozwól, że cię przykryję.

Christina pomogła mu zdjąć marynarkę, po czym zsunęła jego buty. Przykryła go kocem i usiadła na skraju łóżka, delikatnie odgarniając włosy z jego czoła i głaszcząc go po policzku.

Oddech Asha był wciąż jeszcze nieregularny. Rzucił jej błagalne spojrzenie.

— Christina, powiedz mi, co tu się właściwie dzieje?

— To przecież właśnie ty miałeś nam wyjaśnić.

Ręka ześliznęła się na jego ramię.

— Staraj się teraz odpocząć, Dawidzie, usuń złe myśli na bok. Jesteś taki blady i zmęczony.

On jednak nalegał:

— Wczoraj... zaraz po moim przyjeździe... wydawało mi się, że widziałem cię w ogrodzie z Simonem. Ale to nie mogłaś być ty...

— Uspokój się, proszę.

— Tutaj jest jeszcze jakaś inna dziewczyna...

— Usiłowaliśmy ci to właśnie wytłumaczyć. Odpocznij teraz.

Złapał ją za nadgarstek.

— Byłem wcześniej w twoim pokoju i nie zastałem tam ciebie.

Jej głos działał na niego kojąco, mimo że był wzburzony.

— Byłam w swoim pokoju od wczesnego wieczoru, tak jak o to prosiłeś. Prawdopodobnie spałam, kiedy pukałeś. Mam bardzo twardy sen, Dawidzie.

— A panna Webb; ona także nie odpowiadała, kiedy pukałem do drzwi jej sypialni.

Christina uśmiechnęła się uspokajająco, jak matka tłumacząca swojemu dziecku, że czerwonoookie potwory z pewnością nie mieszkają w jego szafie.

— Ciocia często bierze tabletki nasenne, od lat ma kłopoty z zaśnięciem. Wątpię, aby udało ci się ją obudzić, nawet gdybyś wyłamał drzwi. Chyba jednak zakłóciłeś mój sen. Dawidzie. Śniło mi się coś nieprzyjemnego. Obudziłam się z uczuciem, że coś jest nie w porządku. Nie mogłam spełnić twojej prośby i musiałam wyjść z sypialni, żeby sprawdzić, co to jest.

— Cieszę się, że tak zrobiłaś — powiedział.

Westchnął ciężko i uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony. Na chwilę zamknął oczy. Christina wyjęła mu z dłoni pustą szklaneczkę i odstawiła ją na nocny stolik.

Znowu otworzył oczy.

— Opowiedz mi o swojej siostrze...

Popatrzyła na niego smutnym spojrzeniem i lekko potrząsnęła głową, tak jakby wspomnienia były zbyt bolesne. Po jej bladym policzku spłynęła łza. Ash pogłaskał ją delikatnie po plecach.

— Wiem jak to boli, Christina — wyszeptał. — Bardzo mi brak mojej siostry, mimo że to już tyle czasu minęło od tamtej pory, kiedy ona...

Christina podniosła głowę tak, aby mogła spojrzeć mu w oczy.

— Dlaczego tak trudno ci to powiedzieć? Ona utonęła. Dlaczego nie możesz tego z siebie wykrztusić? Czego się boisz, Dawidzie?

Odpowiedział chłodno:

— Ponieważ to była moja wina.

Na jej twarzy pojawił się wyraz niedowierzania, a Ash powtórzył samo oskarżenie.

— Utonęła przeze mnie.

Patrzył gdzieś ponad głowę Christiny. Wspomnienia powróciły nagłą falą: obrazy z dziecięcych lat, trzymane dotąd w zamknięciu jak morowe powietrze, które, uwolnione, mogłyby siać potworne spustoszenie. Teraz ujawniły się w świadomości. Zdziwiła go gwałtowność i siła tego zalewu obrazów, które za wszelką cenę starał się

wymazać z pamięci. Lecz zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę wspomnienia nigdy nie giną w labiryncie pamięci; choć mogą być skrywane, uszione w oczekiwaniu na chwilę, w której ujawnią się ze zdwojoną siłą. Jednakże w dziwny sposób wspomnienia sprawiły, że odczuł swoistą ulgę. Ash mówił i w jego umyśle zaczęły przesuwać się wizje, które spowodowały, że zadrżał wewnątrz.

— Juliet była bardzo złośliwym dzieckiem. Do dziś świetnie to pamiętam, mimo że minęło już tyle lat. Prawdę mówiąc, nie mam żadnych dobrych wspomnień z nią związanych. Czy to nie okropne? Moja rodzona siostra zginęła tragicznie jako dziecko, a ja nie potrafię powiedzieć o niej dobrego słowa, mimo że bardzo mi jej teraz brak. Była ode mnie starsza o dwa lata i uwielbiała droczyć się ze mną i płać mi różne okrutne figle. Jestem przekonany, że nienawidziła mnie za to, że rodzice kochają mnie tak samo jak ją. Jednak jej wybryki nie były tylko przejawem zazdrości...

Widział siebie jako chłopca.

— ...W jej dowcipach zawsze czaiła się okrutna złośliwość...

...Twarz chłopczyka wykrzywia się w płaczu, kiedy jego siostra z pogardliwym uśmiechem na twarzy łamie skrzydła plastikowego modelu samolotu...

...Mała stopa wysuwa się spod stołu i chłopiec, niosący stos obiadowych talerzy, przewraca się na podłogę...

...Chłopiec, już starszy, budzi się ze snu, czując na policzku dotyk rozczapierzonych szponów. Dawid krzyczy, a jego siostra, usłyszawszy za drzwiami kroki kogoś z rodziców, pędzi z powrotem do swojego łóżka i chowa pod poduszką dłoń plastikowego kościotrupka...

Ash wcielił się w siebie, gdy był dzieckiem; jeszcze raz zobaczył to, co widział kiedyś jako chłopiec...

... Wstrzymując oddech z podniecenia, chłopiec patrzy na Mady kształt ryby, która ostrożnie zbliża się do przynęty, walcząc z przeciwnym prądem rzeki. Ryba delikatnie muska pyszczkiem przynętę, a Dawid zaciska mocniej dłoń na prymitywnej wędce. Chłopiec wydaje okrzyk rozczarowania i bezsilności w chwili, gdy w wodzie ląduje gruda ziemi rzucona zza jego pleców, płosząc rybę.

Dawid odwraca się gwałtownie i widzi Juliet, która śmieje się z niego. Chłopiec wykrzykuje w złości coś, co powoduje kolejny wybuch szyderczego śmiechu. Odkłada na ziemię zrobioną przez siebie wędkę i biegnie w stronę siostry, zaciskając drobne dłoń w pięści. Ale Juliet z łatwością odpiera jego atak i podnosi z ziemi wędkę, kłując go boleśnie w brzuch i niebezpiecznie wymachując w powietrzu bambusowym kijem, nie pozwalając mu zbliżyć się do siebie.

Dawid wydaje okrzyk bólu, kiedy kij uderza go w twarz, boleśnie rozcinając skórę na policzku.

Chłopiec dotyka skaleczenia, po czym wpatruje się w krew na palcach.

Dziewczynka odskakuje i wciąż śmieje się, wyraźnie zadowolona, że udało jej się sprawić bratu ból. Podchodzi blisko do brzegu rzeki i z grymasem satysfakcji odwraca się i wrzuca do wody wędkę. Bambusowy kij zostaje natychmiast porwany przez silny prąd, który znosi go w stronę środka rzeki.

Okrutny i wyrachowany czyn siostry wprowadza chłopca w gniew. Całe lata takiego traktowania, jej nieustanne złośliwości, powodują wybuch wściekłości, która

wzbierała w nim od dawna, lecz dopiero teraz znajduje ujście. Chłopiec rzuca się na siostrę z rozczapierzonymi palcami.

I teraz ona zaczyna zdawać sobie sprawę z siły jego wybuchu. Czuje przyływ lęku. Wycofuje się.

Dawid spostrzega niebezpieczeństwo i pragnie ją powstrzymać ruchem ręki, lecz ona inaczej interpretuje ten gest — lub też pogardza nim tak bardzo, że nie chce pozwolić, aby ją dotykał. Robi jeszcze jeden niepewny krok do tyłu i przewraca się.

Chłopiec zacisnął palce na fałdach jej sukienki i także traci równowagę; upadając, dziewczynka pociąga go za sobą. Oboje — brat i siostra — nieodwołalnie złączeni, wpadają do rzeki.

Zimna toń. Zamglony kosmos przytłumionych dźwięków i cieni. Odbierająca dech w piersiach, nieskończona szara otchłań.

Chłopiec unosi się na powierzchnię. Staje się to niezależnie od jego woli, silny prąd bowiem po prostu podrzuca go w górę. Obraca się, trzymając głowę ponad powierzchnią wody, i dostrzega ojca biegnącego w kierunku brzegu, a za nim matkę, wciąż trzymającą w ręku termos z herbatą. Ich usta są szeroko otwarte w krzyku, którego chłopiec nie słyszy.

Znów prąd wody wciąga go w głębinę jak niewidzialne ręce. Chłopiec zamyka oczy w obronie przed szczypiącą wodą, która wdziera mu się pod powieki. Wie, że nie wolno krzyżeć, bo gardło, a potem płuca zaleje mu szara woda, lecz nie potrafi się powstrzymać.

Teraz jakieś inne ręce obejmują go — ojciec jest tuż obok we wzburzonej toni. Ciągnie go, wyrывa z tamtego uścisku, jednak żarłoczny wir nie poddaje się. Staczają walkę, szarpiąc go jak dwoje dzieci wyrывających sobie nawzajem szmacianą lalkę. Powoli mężczyzna uzyskuje przewagę nad żywiołem.

Dawid ponownie wynurza się z mrocznej toni i tym razem dostrzega gęstą czuprynę siostry, która szybko oddala się od niego, niesiona rwącym prądem.

Głowa dziewczynki znika pod falą i przez chwilę Dawid widzi jeszcze jej drobną dłoń ponad powierzchnią wody.

Ojciec rzuca chłopca na brzeg, gdzie ręce matki odciągają jego mokre i osłabione ciało od niebezpiecznej kipieli. Ojciec rzuca się z powrotem na głębinę, rozbryzgując wodę w desperackim skoku. Nurkuje i przez chwilę widać jeszcze jego stopy w powietrzu. Na brzegu kobieta i chłopiec przytuleni obserwują tę scenę z przerażeniem.

Po upływie chwili, która zdaje się im nieskończonością, ojciec Dawida wynurza się na powierzchnię dla zaczerpnięcia oddechu. Znowu nurkuje.

Chłopcu wydaje się, że świat nagle umilkł, a czas stanął w miejscu, mimo że widzi rwący nurt rzeki i kołyszące się na wietrze trawy. Jego nerwy napięte są do ostatnich granic.

Ciszę przerywa rozpaczliwy jęk ojca, który ponownie wynurza się z otchłani, świadom już swojej przegranej w walce o życie córki.

Dawid wzdryga się, słysząc boleść i bezsilność w okrzyku ojca. Matka przyciąga go mocniej do siebie, jakby chciała przytrzymać go w miejscu, w którym będzie na zawsze bezpieczny.

Tuli się do jej piersi, jednym okiem wciąż patrząc na wzburzony nurt rzeki, który pochłonął jego siostrę. Wraz z kolejnymi jękami zrozpaczonego ojca obraz zamazuje się i rozplywa...

...Z głową na poduszce obok głowy Christiny Ash doznał tego samego uczucia, co wtedy, kiedy był przerażonym chłopcem w objęciach matki na brzegu rzeki. Czuł ten sam ból.

— Nigdy im nie powiedziałem — powiedział otepiałym głosem. — Nigdy nikomu nie powiedziałem, że to była moja wina, że to ja wepchnąłem Juliet do rzeki.

— Ale przecież to był wypadek. — odparła Christina.

— Nie. Pragnąłem, by utonąła. Wtedy, ogarnięty wściekłością, chciałem, by umarła. Wiem, próbowałem jej pomóc. ale... ale kiedy ojciec w końcu wyszedł z wody, poczułem ulgę. Gdzieś w głębi ciemna strona mojego ego była zadowolona, że tak się stało.

To wyznanie — po latach wewnętrznej udręki i prób zaprzeczania sobie — zachwiało nim.

— Nie wiem, co dręczyło mnie bardziej; że zrobiłem to, czy też w jaki sposób to odczuwałem.

— Rzeczywiście zadreślałeś się przez cały ten czas? Przecież byłeś wtedy tylko dzieckiem...

— Strasznie bałem się, że zostanę ukarany. Nie potrafiłem wybić sobie tego z głowy. Wydawało mi się, że za tak niegodziwy czyn spadnie na mnie gniew rodziców. Wszyscy dookoła dowiedzieliby się o tym. Nie mógłbym spojrzeć im w twarz. Rodzice nigdy nie wybaczyliby mi tego, co zrobiłem... Juliet nigdy by mi nie wybaczyła.

— Juliet?

Ash poruszył się niespokojnie na łóżku i odwrócił wzrok od Christiny.

— Czasami zdaje mi się, że dostrzegam ją kątem oka — powiedział. — Chwytam wzrokiem jakiś cień, obracam się, a jej już nie ma... Wydaje mi się, że widzę ją taką, jaka była wtedy: małą, jedenastoletnią dziewczynkę, ubraną w ten sam strój.

Zamknął oczy i natychmiast ten wizerunek pojawił się w jego wyobraźni. Lecz nie widział twarzy, która rozplywała się we mgle. Nie potrafił skupić na niej wzroku i zaniepokoił się tym, że nie potrafi przypomnieć sobie rysów twarzy zmarłej siostry. Otworzył oczy.

— W noc przed pogrzebem usłyszałem jej głos. Wołała mnie. Spałem i ten głos wdarł się do mojego snu. Przebudziłem się, lecz wołanie nie zniknęło. Ona leżała na parterze, w otwartej trumnie. Zszedłem tam. Okropnie się bałem, ale nie mogłem oprzeć się pragnieniu ujżenia jej. Być może chciałem, aby powróciła do życia; chciałem pozbyć się poczucia winy.

Oddychał nieregularnie i wykrztusił z trudem:

— Juliet poruszyła się. Jej ciało poruszyło się w trumnie. Przemówiła do mnie.

Christina przyglądała mu się zafascynowana. Obrócił głowę w jej stronę.

— To mógł być tylko koszmarny sen — nie wiem. Byłem wtedy tylko małym chłopcem, który miał za sobą okropne przejścia. Lecz coś podpowiadało mi, że to

wydarzyło się naprawdę. Rodzice usłyszeli moje krzyki. Kiedy przyszli, leżałem zemdłony na podłodze.

Czuł suchość w gardle, jakby podrażnił je dym wyimaginowanego pożaru w piwnicy. Przesunął językiem po ustach, ledwie je zwilżając.

— Przez dwa tygodnie po tym zdarzeniu byłem chory i gorączkowałem. Nie uczestniczyłem w pogrzebie ani nie byłem świadkiem największej rozpaczyny rodziców. Oczywiście, wydawało im się, że zaziębiłem się w wyniku upadku do zimnej wody. Dałabyś temu wiarę? Rad byłem, że tak myślą.

Ujęła go za rękę.

— Och, Dawidzie — powiedziała — to dlatego, prawda?

Ash skinął lekko głową, nie będąc pewien, o co jej chodzi.

— Dlatego poświęciłeś się tej pracy, podważając istnienie zjawisk nadprzyrodzonych, kwestionując życie po śmierci. Czy nie zdajesz sobie z tego sprawy? — niecierpliwym gestem uściśnęła jego dłoń. — Twój sceptycyzm wywodzi się z poczucia winy. Nigdy nie chciałeś uwierzyć w istnienie duchów. Lękałeś się tamtego koszmaru. Bałeś się, że to nie był tylko sen, że Juliet naprawdę poruszyła się w trumnie i przemówiła. Zawsze dręczyła cię niepewność, że to zdarzyło się w rzeczywistości, że siostra w jakiś sposób będzie żądać od ciebie pokuty za to, co zrobiłaś. Dawidzie, czy nic rozumiesz, jakim byłeś głupcem?

Przysunęła się bliżej i uniosła na rękach, by móc go pocałować w policzek.

Ash odwzajemnił jej czułość i, choć przeraziły go te słowa, to nie potrafił odmówić im pewnej logiki. Ale było jeszcze za wcześnie, by potrafił zaakceptować takie rozumowanie. Niepokój dręczył go od zbyt dawna. Potrzebował czasu do zastanowienia. Potrzebował odpoczynku. Musiał przemyśleć jej słowa. A w tej chwili, bardziej niż cegokolwiek innego, potrzebował Christiny. Jęknął cicho i przygarnął ją mocno do siebie.

Rozdział 21

Nagle otworzył oczy. Pokój pogrążony był w ciemnościach i tylko blade światło księżycy sączyło się do środka przez okno. Nagie ciało Asha zlewał pot. Paliło go gardło. Przypomniawszy sobie pożar. Przypomniawszy sobie wszystko.

Odwrócił się do Christiny, licząc na to, że rozproszy jego wątpliwości i pytania. Zdał sobie też sprawę, że jego pożądanie nie zostało jeszcze w pełni zaspokojone.

Ale Christiny już nie było obok. Druga połowa łóżka była pusta, a kiedy wyszeptał jej imię, okazało się, że nie ma jej w pokoju. Kołdra była odkryta w miejscu, gdzie poprzednio leżała i księżyc oświetlał lekkie wgniecenie w pościeli. Dotknął tego miejsca, jakby pragnął przywołać ją znowu, lecz chłód sprawił, że natychmiast wycofał rękę.

Doznał uczucia, jakby zanurzył dłoń w lodowatej wodzie. Cała druga strona łóżka była przejmująco zimna.

Opadł na poduszkę i przesunął się na poprzednie miejsce. Powrócił dawny lęk i wątpliwości. Nie potrafił skupić myśli. Nie miał też siły, aby podjąć jakikolwiek wysiłek.

Powieki ciążyły mu niezmiernie.

Rozdział 22

Edith Phipps pośpiesznie zmierzała w stronę schodów wiodących do Instytutu Badań Psychiczych. Jej policzki były zaróżowione od mroźnego porannego powietrza. Za jej plecami powoli przesuwały się samochody uwiecznione w ulicznym korku, typowym dla tej pory dnia. Kierowcy wyładowywali swoją złość na towarzyszach podróży, lecz z rzadka jedynie korzystali z klaksonów. Przez szklane drzwi budynku Edith dostrzegła Kate McCarrick schodzącą po schodach z piętra, gdzie mieściło się biuro instytutu. Energicznym ruchem popchnęła drzwi, weszła do środka i ruszyła w stronę koleżanki.

— Kate... — odezwała się nieco zasapanym głosem. Druga kobieta wyraziła zdziwienie ze spotkania, lecz nie zatrzymała się w drodze do biurka recepcjonistki — sekretarki.

— Cześć. Edith. Przepraszam cię, ale nie mam w ogóle czasu. Już jestem spóźniona na konferencję.

A do recepcjonistki powiedziała:

— Zadzwońiłaś po taksówkę?

— Czeka na zewnątrz — padła błyskawiczna odpowiedź. — Świetnie. To są listy do wysłania, jeszcze dziś rano — położyła plik kopert na biurku.

— Kate, muszę z tobą pomówić. — Edith złapała ją za łokieć.

— Nie mam czasu, Edith — powiedziała Kate, odwracając się do medium. — Naprawdę robi się bardzo późno. Spróbuję zadzwonić do ciebie potem. Będziesz w Instytucie?

— Tak, mam na dziś trzy seanse. Ale to ważne...

— Konferencja też jest ważna. Muszę być na samym początku, żeby przedstawić wszystkich gości. Obedrą mnie ze skóry, jeśli nie zdążę na czas.

Siląc się na grzeczną stanowczość, Kate ominęła koleżankę i ruszyła do drzwi.

Kobieta medium zawołała:

— Chodzi o Dawida!

Kate zawahała się z ręką na klamce drzwi, niezdecydowana. Po chwili powiedziała:

— Porozmawiamy później.

Wyszła, wahadłowe drzwi zamknęły się. Edith podążyła za nią, lecz zatrzymała się, zobaczywszy, że Kate wsiada do taksówki. Nerwowo przygryzła wargę, zdając sobie sprawę, że dalsze próby nie mają sensu.

Zamiast tego weszła po schodach na górę. Zasapana, skierowała się wprost do biura Kate McCarrick.

Już wewnątrz, położyła torebkę na biurku i podeszła do szuflad z kartotekami. Wysunęła jedną z nich i zaczęła przeglądać indeks nazwisk.

Zatrzymała się dopiero, gdy odszukała nazwisko MARIELL. Wyjęła kartotekę.

Kiedy otwierała kopertę, przypomniała sobie zdarzenie, które dało jej po raz pierwszy do myślenia na temat Dawida Asha...

Rozdział 23

— Edith, poznaj Dawida Asha.

Ciemnowłosa mężczyzna podniósł się z krzesła z chwilą, gdy Edith weszła do pokoju i teraz wyciągał do niej rękę. Wyczuła jego rezerwę. Ciekawa twarz, pomyślała. Głębokie oczy...

Kiedy podała mu dłoń, poczuła dziwny dreszcz, jakby słaby elektryczny impuls przeszył jej ciało.

Rozluźnił uścisk, widocznie czując to samo, natychmiast jednak ponownie zacisnął dłoń.

— Kate wiele mi o pani mówiła — odezwał się.

— A ja doskonale znam pańską świetną reputację — odparła gładko i odwzajemniła uśmiech, aby zaznaczyć, że w jej uwadze nie było złośliwości.

— Zaskoczyło mnie, że zwróciła się pani do Kate z prośbą o kontakt i współpracę ze mną.

— Możesz mi wierzyć lub nie — wtrąciła się Kate McCarrick z szerokim uśmiechem na twarzy — ale Edith jest pełna podziwu dla twoich osiągnięć.

Ash uniósł brwi.

— Nie podważam pańskich motywów działania — powiedziała Edith. — Rzeczywiście, w moim zawodzie jest zbyt wielu szarlatanów. Nasza praca nie cieszy się zbyt dużym poważaniem w społeczeństwie, a ich działalność dodatkowo nas ośmiesza.

Ash odezwał się szorstko:

— Proszę wybaczyć, ale ja z kolei zwykłem obrywać cięgi od przedstawicieli pani profesji.

— Tym razem to właśnie nasze środowisko podejrzewa mistyfikację. Czasami mija wiele lat, zanim uda się zdemaskować szarlatana, ale zazwyczaj w końcu to następuje. I wtedy odbija się to na nas. Ich oszukańcze praktyki powinny być likwidowane w zarodku, panie Ash, po to, aby zminimalizować straty, jakie ponosimy.

— I zanim fałszywi spirytyści zdobędą zbyt wielu wyznawców — dodała Kate. — Im większa grupa zwolenników, tym trudniej jest ich później zdyskredytować.

Ash doskonale rozumiał ten ostatni argument. Tak jak w przypadku każdej religii (a wielu jasnowidzów cieszy się opinią przywódców religijnych), chcąc zdemaskować szarlatana, należy również uporać się z jego oddanymi wyznawcami.

— Osoba, o którą chodzi w tej sprawie, zaczyna już przekraczać pewne dopuszczalne granice — powiedziała Kate.

— Dopuszczalne granice? — Ash skierował to pytanie do Edith. — Jeśli zatem oszustwa są bardziej trywialnej natury, to nie macie nic przeciwko nim?

— Trudno zaprzeczyć, że niektórzy spirytyści posiadają ogromny talent aktorski i

budują coś na kształt misterium wokół swojej działalności — odparła Edith — ale jest to tylko nieszkodliwy sposób, mający służyć wytworzeniu pewnej atmosfery, niezbędnej dla wejścia w trans.

Nie spodobał jej się ironiczny uśmiech Asha.

Kate podniosła się zza biurka, świadoma, że rozmowa zmierza w niewłaściwym kierunku.

— Słuchajcie, zrobię wam teraz jakąś kawę lub herbatę, a ty, Edith, w tym czasie wyłóż Dawidowi szczegóły sprawy. Sądzę, że to go zainteresuje.

— I mnie tak się zdaje — powiedziała Edith, podczas gdy Ash, z twarzą pozbawioną wyrazu, wyjął papierosa z paczki. — Tak, jestem tego nawet pewna.

Wrażenie było imponujące. Atmosfera była bardzo napięta; dominował nastrój oczekiwania. W ogromnym pokoju paliło się słabe światło.

Ash uważnie przyglądał się kobiecie medium, która stała w pewnej odległości od niego. Ona też sprawiała imponujące wrażenie. Jej kruczoczarne włosy (z pewnością farbowane) zaczesane były gładko do tyłu i związane na karku w wielki kok. Miała ostry makijaż, wyraziste usta i wydatny nos, który jednak nie psuł rysów twarzy. Naturalnie, ubrana była na czarno. Miała na sobie jedwabną bluzkę ze stójką, długą spódnicę, czarne pończochy i także buty. Produkt najwyższej klasy, pomyślał Ash. Gdyby był prawdziwym klientem i miał zapłacić za to widowisko (a był pewien, że jakieś pieniądze zmienią właścicieli tego wieczoru), to tego właśnie by oczekiwał od spektaklu. Medium nazywała się Elsa Brotski i Ash zastanawiał się, dlaczego nie poszła na całość i nie dodała jeszcze do tego Madame. Oprawa spektaklu robiła wrażenie, lecz zarazem wydawała mu się śmieszna. Niemniej, z pewnością spełniała swoje zadanie, gdyż zebrani siedzieli w nabożnym skupieniu.

Przyglądał się zgromadzonym wokół gościom, wśród których zdecydowanie przeważały kobiety — zauważył jedynie kilku mężczyzn w średnim wieku lub starszych.

Ash nigdy przedtem nie uczestniczył w takim seansie. Zazwyczaj seanse spirytystyczne miały dużo większą widownię. Ten odbywał się w prywatnym mieszkaniu i w pokoju zgromadziło się niespełna trzydzieści osób, nie licząc medium i jej pomocników. Wszyscy siedzieli na ławach, które ustawiono w kształcie litery U, pozostawiając środek wolny. Na wprost audytorium stał fotel dla medium.

W tym samym czasie, gdy Ash lustrował zgromadzonych, jemu przyglądała się Edith, siedząca po przeciwnej stronie.

Przez kilka ostatnich tygodni miała okazję poznać go nieco lepiej i zaczęła zdawać sobie sprawę, że jego sceptycyzm, którego ona naturalnie nie podzielała, narodził się z autentycznej potrzeby poznania prawdy. Jego postępowanie nie miało w sobie nic z charakteru świętej krucjaty. Na pewno nie należał do osób religijnych. Jego osobowość była skomplikowana i nie poddawała się żadnej próbie jednoznacznej oceny. Wyczuwała, że motorem działania jest dla niego pewna siła, której on sam nie potrafi do końca pojąć. „To praca jak każda inna, a nie powołanie”, powiedział jej ostatnio, lecz zastanawiała się, ile w tym było prawdy. Niełatwo było go zrozumieć, ale działało się tak dlatego, że on sam nie rozumiał siebie. Czuła, że jest coś, co go niepokoi — a może nawet więcej — że Dawid czegoś pragnie i wiecznie poszukuje. Dziwne, że przyszło jej to do głowy, ale czy nie było możliwe, że u podstaw

poszukiwań Dawida leżało zaprzeczenie ich motywu? Edith zdawała sobie sprawę, że nie zastanawiała się wcale nad tym, gdyby nie fakt, że jej myśli skrzyżowały się z jego. To także była jedna z tajemniczych okoliczności.

Szepty zgromadzonych osób ucichły i to właśnie wyrwało Edith z zadumy i ponownie skierowało jej uwagę na postać kobiety w czerni, która milcząco siedziała w fotelu, jakby zbierając energię przed rozpoczęciem właściwego seansu. Kiedy za jej plecami stanęli dwaj mężczyźni, wyglądający bardziej jak obstawa niż asystenci, na twarzy kobiety pojawił się niemal władczy uśmiech.

Zapadła cisza, gdy zabrała głos.

— Dziękuję wam wszystkim za przybycie dzisiejszego wieczoru. Wydaje mi się, że już odczuwam podniecenie waszych ukochanych, którzy znajdują się na tamtym świecie. Tak, jestem pewna, że z niecierpliwością pragną nawiązać z wami kontakt.

Powoli omiotła wzrokiem całe audytorium, jakby chciała wejrzeć do wnętrza każdego z uczestników seansu. Wywołało to pewne poruszenie wśród zgromadzonych.

Edith poczuła rumieniec wstydu na twarzy, jakby nękały ją wyrzuty sumienia, że uczestniczy w tej grze. Wcześniej Ash pytał ją, dlaczego sądzi, że ta kobieta jest oszustką. Odpowiedziała, że po prostu to wyczuwa swoją psychiką. Zaraz też zdała sobie sprawę, że taka odpowiedź go nie satysfakcjonuje i dodała, że ta osoba zarobiła sporo pieniędzy w ostatnich latach, a żądza zysku nigdy nie jest motorem działania prawdziwych spirytystów. Ludzie posiadający autentyczny dar nie są zainteresowani wykorzystywaniem go w celu łatwego wzbogacenia się. Wydawało się, że przyjął jej argumentację, choć nie mogła być pewna, czy w pełni podzielał jej zdanie.

Był jeszcze jeden powód, by nie dawać wiary w autentyczność Elsy Brotski, o którym Edith wspomniała Ashowi jedynie mimochodem. Mianowicie, chodziło o jej nieomyślność i skuteczność. Zawsze, absolutnie zawsze udawało jej się skontaktować z wybraną duszą w zaświatach. Trudno było w to uwierzyć, ponieważ wszyscy spirytyści miewają nieudane próby kontaktu, nawet częstsze, niż zakończone sukcesem. Jednak ta kobieta zawsze osiągała, co sobie zamierzyła, Ash naigrawał się z Edith, że na pewno w grę wchodzi tu zawodowa zazdrość, ale Edith przypomniała mu, że właśnie dlatego jemu zlecono przeprowadzenie dochodzenia w tej sprawie. Należy teraz tylko dowieść, kto ma rację.

Załatwienie wstępu na seans wcale nie okazało się trudne, zorientowali się bowiem, że może tu przyjść praktycznie każdy. To zdziwiło Edith, która wiedziała, że fałszywi spirytyści zazwyczaj ograniczają publiczność do wybranego grona osób, od którego mogą uzyskać wiadomości, mogące służyć potem do uprawdopodobnienia mistyfikacji. Jednak ani Edith, ani Ash nie byli przez nikogo nachodzeni. Nikt też nie próbował zbierać o nich informacji wśród sąsiadów i znajomych. Jedynym problemem okazała się długość listy oczekujących na udział w seansie, gdyż zapisy przyjmowane były na długo naprzód. Wydawało się, że Brotski zaczyna zdobywać reputację najlepszej pośród jasnowidzów. Minęły więc prawie dwa miesiące, zanim Edith i Ash otrzymali swoje zaproszenia. Dzięki temu Ash miał okazję zająć się zbadaniem przeszłości Elsy Brotski.

Edith zauważyła, że Ash prawie niedostrzegalnie skinął głową w jej kierunku, kiedy światła kinkietów zaczęły jeszcze bardziej przygasać. Usłyszała ciche westchnienie siedzącej obok kobiety w średnim wieku, która pachniała mydłem i pudrem. Mały reflektor punktowy wyłonił z mroku postać medium, podkreślając

bladość jej twarzy i krwistą czerwień szminki na ustach. Choć pokój nie był pogrążony w całkowitych ciemnościach, nie można było w zasadzie oderwać wzroku od kręgu światła. Po chwili straciło swą intensywność, tak jakby ono reagowało na trans, w który zapadała Brotski.

Jej usta, wyglądające teraz w słabnym świetle jak dwie krwawe blizny, rozchyliły się i wyrwał się z nich dźwięk podobny do jęku rozkoszy. Uniosła ręce, a dwaj asystenci podeszli, by je uścisnąć, jednocześnie podając drugą rękę siedzącym najbliższym gościom.

— Przyłączcie się do mnie — wyszeptła kobieta w fotelu, kiedy, jakby na hasło, wszyscy siedzący połączyli się łańcuchem rąk.

Dłoń starszego mężczyzny, siedzącego po prawej stronie Asha, była sucha i szorstka; natomiast kobiety po lewej miękka i wilgotna. W duchu pogratulował Elsie Brotski efektownego wstępu ceremonii i z zainteresowaniem obserwował ją, kiedy opuściła głowę na piersi, które zaczęły gwałtownie unosić się pod błyszczącą bluzką. Poprzednio miała zamknięte oczy, lecz teraz otworzyła je, ponownie uniosła głowę i wypowiedziała imię:

— Clare.

Powtórzyła imię zachrypniętym głosem. Ktoś siedzący o dwie osoby od Asha poruszył się niespokojnie.

— Jest tu ktoś z zaświetów, kto chce rozmawiać z Clare — powiedziała Brotski, po czym raptownym ruchem odwróciła głowę w lewo, jakby zwracała się do innej osoby. — Tak, wiem, Jeremy. Proszę, zachowaj cierpliwość — znowu zwróciła się w stronę widzów spektaklu. — Proszę bardzo, Clare. Jest tu kilka osób, które chcą z tobą porozmawiać dziś wieczorem.

Ash skrzywił się. Nie traciła czasu. Odrobina teatru i zaraz do rzeczy.

— Myślę, że chodzi o mnie — odezwała się jakaś kobieta w ciemnościach i natychmiast pojawiło się światło drugiego reflektora, które wyluskało spośród zebranych kobietę siedzącą na skraju ławki. Miała półotwarte usta i cała dosłownie drżała z podniecenia, Zmrużyła oczy pod wpływem nagłego strumienia światła, mimo że nie było zbyt silne.

Nigdy poprzednio Ash nic był świadkiem takiej reżyserii seansu i zaintrygowało go to.

— Jeremy chce, żebyś przestała się zamartwiać — odezwała się Brotski. — Jest szczęśliwy tam, gdzie teraz przebywa, ale chciałby, żebyś odwiedzała go częściej w ten sposób. Ma tobie wiele do powiedzenia. Zrobisz to dla niego, Clare?

Clare przytaknęła gorliwie ze łzami w oczach.

— Pragnie ci powiedzieć, że nie czuje już bólu, nawet noga mu nie dokucza. Oboje martwiliście się tym, czyż nie, Clare?

Kolejne potaknięcie i struga łez na policzku.

— Jeremy będzie miał ci więcej do powiedzenia następnym razem. Po prostu, nie martw się już. Myślę, że nie powinnaś zwlekać z następnym spotkaniem.

— Och, nie — odezwała się wzruszona kobieta i jej głos zadrżał, gdy dodała — na pewno nie...

Bardzo sprytnie, pomyślał Ash, kolejny rekrut zwerbowany. Zastanawiał się, czy opłaty za seans były ustalone, czy też zależne jedynie od poszczególnych widzów seansu. To i tak nie miało większego znaczenia; usatysfakcjonowani klienci byli z pewnością hojni.

— Jest tu ze mną pewien starszy, siwowłosy pan z uroczą bródką — oznajmiła Brotski. — Chce rozmawiać z kimś o imieniu...

I tak postępował seans. Reflektorek, który kierowany był przez kogoś stojącego za plecami medium, za każdym razem wyławiał z audytorium osobę, do której zwracał się ktoś z tamtego świata. Reżyseria całości była bardzo sprawna, lecz zarazem oczywista dla widzów. Zaskoczyło Asha, że kobieta w czerni rzeczywiście sporo wiedziała o swoich gościach i ich zmarłych najbliższych. Musiała mieć znakomity wywiad.

Wydawało się, że Brotski dobiera gości w sposób nie uporządkowany, starając się w każdym przypadku stworzyć wrażenie (a pomagało w tym światło reflektora), że ona i osoba wybrana spośród widzów są w danym momencie najważniejsze. Jednak wiadomości pochodzące od zmarłych były w większości trywialne — koniecznie pójdz do lekarza z tym bólem kręgosłupa, na pewno coś poradzi; jedziesz na wypoczynek za granicę w tym roku i spotkasz kogoś, kto będzie miał ci coś ważnego do powiedzenia; nie martw się o mnie, czuję się świetnie; powiedz babci Rose, że jej Tom jest tu ze mną i spotkają się, gdy nadejdzie pora; zawsze cię kochałem, nawet wtedy, gdy wydawało ci się, że jest inaczej i Kocham cię nadal; uważaj na ten nowy piecyk gazowy, który kupiłaś, masz rację twoje bóle głowy biorą się z jego powodu — każ sprawdzić rury łączące, bo tam ulatnia się gaz; proszę cię, nie rozpaczaj z. mojego powodu, przecież minęło już pięć lat od mojego odejścia, czas się pozbierać i zacząć korzystać z życia, ale proszę, przyjdź tu jeszcze kiedyś, to porozmawiamy; tak, jasne, że mi Ciebie brak; ten murarz spartaczył robotę na werandzie, każ mu to poprawić; masz rację, twój szef cię nie lubi, już czas, żebyś znalazła nową pracę, Kochanie — lecz znaczyły ogromnie wiele dla zainteresowanych, sądząc po ich reakcjach, czasami tryskających radością, innymi razy ckliwych.

Banalność całego przedstawienia paradoksalnie czyniła je bardziej wiarygodnym. Jednak Ash był jak najdalej od uwierzenia w talent Elsy Brotski.

Jeszcze nie wszyscy spośród zgromadzonych otrzymali wieści z zaświatów i do nich należeli oczywiście Edith i sam Ash. Czy medium zadowolili się tylko pośrednictwem pomiędzy zmarłymi a tymi gośćmi, o których udało jej się zebrać informacje? Nawet gdyby tak miało być rzeczywiście, to pozostali i tak będą pod wrażeniem jej spektaklu. Czy trzeba było przyjść dwa lub trzy razy, żeby dostąpić zaszczytu komunikowania się z duszami zmarłych, dając w ten sposób czas współnikom oszustki na zebranie stosownych informacji? Ash zastanawiał się, kto go zaczepi i będzie naciągał na zwierzenia po tym spotkaniu. Oczywiście przygotował się na taką ewentualność i miał w zanadrzu parę zmyślonych informacji do przekazania... Światło reflektora wyłowiło z mroku Edith. Ash był kompletnie zaskoczony. Przecież nic o niej nie wiedzieli, nawet nie znali jej prawdziwego nazwiska. Dlaczego fałszywa jasnowidzka, która właśnie wskazała palcem na Edith, jak gdyby kierowała światłem reflektora, miała wybrać właśnie ją, osobę zupełnie nieznaną?

Miał wrażenie, że cisza trwa zbyt długo, choć tak naprawdę nie minęło więcej niż kilka sekund. Edith poczuła się niezręcznie i poprawiła na siedzeniu. Rzuciła niepewne spojrzenie w stronę Asha.

Nagle twarz kobiety w czerni wykrzywił grymas wściekłości. Natychmiast przerzuciła wzrok na Asha.

Mimo że siedział w ciemności, poczuł się nieswojo pod wpływem jej wzroku.

— Wyrzucić ich! — wrzasnęła Brotski. Wszyscy obecni, a w szczególności Edith i Ash, byli zaszokowani gwałtownością jej wybuchu.

— Tych dwoje! — ręka medium wskazała intruzów.

Jeden z pomocników ruszył w pośpiechu, wypatrując w mroku Asha, który wstał z ławki i wyciągnął otwartą dłoń, aby powstrzymać napastnika, na twarzy którego znać było mordercze zamiary.

Ash zaklął pod nosem. Sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Nie miał zamiaru stawić jej czoła publicznie. Umyślił sobie, że przeprowadzi z nią dyskretną rozmowę po seansie; ostrzeże ją, że powinna zaniechać swych oszukańczych praktyk, ponieważ w innym razie on ujawni ich istotę i wykaże, jak bardzo dzięki nim się wzbogaciła. Takie groźby zazwyczaj odnosiły skutek w przeszłości. Zdemaskowanie oszusta zwykle kończyło jego działalność, gdyż trudno mu było odbudować poprzednią wiarygodność. Lepiej wycofać się bezpiecznie na emeryturę lub znaleźć inną formę intratnej działalności. Takie były ich plany, które, niestety, wzięły w łeb, Ash zauważył, że jeden z członków obstawy jest już niebezpiecznie blisko. Poczł uderzenie w żołądek, które zupełnie zaskoczyło go, ponieważ napastnik był wciąż o kilka metrów od niego. Nie mógł więc to być cios fizyczny. Spojrzał na medium.

Zauważył, że kobieta wyraźnie drży na całym ciele i patrzy wciąż na niego wściekłym wzrokiem, w którym ponadto czai się pogarda i strach. Strach przed nim. Odczuwał to tak silnie, tak potężnie, ale nie rozumiał, jak to się dzieje. Fala jej nienawiści zagościła wewnątrz jego umysłu, jakby spojrzenie tej kobiety docierało tam bezpośrednio. Nasunęło mu się idiotyczne skojarzenie rodem z filmów science fiction: widzialne promienie emitowane przez oczy, które przebijają jego czaszkę i wdzierają się do środka. Zrozumiał istotę oszustwa. To dzięki telepatii ta kobieta rozszyfrowała zamiary Edith i jego samego. Jakieś ręce złapały go za ramiona.

— No, dobra. Wynocha, no już. — Osilek z obstawy odezwał się cicho, niemniej groźba w jego głosie była oczywista. Ash wyrwał się z jego uścisku.

— Pani wcale nie rozmawia z duszami zmarłych — odezwał się opanowanym głosem do kobiety, która wciąż siedziała w fotelu.

Światło reflektora wciąż oświetlało jej wykrzywioną we wściekłym grymasie twarz. Uczestnicy seansu nerwowo poruszali się na swoich miejscach, przerzucając wzrok z medium na Asha. Ktoś zaczął głośno narzekać i po chwili dołączyli się inni. Ich niezadowolenie było oczywiście skierowane do Asha.

— Nadeszła pora, aby ci ludzie wreszcie dowiedzieli się, że pani ich zwodzi — kontynuował Ash, nie zrażony.

Pomocnik medium usiłował znowu go złapać, lecz Ash ponownie go odtrącił, tym razem energiczniej.

— Jasne, że ma pani talent — powiedział, podnosząc głos, by zagłuszyć rosnący szmer niezadowolenia — ale innego rodzaju niż ten, który usiłuje pani wmówić ludziom.

Drugi pomocnik ruszył w kierunku Asha.

— Ona ma zdolności telepatyczne — Ash zwrócił się do zgromadzonych. — Ogromne zdolności, ale wykorzystuje je po to, żeby zwodzić takich nieszczęśliwych ludzi jak wy.

Nie mógł być tego pewien, ale przecież wydawało mu się, że usiłowała przeniknąć jego myśli i odczuwał to w niezwykle silny sposób. Wyraz jej twarzy potwierdził, że jego założenie było słuszne. Jej oczy zwięzły się i przerwano spojrzenie z Asha na zgromadzonych wokół ludzi. Przez chwile przypominała osaczone zwierzę, które jednak nie utraciło instynktownego sprytu i szuka wyjścia z pułapki.

— Nie! — krzyknął ktoś.

— Wykorzystuje telepatię, żeby od was wyciągnąć pieniądze — Ash obstawał przy swoim. Rozległy się kolejne okrzyki protestu i niedowierzania.

— Posłuchajcie mnie — powiedział Ash cierpliwie. — Przysłano mnie tutaj z Instytutu Badań Psychiki w celu przeprowadzenia śledztwa w sprawie tej kobiety. Od dłuższego czasu mieliśmy co do niej pewne podejrzenia.

Kate McCarrick na pewno nie byłaby zachwycona. Z reguły bowiem działania Instytutu były bardziej dyskretne i, prawdę powiedziawszy, samego Asha zaskoczył własny tupet i brak opanowania. Być może zagrożenie ze strony pomocników Elsy Brotski lub jej telepatyczne zakusy spowodowały jego gwałtowny wybuch.

— Pan się myli. Nie wie pan, o czym mówi — zaprotestował jeden z widzów seansu i zaraz dołączyły się do niego inne głosy.

— Ona mi pomogła! — wykrzyknął jakiś kobiecy głos. — Dała mi spokój duszy!

— Zwróciła nam syna! — odezwał się ktoś jeszcze.

— To nieprawda — upierał się Ash. — To niemożliwe. Sprawdziłem jej przeszłość i powiadam wam, że nie jest tym, za kogo się podaje. Zapytajcie ją o działalność sekty religijnej w Leeds dziewięć lat temu, której była przywódczynią. Sekta zakończyła swoją działalność po tym, jak policja zaczęła się interesować dziwnymi rytuałami, które miały miejsce za zamkniętymi drzwiami — rytuałami, podczas których nagie młodziutkie dziewczyny zabawiały starszych panów. Zapytajcie ją też o pewnego wdowca z Chester, który wypłacał jej wysoką, cotygodniową pensję w zamian za listy od swojej zmarłej żony.

Protesty zgromadzonych stawały się coraz głośniejsze.

— Zmuście ją, żeby wyjaśniła, dlaczego musiała w pośpiechu wyjeżdżać z Edynburga — ciągnął. — Tamtejsze władze nie mają uznania dla jasnowidzów — szyderczo zaakcentował to słowo — którzy przekonują niedołążne staruszki, aby zapisały im fortuny i majątki ziemskie w zamian za przyrzeczenie bezpiecznego schronienia na tamym świecie wśród swoich krewnych i przyjaciół.

— Nie słuchajcie tego szaleńca — syknęła Brotski. — Większość z was mnie zna i potrafi docenić to, co dla was zrobiłam. Komu więc dacie wiarę?

Siedziała, jakby przyrośnięta do fotela, z rękoma kurczowo zaciśniętymi na drewnianych poręczach.

— Ile musieliście zapłacić za przywilej rozmowy ze zmarłymi? — zapytał. — Dobrze się nad tym zastanówcie.

Teraz już obaj pomocnicy byli przy nim i ciągnęli go za ręce w kierunku wyjścia. Opierał się jak potrafił i jeden z mężczyzn szepnął mu do ucha:

— Radzę ci po dobroci, wynoś się stąd, bo inaczej połamię ci nogi i nie będą to pierwsze, które osobiście połamałem.

Szorstka dłoń zasłoniła Ashowi usta, kiedy usiłował odpowiedzieć. Z wściekłością zadał potężny cios łokciem w brzuch jednego z napastników i w odpowiedzi usłyszał stłumiony jęk, który upewnił go co do skuteczności obrony. Ręka usunęła się z jego ust.

— Proszę zapalić światło — domagał się jakiś głos. — Nie widzę, co tu się dzieje.

Ale światła pozostały przytłumione. Jedyne dobrze oświetlonym miejscem był fotel i siedząca na nim kobieta w czerni. Niektórzy spośród zgromadzonych zauważyli, że medium wpatruje się zimnym wzrokiem w kogoś z pogrążonej w mroku grupy widzów.

Jej usta powoli otworzyły się. W oczach pojawił się wyraz przestachu i niepewności.

Coraz więcej osób zaczęło zdawać sobie sprawę z nagłej ciszy.

Zabrzmiało to jak płaczliwy lament:

— Niiieeeee... — wyrwało się z ust kobiety w czerni. Wszyscy usłyszeli ten niski, jęklivy głos i zapadła kompletna cisza.

Ręce zaciśnięte na ramionach Asha nagle osłabły.

Ash rozpoznał drugi głos, mimo że nie widział w ciemnościach sylwetki Edith.

— Zostaw nas w spokoju — odezwała się Edith ochryłym szeptem, który w dziwny sposób niósł się echem w pomieszczeniu, tak jakby słowa zostały wykrzywane.

Ash otrząsnął się z uścisku napastnika, nie napotykając żadnego oporu. Wszyscy trwali w bezruchu. Głos z ciemności miał dziwną, niespotykaną właściwość: był dudniący i szorstki. Pochodził od kogoś, kto siedział w jednej z ławek; od osoby, której oddech był krótki i urywany.

Głos odezwał się znowu:

— Nie należymy do waszego świata, zostaw nas w spokoju — był to głos kobiety, a jednak brzmiał inaczej.

Jedna z kobiet siedzących na ławce krzyknęła przeraźliwie, czując lodowaty podmuch.

— Nie chcemy tu być, nie z tobą — głos zmienił swoją barwę, choć w zasadzie pozostał ten sam i należał do niewidocznej w ciemnościach kobiety. — Nie możesz nas w ten sposób wykorzystywać. Nie katuj nas.

— Edith? — powiedział Ash, zdumiony tym, co się dzieje.

Dostrzegał zarys jej sylwetki, widział, jak jej pulchne ramiona unoszą się i opadają, lecz nie mógł dojrzeć rysów jej twarzy.

Znów przemówiła, lecz tym razem zupełnie nie swoim głosem, lecz gniewnym, męskim basem:

— Pozwól im, żeby pamiętali nas takimi, jakimi byliśmy. To co robisz jest złe, czy

nie...

— ...czy nie rozumiesz tego? To niegodziwe!

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę medium, siedzącej w świetle reflektora, ponieważ ostanie słowa wydobyły się z jej ust, choć był to ten sam głos, który przed chwilą mówił ustami Edith Phipps. Oczy kobiety medium poruszały się w nieskoordynowany sposób jak u ślepego, a jej język był wysunięty i zwilżał uszmkowane usta.

— Mieszasz się do rzeczy, których nie rozumiesz — ciągnął dalej głos. Usta kobiety składały się do artykulacji, lecz ich ruchy nie miały związku z wypowiedzianymi słowami.

Ash spojrzął w stronę Edith i zobaczył, że osunęła się na ławce i przewróciła się do tyłu, gdyby nie podtrzymali jej sąsiedzi.

— Musisz z tym skończyć, mu... Nie widzę cię, mamusiu — głos zmienił się w środku zdania i teraz należał do dziecka. — Brotski kołysała się w fotelu. — Zabierz mnie stąd, mamusiu, nie zostawiaj mnie tutaj...

Jakaś kobieta zaczęła szlochać:

— To moje dziecko...

— Ona chce was ogłupić — odezwał się głośno Ash, oskarżycielskim gestem wskazując kobietę w czerni. Odezwał się następny głos:

— Jesteśmy szczęśliwi, jesteśmy szczęśliwi...

Potem znowu głos dziecka...

— Chcę do domu, do mojego pokoiku...

Teraz włączył się głos starej kobiety:

— Widzę cię, widzę was wszystkich...

Bezcielesne głosy zaczęły mieszać się ze sobą, przekrzykiwać się, jakby nagle otworzyły się jakieś zatrzaśnięte dotąd wrota. Niektóre z głosów były podniesione i zdenerwowane, inne spokojne i opanowane, jednak wszystkie wypowiedzi złąły się w jedną, niezrozumiałą kakofonię dźwięków, co zabrzmiało jak efekt eksperymentu inżyniera dźwięku, powstały przy użyciu wielośladowego magnetofonu.

— ...bez ciebie twój brat przesyła świąteczne nie ranić więcej nie widzę cię co powiedzieć Marcie nie dłaczego proszę zostaw nas wreszcie pod dywanem na schodach kiedy to było mamusiu zabierz mnie nie słuchajcie jej nigdy nic zapomniemy ciebie tu w zaświatach cieszę się nie wolno się smucić kiedy ja Dawid tak wiele rzeczy widzę was wszystkich ta osoba nie męcz nas proszę mamusiu zaczekam zaczekam ty tam dziadek jest cokolwiek można jest Bóg nie zamartwiaj się kiedyś bądź szczęśliwa pewnego dnia przestań przestań...!

Ostatnie słowa zostały wykrzyczane.

Ciałem Edith targnął wstrząs i otworzyła oczy. Uniosła głowę i spojrzała w kierunku wskazanym przez snop jasnego światła reflektora. Poczowała, że krew odpływa jej z twarzy.

Kobieta medium bezskutecznie usiłowała podnieść się z fotela, lecz jakaś niewidzialna siła nie pozwalała jej na to. Jej plecy wygięte były w pałąk, a dłonie, z pobielałymi od wysiłku knykciami, zaciskały się na poręczach fotela. Miała szeroko

otwarte oczy, tak jakby niewidzialne palce rozwierały powieki, i rozdziawione usta. Jej wargi zwięzły się, a policzki gwałtownie zapadły.

Z ust medium zaczęła wydobywać się delikatna mgiełka. Można by sądzić, że powietrze wokół niej stało się lodowato zimne, ale Edith była już kiedyś świadkiem pojawienia się ektoplazmy — fizycznej postaci ciał astralnych — która wydobywała się z ust, nosa lub uszu mediów podczas transu. Była pewna, że obserwuje właśnie początek takiego procesu, lecz obłok był na razie zbyt słaby, żeby przyjąć konkretny kształt.

Jazgot tajemniczych głosów trwał nadal, choć nieco ucichł. Głosy wciąż wydobywały się z ust medium, pomimo że jej wargi i język nie brały w tym udziału.

— Przestań, przestań...

Łagodna mgiełka rozwiała się, lecz na twarzy kobiety pojawiły się cienie, dziwnie zniekształcając jej rysy.

Ludzie siedzący w pobliżu medium nie potrafili już opanować narastającego strachu. Rozległy się pojedyncze okrzyki przerażenia, które zagłuszały głosy dobywające się z ust kobiety w czerni.

Młoda kobieta — ta sama, której zdawało się, że usłyszała głos swojego dziecka — przeciskała się w stronę medium, jednak pozostali rzucili się do chaotycznej ucieczki w kierunku wyjścia, potrącając ją i przewracając.

Jakieś dwie kobiety, szlochając jak przerażone dzieci, minęły Asha. Za nimi podążyli inni, rozpychając się i pędząc do drzwi. Pomimo że kobieta medium rzeczywiście wyglądała teraz przerażająco, Ash nie rozumiał przyczyny tak gwałtownej paniki. Przecież z pewnością wszyscy zdali sobie sprawę, że jest to atak jakiejś niespotykanej choroby. Uświadomił sobie wreszcie, że ta kobieta jest autentycznym medium (choć jego głęboko zakorzeniony sceptycyzm nie dopuszczał myśli, że jest zdolna kontaktować się ze zmarłymi). Ponadto zdał sobie sprawę, że jej strach emanuje w dziwny sposób na innych, atmosfera pokoju bowiem wydawała się nim naładowana. Trwoga rozprzestrzeniła się jak nagła choroba, zarażając coraz to inne osoby, w tym i jego samego. Gdyby nie wydawało się mu, że rozumie istotę tego zjawiska, pewnie ruszyliby do wyjścia wraz z innymi. Mój Boże, pomyślał, trudno się dziwić, że zebrani czuli przed nią respekt.

Drgnął, kiedy poczuł na plecach dotyk czyjejś ręki.

— Dawid, ona jest w ogromnym niebezpieczeństwie — powiedziała Edith z nerwową troską w głosie.

Poczuł ulgę, widząc, że omdlenie Edith minęło, oraz że nie zauważył u niej oznak paniki.

— To histeria — zwrócił się do Edith. — Widziałem już wcześniej takie przypadki.

Spojrzała na niego jak na wariata.

— Mylisz się. Musimy jej pomóc, zanim będzie za późno. Musimy wydobyć ją z transu.

Tłum ludzi wokół przerzedził się. Większość z nich tłoczyła się do drzwi. Z miejsca, w których stali, Edith i Ash doskonale widzieli kobietę medium.

— Dobry Boże! — wykrzyknęła Edith.

Nie wszyscy salwowali się ucieczką. Nieliczni pozostali na swoich miejscach, jakby zahipnotyzowani widokiem. Ktoś jęczał. Ktoś inny zemdlał i upadł na podłogę z głośnym łoskotem.

Wszystko to dlatego, że twarz Elsy Brotski nie była już jej twarzą.

Skóra falowała i podnosiła się, by po chwili znowu zmienić formę. Tym razem nawet Ash zorientował się, że nie można takich deformacji przypisać refleksom światła na twarzy kobiety, ponieważ jej ciało zniekształcało się dosłownie na oczach obserwujących to zjawisko ludzi. Wyglądało to tak, jakby rysy jej twarzy zmieniały się, tworząc inne fizjonomie — wiele innych twarzy, które nakładały się na siebie, walcząc o prymat. To było niesamowite zjawisko — fascynujący a zarazem potworny i przyprawiający o mdłości spektakl.

Wydawało się, że twarz Elsy Brotski zostanie za chwilę rozerwana na strzępy.

Z zimną krwią i perwersyjną ciekawością Ash obserwował niesamowite zjawisko i oczekiwał na dalszy rozwój wypadków. Nie odczuwał żadnego współczucia dla tej kobiety i miał z tego powodu wyrzuty sumienia.

Zorientował się, że Edith chce podejść do medium i próbował powstrzymać ją ruchem ręki, ona jednak, nie zważając na protesty, ruszyła w stronę kobiety w czerni i po chwili znalazła się także w centrum koszmarnego spektaklu, w świetle punktowego reflektora.

Dotknęła dłońmi twarzy medium i przemówiła łagodnym głosem.

Ash podszedł w ich stronę, mijając po drodze tych, którzy, zdjęci trwoga, wciąż siedzieli na swoich miejscach, by obserwować niesamowite transformacje twarzy kobiety w czerni. Zobaczywszy, że Ash zdąży w stronę medium, jeden z jej pomocników uczynił początkowo taki gest, jakby chciał zastąpić mu drogę, ale natychmiast zmienił zamiar i wycofał się w kierunku wyjścia, gdzie tłoczyli się w panice widzowie seansu. Jego kolega wydawał się sparaliżowany strachem i niezdolny udzielić jakiegokolwiek pomocy swojej pracodawczyni. Trzeci pomocnik — ten, który kierował ruchomym reflektorem oświetlającym widzów — uczeplił się kurczowo statywu i z niedowierzaniem potrząsał głową.

Edith zachwiała się na nogach, kiedy ciało Elsy Brotski nagle wyprężyło się. Kobieta nadal zaciskała dłonie na poręczach fotela, lecz jej kręgosłup wygięty był jak łuk, natomiast brzuch stał się wielki i wypięty do przodu jak w ostatnim okresie ciąży. Jednak głowa wciąż sterczała pionowo — teraz pod kątem prostym w stosunku do kręgosłupa — dając złudzenie, jakby była niezależna od korpusu. Ale najgorsze wrażenie sprawiały jej oczy, widać bowiem było tylko białka, nabrzmiałe i matowe jak u martwej ryby.

Przedstawiała obrzydliwy i przerażający widok. Rysy twarzy wciąż podlegały ohydny deformacjom, a z nieruchomych ust nadal wydobywały się urywane i gniewne słowa:

— ...nie mogę uważać na kota jest inaczej nadal pamiętam czasy nie długi długi tunel jasne światło przy mamusiu proszę mamusiu tutaj kwiaty przestań powiedz wszystkim koniec śmierć nie może cały ból wygasa nie zapomnij pod schodami kiedy przestań przyjdziecie tu my nie chcemy tego my pragniemy widzę zostawcie...

Strużka krwi wypłynęła z nosa Brotski, a po chwili również z kącików jej oczu.

Ash stanął przed nią i przeraziła go siła targających jej ciałem konwulsji. Nie

wiedząc, co zrobić, nachylił się i przytrzymał oburącz głowę kobiety, tak jak poprzednio zrobiła to Edith. Walczył z odrazą, czując pod naciskiem dłoni pulsujące ciało.

Jej brzuch i biodra ocierały się o niego w lubieżnej parodii seksualnego aktu. Nabiegłe krwią białka oczu łypały nań groźnie. Oddech był cuchnący, tak jakby słowa wydobywające się z ust niosły z sobą fizyczny odór.

Całym ciałem miotaly dreszcze i konwulsje, tak że Ash miał wrażenie, że nie zdoła utrzymać w dłoniach jej twarzy. Jej kręgosłup wyprężył się jeszcze bardziej i Ashowi wydawało się, że za chwilę nie wytrzyma naporu i pęknie z potwornym trzaskiem. Głowa kobiety sterczała między piersiami jak groteskową, pulsującą podobizną.

Z jej ust dobiegała teraz, dominująca nad innymi dźwiękami, jednowyrazowa litania:

— ...przestań... przestań... przestań...

Nagle, tak jakby konwulsje sięgnęły zenitu, ciało Elsy Brotski zeszywniało. A przynajmniej tak się zdawało Ashowi. Miał wrażenie, jakby trzymał w rękach marmurowy posąg, tak sztywne i zimne w dotyku było jej ciało.

Głosy umilkły, lecz zastąpił je wysoki, żałobny lament; odległy, tak jakby dobiegał gdzieś z głębi ciała kobiety.

Narastał i po chwili stał się trudny do zniesienia, ogłuszający i wysoki.

Po chwili ucichł raptownie. Usłyszeli jeszcze pojedyncze słowo. Imię. Zaraz potem Elsa Brotski osunęła się bezwładnie na podłogę.

Edith Phipps zachodziła w głowę, dlaczego w ustach medium dwukrotnie pojawiło się imię Dawida, po raz pierwszy wśród gwaru niezemijskich głosów, a teraz jako przejmujący, ostatni okrzyk.

Rozdział 24

Ash poruszył się w łóżku i sięgnął dłonią do czoła, by złagodzić tętniący ból. Przełknął ślinę i poczuł nieznośne drapanie w gardle. Z trudem otworzył oczy. Głęboko wciągnął powietrze, tak jakby oddychanie nie było naturalną czynnością.

Poruszył się znowu i powoli poprawił na poduszce. Był ociężały, jakby pod wpływem narkotyku, słabe światło dzienne wpadało przez szyby do wnętrza pokoju, tworząc galerię cieni, które teraz nie wyglądały tak przerażająco jak poprzednio. Ash mruknął coś pod nosem, pewnie protestując przeciwko własnej niemocy.

Nie bez wysiłku podniósł rękę, żeby spojrzeć na zegarek. Zaskoczenie nieco pomogło wyrwać go z letargu. Było późne popołudnie; Ash przespał większą część dnia. Oparł się o wezglowie łóżka przecierając twarz dłońmi, by usunąć senność. Czuł, że ciało ma zmęczone i nieświeże. Pamiętał, że kiedy obudził się w nocy, był zlany potem. Odrzucił kołdrę, nie zwracając uwagi na niską temperaturę panującą w pokoju. Teraz jego skóra wyschła i wyglądała blado w słabym świetle. Pościel obok była pognieciona, a wszelki ślad obecności innej osoby został zatarty przez jego niespokojny sen. Jednak znalazł na prześcieradle ślady spermy.

Powoli wstał, wciąż czując tępy ból głowy, i podszedł do okna. Oparłszy ręce na parapecie, wyjrzał na zewnątrz.

Nie dostrzegł żadnych śladów ruchu. Było bezwietrznie, nawet obłoki nie przesuwały się po niebie, które zaciągnięte było ciężkim, stalowoszarym całunem. Panowała cisza.

Nawet dom, nawet Edbrook, wydawał się dziwnie spokojny.

Świadomość Asha odbierała wszystkie bodźce, lecz jego myśli powędrowały ku minionej nocy. Przypomniał sobie Christinę, czystą i pięknie bladą w swojej nagości; jej czarne włosy okalające twarz i opadające na ramiona, sięgające piersi. W myślach dotykał ją znowu i przypominał sobie jej namiętność i dreszcze rozkoszy.

Ash odwrócił się od okna i usiadł na chwilę na skraju łóżka z twarzą w dłoniach. Gdzie poszła? Dlaczego zostawiła go w środku nocy?

Ubrał się powoli, świadomie rezygnując z mycia. Przy drzwiach zatrzymał się z ręką na gałce. Trwał przez chwilę w bezruchu i zastanawiał się, co go powstrzymuje przed wyjściem na korytarz. Zdał sobie sprawę, że niepokoi go dziwna cisza domu. Miał niesamowite wrażenie, że mury i drewniane elementy konstrukcji domu, że jego dusza wyczekuje na... Na co? Zdenerwował się na samego siebie. Dawid Ash, siary pragmatyk, snuje fantastyczne i bzdurne teorie. Edbrook to przecież dom, jakich wiele. I nic ponadto. Oczywiście, ma tragiczną historię, na pewno jedną z tych, które potrafią odcisnąć swoje trwałe piętno. Jednakże nie ma to nic wspólnego z nawiedzeniem domu w popularnym sensie tego wyrażenia. Nie ma tu duchów, zjaw, upiórów, które nękają lokatorów domu. Choć niewykluczone, że mieszkają w Edbrook ludzie gotowi w przemyślny sposób wywołać wrażenie, że dom jest nawiedzony.

Tak myśląc, Ash otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Korytarz był pusty i choć przecież nie spodziewał się, że będzie inaczej, to jednak doznał dziwnego uczucia, że dom jest kompletnie pozbawiony życia. Lecz wyczuwał atmosferę... melancholii.

Ash szedł ciemnym korytarzem, a minąwszy schody z galeryjką, zerknął w dół, w stronę hallu. Nawet powietrze w Edbrook wydawało się ciężkie od starości. Może takie wrażenie powstało pod wpływem jego fatalnego samopoczucia, dwie poprzednie noce bowiem sprawiły, że czuł się przybity i zmęczony. Mimo że spał aż do późnego popołudnia, wciąż nie mógł pozbyć się ociążałości i tępego bólu głowy.

Dotarł do pokoju, Christiny i delikatnie zapukał do drzwi. Nie było odpowiedzi. Nie zadał sobie trudu, by zapukać ponownie. Wszedł do środka.

Stanął w progu z półotwartymi ustami, rozglądając się wokół.

W wyglądzie pokoju nie znalazł niczego niezwykłego. Mosiężne łóżko było starannie zaścielone. Na starych meblach tu i ówdzie stały dekoracyjne bibeloty. Wzorzyste zasłony podwiązano pięknymi kokardami, a ponadto w oknach znajdowały się jeszcze koronkowe firanki.

Nie dostrzegł nic niezwykłego poza...

...Poza tym, że wszystko wydało mu się zbyt uporządkowane. Nie zauważył żadnych książek, czasopism, ubrań, nocnej bielizny, porozrzucanych lub ułożonych na oparciach krzeseł. Wszystko było przytłumione, stonowane, jakby cały pokój i znajdujące się tu sprzęty pokrywała warstewka kurzu.

Nie czuł żadnych wibracji, żadnego śladu zamieszkania. Pokój Christiny sprawiał wrażenie opustoszałego muzeum.

Na toaletce, pod owalnym lustrem stały dwie fotografie oprawione w srebrne ramki i Ash podszedł, by się im przyjrzeć. Na starszej z nich rozpoznał postaci z portretu, na który natknął się poprzedniej nocy. Rodzice Christiny, sztywno upozowani, uśmiechali się teatralnie do obiektywu aparatu. Drugie zdjęcie, które musiało zostać zrobione znacznie później, przedstawiało dzieci Mariellów. Już miał zamiar je podnieść, kiedy jego wzrok padł na lustro i uchwycił w nim swoje odbicie. Zobaczył swoje podpuchnięte powieki i ciemny zarost na twarzy. Zmieszany, Ash odsunął się od lustra i nieporadnym ruchem dłoni przeczesał włosy.

Nie wiedząc, czemu to robi, dotknął łóżka. Być może tak, jak pieści się czasem ubranej ukochanej osoby pod jej nieobecność. Puchowa kołdra wydała mu się szorstka i niemła w dotyku.

Wyszedłszy z pokoju, Ash ruszył schodami w dół. Wciąż niepokoiła go panująca w domu nienaturalna cisza. Obszedł wszystkie pokoje, sprawdzając po drodze pozakładane przez siebie pułapki i szukając śladów pyłu rozniesionego po domu, a także wyłączając czujniki aparatury.

Nie bez uczucia lęku zbliżył się wreszcie do drzwi piwnicy. Zszedł tylko kilka stopni w dół i z bezpiecznej odległości przyjrzał się pomieszczeniu, szukając śladów zniszczeń spowodowanych pożarem. Jednak poza leżącą na posadzce płachtą, przykrywającą kawałki potłuczonej butelki, nie było tam nic, co mogłoby potwierdzić, że wydarzenia poprzedniej nocy były prawdą, a nie jedynie jego urojeniem. Nie było okopconych ścian, zwęglonych drewnianych belek konstrukcji stropu, ani zapachu spalenizny, który z pewnością utrzymywałby się we wnętrzu po prawdziwym pożarze. Tak więc ogień musiał być w całości urojeniem. Akta w Instytucie Badań Psychiki pełne były opisów takich przypadków. Ash nie był pewien, czy taka konstatacja przyniosła mu ulgę, czy też spotęgowała przerażenie.

Z piwnicy poszedł przez hall do kuchni. Przed wejściem zatrzymał się na moment. Z jej wnętrza bowiem doszły go jakieś dźwięki. Słabiutkie dźwięki. Jakieś drapanie.

Drzwi były uchylone i Ash popchnął je delikatnie.

Myszy biegające po kuchennym stole były nieświadome jego pojawienia się dopóty, dopóki drzwi nie otworzyły się szeroko i uderzyły w stojący za nimi kredens. Gryzonie pierzchnęły w panice. Niektóre z nich skoczyły najpierw na krzesło, a potem na podłogę. Inne, choć wydawało się to nieprawdopodobne, zbiegły w dół po stołowych nogach.

Ash poczuł dreszcz na widok obrzydliwych stworzeń, i choć na stole nie było ich więcej niż sześć, to jednak świadomość, że równie dobrze mogłyby ich być setki, przyprawiła go o mdłości. Leżące na stole pół bochenka chleba i kuchenny nóż były upstrzone ciemnymi plamami pleśni. Widok ten oraz wspomnienie harcujących myszy spowodowały, że poczuł falę nudności.

Podszedł do zlewu i wypluł kwaśną ślinę, która podeszła mu do gardła, na grzbiety dwóch karaluchów. Odkoczył gwałtownie, przerażony. Mój Boże, co za brud! Co się stało z Edbrook przez jedną noc? Nawet gdyby głośno wymówił to pytanie, i tak nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby udzielić na nie odpowiedzi. Sięgnął ręką i przekręcił kurek staroświeckiego kranu. Woda była brązowa i cuchnąca, i dopiero po chwili popłynęła czysta. Czarne owady spłynęły wraz z jego śliną do kanalizacji. Zakręcił kurek i odszedł od zlewu.

Tylnych drzwi nic zamknięto na klucz. Ash otworzył je i wyszedł na taras

zadowolony, że jest na powietrzu, mimo panującego na dworze zimna. Wierzchem dłoni otarł wilgoć z ust i brody. Zaczerpnął głęboko powietrza, czując, że zmęczenie częściowo ustępuje. Zadrżał z zimna i po chwili, niemal z rozpaczą, wykrzyknął imię Christiny.

Czy mógł spodziewać się odpowiedzi? Wątpił w to. Niemniej zawołał jeszcze raz.

Odpowiedzią była cisza.

Stał na tarasie otwartym na ogród i przykładając złożone ręce do ust, zawołał:

— Chriiistiinaaa...!

Krzyknął jeszcze raz, lecz tym razem już bez przekonania, ciszej.

Christina opuściła Edbrook. Wydawało mu się, że ciotka Tessa także. Ash był zupełnie sam i zastanawiał się, skąd bierze się wrażenie, że stojący za jego plecami zrujnowany dom patrzy na niego pożądlivym wzrokiem.

Rozdział 25

Czerwony Ford Fiesta ostrożnie włączył się w strumień pojazdów jadących autostradą w kierunku północno — zachodnim i po chwili szybko nabral prędkości, jakby radując się, że w końcu udało mu się wyzwolić z ulicznych korków.

Lecz na twarzy kierującej pojazdem Edith Phipps nie było znać radości. To, że Edith mocno zaciskała dłonie na kierownicy, nie było spowodowane obawą przed demonami prędkości, szalejącymi na prawym pasie autostrady.

Ash zakładał płaszcz, idąc korytarzem w kierunku schodów, nawet nie zadawszy sobie trudu, by zamknąć za sobą drzwi sypialni. Prędko zbiegł po stopniach, chcąc jak najprędzej wydostać się z tego paskudnego miejsca, które roztaczało ponura i przytłaczającą atmosferę. Kiedy poprzednio wyszedł na taras, podmuch zimnego powietrza pomógł mu wreszcie otrząsnąć z siebie resztki senności. Zamierzał teraz natychmiast wyjść, zanim osłabnie odświeżające działanie powietrza.

U stóp schodów zatrzymał się. Popatrzył w głąb hallu, gdzie stał czarny aparat telefoniczny. Pomyślał, że spróbuje jeszcze raz. Nie ma przecież nic do stracenia, nic się nie stanie, gdy straci kilka sekund. Podszedł do urządzenia i podniósł ciężką słuchawkę do ucha. Niemal uśmiechnął się do siebie, kiedy usłyszał, że linia jest głucha. Przecież wiedział, że tak będzie.

Upuścił słuchawkę na widelki i otrzepał z ręki kurz.

Jego kroki dudniły głucho na drewnianej podłodze, kiedy zmierzał do wyjścia. Ash otworzył jedno skrzydło podwójnych drzwi, wyszedł na zewnątrz i zbiegł po kamiennych schodkach w podmuchach mroźnego wiatru. Żwir na podjeździe głośno chrzęścił pod butami.

Ogromna ciężarówka prawie otarła się o Fiestę podczas wyprzedzania i Edith zlekła się, że jej pojazd może zostać zassany pod koła olbrzyma. Podmuch powietrza spowodowany przez wielką ciężarówkę rzeczywiście targnął małym samochodem i Edith musiała mocniej zacisnąć dłonie na kierownicy, żeby uniknąć kolizji.

Spojrzawszy we wsteczne lusterko, zorientowała się, że w ślad za ciężarówką podążają następne, których kierowcy stracili cierpliwość z chwilą, kiedy koła ich pojazdów dotknęły betonowej nawierzchni trzypasmowej autostrady. Zerknęła na

szybkościomierz. Dwadzieścia kilometrów na godzinę poniżej dopuszczalnej prędkości. Więc może to jej wina. Jednak nie tylko ona jechała dziewięćdziesiątką. Sznur samochodów nasunął jej skojarzenie z konduktem żalobnym. Uśmiechnęła się ponuro. Skojarzenie w sam raz odzwierciedlało jej nastrój. Skąd u ciebie ten idiotyczny strach, Edith? — pomyślała. — Skąd bierze się ten irracjonalny lęk o Dawida? Trudno powiedzieć. Postrzeżenie pozazmysłowe, niestety, rzadko dostarcza „wyraźnych” obrazów. Większość z nich to tylko pewne trudne do określenia, intuicyjne przecucia; jednak w tym przypadku bardzo silne, och, jak silne. I tym razem sygnały pochodziły bezpośrednio od Dawida. To on był głównym ogniwem. Tak, jakby wysyłał sygnały alarmowe. Lecz wszystko było zamglone, nieostre...

Gwałtownie nacisnęła pedał hamulca w momencie, gdy zdała sobie sprawę, że tył jadącego przed nią samochodu zbliżył się niebezpiecznie.

Uspokój się, nakazała sobie. Cokolwiek dzieje się w tym chorym domu o nazwie Edbrook, to Dawid nie będzie miał z ciebie wielkiego pożytku, jak rozwalisz się na autostradzie. Dobry Boże, co za myśli przychodzą ci do głowy! Trzeba się uspokoić.

Zaryzykowała oderwanie wzroku od drogi i spojrzała na rozłożoną na siedzeniu obok mapę drogową. Nie chciała minąć zjazdu z autostrady, który miał doprowadzić ją do celu.

Zerkając znowu przed siebie odsunęła leżące na mapie listy, które zasłaniały interesujący ją fragment — listy podpisane przez pannę T. Webb — po czym szybko sprawdziła numer zjazdu.

— Jeszcze kawał drogi — mruknęła do siebie i drgnęła, ponieważ właśnie wyprzedzała ją kolejna ciężarówka.

Gdy wszedł do budki telefonicznej, odczekał chwilę, żeby uspokoić oddech przed wykręceniem numeru Instytutu. Marsz wiejskimi drogami z Edbrook do telefonu rozjaśnił mu umysł. Czuł się bardziej rześko, pomimo że spacer był forsowny. Może właśnie tego mu było potrzeba, żeby usunąć psychiczne zmęczenie — wysiłku fizycznego na świeżym powietrzu. Całą winę za swój poprzedni stan zrzucał na Edbrook wraz z jego nieświeżą atmosferą i słabym oświetleniem. Oczywiście, miały w tym swój udział także przeżycia z dwóch ostatnich nocy. Mariellowie bawili się z nim w kotka i myszkę, usiłowali go zdyskredytować, a on nie wiedział dlaczego. Czy to miało jakieś znaczenie? Właściwie zupełnie go to nie obchodziło. Ale czy naprawdę? Myśli o Mariellach nie dawały mu spokoju. Musiał przyznać, że w jakiś perwersyjny sposób fascynowali go. Szczególnie Christina. Ostatniej nocy...

Powstrzymał się. Potrzebował czyjejś rady, trzeźwego sądu bezstronnej osoby. Musiał porozmawiać z Kate McCarrick. Potrzebny mu był jej rozsądek i logika.

Ash włożył rękę do kieszeni i zaklął, kiedy wyciągnął stamtąd jedynie kilka monet jednopensowych.

Popchnął ciężkie drzwi budki i wyszedł. Obejrzał się za siebie w kierunku drogi wiodącej do Edbrook.

Ruszył w przeciwnym kierunku.

Dojechała do właściwego zjazdu z autostrady. Włączyła kierunkowskaz i w chwilę później odetchnęła z ulgą na myśl, że wreszcie pozostawiła za sobą zatłoczoną pędzącymi pojazdami autostradę i odtąd poruszać się będzie spokojnymi, wiejskimi drogami. Jechała teraz dużo wolniej, mijając po drodze miasteczka i wioski, z przyjemnością kontemplantując uroki okolicznych pól oraz łągodnych wzgórz.

Zapadał zmierzch i w oknach mijanych domów zaczęły zapalać się pierwsze światła.

Kiedy Ash dotarł do skraju wioski, jego krok utracił całą poprzednią żwawość. Po trzech kilometrach marszu był zmęczony, ramiona obwisły mu bezradnie i wpatrywał się tępo w nawierzchnię drogi.

Wkrótce zabudowania stały się coraz gęstsze i po chwili dotarł do głównej drogi z szeregami domów po obu stronach. Gdzieś tam zapalały się światła, a w kilku domach dostrzegł ogień w paleniskach kominków. Widok tych domów miał w sobie coś krzepiącego i kojącego. Jednak z drugiej strony ich wewnętrzne ciepło podkreślało tylko jego wyobcowanie. Czuł się samotny.

Wydmuchiwał z ust obłoki pary, które rozpraszały się równie szybko jak jego ulotne myśli. Nieprzyjazny chłód wieczoru jeszcze bardziej potęgował fizyczne zmęczenie. Mijał po drodze sklepy, a jasne oświetlenie wystaw drażniło jego oczy. Lecz w pewnym oddaleniu ujrzał bardziej zachęcające światła.

Przyspieszył kroku, czując narastającą suchość w gardle.

Edith stała obok samochodu, kiedy podstarzały pracownik stacji benzynowej obsługiwał jej Fiestę, narzekając na chłodne wieczory, na brak prawdziwego lata tego roku, na ceny mięsa. Była to mała stacja i praca na niej z pewnością nie była zbyt interesującym zajęciem, choć od czasu do czasu pozwalała uciąć sobie pogawędkę z klientem.

Och, tak, stąd już niedaleko do Ravenmoor, zupełnie blisko. Oczywiście, że zna miejsce o nazwie Edbrook. To wielki, stary dom i spory kawał ziemi. To też niedaleko, gdzieś z pięć kilometrów od wsi. Nie, nie wie, kto tam mieszka. To znaczy, nie ma pamięci do nazwisk. To jedno z takich miejsc, które są, a jakoby ich nie było; dom na pustkowiu, a ludzie raczej zamknięci w sobie. On sam mieszka tu od niedawna, od czasu, kiedy ożenił się po raz drugi. Po dwóch latach znowu owdowiał, więc ciągle czuje się tu obco, a poza tym co on miałby mieć wspólnego z mieszkańcami takiego wielkiego domu. Ale ta pani, która tam mieszka, czasami tankuje u niego benzynę. Ma takie stare auto, utrzymane w znakomitym stanie. Pamięta, bo kiedyś nie miała przy sobie gotówki i płaciła czekiem, na którym było jej nazwisko i adres. Za Boga nie może przypomnieć sobie nazwiska, ale nigdy nie była zbyt rozmowna, nie to, co on. Lubi sobie czasem pogadać. No więc, najpierw trzeba będzie skręcić w prawo, potem w pierwszą w lewo. Dalej będzie rozwidlenie i tam należy wyjechać na większą, no, troszkę węższą, drogę po lewej i stamtąd to już będzie bardzo blisko do Edbrook.

Przerwał na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu.

Och, tak, zna to miejsce, ale nic go nie obchodzi. Przechodził tamtędy parę razy, ale jakoś nie przypadło mu do gustu. Czuł, że coś jest z tym domem nie w porządku, ale nie wiedział co. No, bo jeśli ma się już siódmy krzyżyk na karku, to ma się nosa do takich rzeczy, no nie? No to świetnie, bak pełen po sam korek. A jak z olejem? Nie trzeba dolać? Na pewno? Te małe pudełka już nie ciągną tyle oleju, co niegdysiejsze auta. Duży postęp. A tak właściwie to nie jest żaden postęp, ale degeneracja, no wie pani, co mam na myśli. To już nie to samo, co kiedyś. No, ale czas nie stoi w miejscu i trzeba iść z jego duchem...

Edith odetchnęła z ulgą, kiedy mężczyzna wreszcie oddalił się i wszedł do małego

budyneczku. Zawołała za nim, żeby zatrzymał sobie resztę. Już wsiadła do samochodu i sięgnęła po pas bezpieczeństwa, kiedy odwrócił się i pomachał do niej ręką.

Właściciel i zarazem barman z pubu Ravenmoor Inn lekko uchylił drzwi, żeby zobaczyć, jaka pogoda panuje na zewnątrz. Zimno nie stwarzało problemu, nawet mróz. ale deszcz zazwyczaj powodował, że klienci, z wyjątkiem najwierniejszych bywalców, woleli nie opuszczać domów. Właśnie wtedy prawie wpadł na niego mężczyzna w ciemnym płaszczu. Nie miejscowy, to pewne, ale poza tym raczej niechlujny typ. Nie zaszkodziłoby, gdyby się ogolił. Cofnął się, żeby wpuścić klienta do środka. Ash wymamrotał jakieś przeprosiny i minął właściciela. Szybko przeszedł przez przedsionek i wszedł do głównej sali baru. Barman niespiesznie poczłapał za nim.

— Zimny mamy wieczór — zagadnął, kiedy stanął za kontuarem.

Ash skinął potakująco głową i wskazał palcem rząd butelek stojących za plecami barmana.

— Dużą wódkę — powiedział. — Cholernie dużą.

Edith zwolniła, wyciągając szyję w kierunku przedniej szyby samochodu i starając się odczytać napis. Włączyła długie światła, by lepiej widzieć.

Kiedy podjechała bliżej, ujrzała napis EDBROOK, wryty na kamiennych filarach po obu stronach bramy wjazdowej. Wrota były otwarte, więc Edith zjechała z drogi i zatrzymała samochód na podjeździe. W oddali, w końcu długiej i prostej drogi dojazdowej, majaczył zarys dużego budynku. W żadnym z okien nie paliło się światło.

Jej instynkt niczego nie wyczuwał. Równie dobrze dom mógł być nie zamieszkanym.

— Dawid... — powiedziała cicho, tak jakby mogła go przywołać szeptem z tej odległości.

Nie, nie czuła zupełnie nic. Nie miała najmniejszej ochoty wchodzić do tego mrocznego i odstręczającego miejsca. Gdyby tylko Dawid...

Edith zdjęła nogę z hamulca i Fiesta powoli ruszyła w stronę domu. Wkrótce po obu stronach drogi ukazały się jej oczom trawniki ograniczone ścianą lasu i ogród. Przy tym świetle trudno było jej orzec, czy są dobrze utrzymane. Nagle oddech zamarł jej w piersiach — odniosła bowiem wrażenie, że dostrzega jakichś ludzi stojących w ogrodzie. Prawie natychmiast zdała sobie sprawę, że to tylko kamienne, ogrodowe posągi. Zignorowała wrażenie, że obserwują jej przyjazd.

Dom rósł w oczach, wkrótce przesłaniając cały widok, a światła samochodu w upiorny sposób oświetlały jego fasadę.

Zaparkowała pod drzewem, którego wielkie konary zwieszały się nad zwirową alejką wiodącą do frontowych drzwi Edbrook. Bezpieczna odległość, pomyślała, zażenowana własnym brakiem odwagi. Przyglądała się budowli z niezdrowym zainteresowaniem, zastanawiając się, skąd wzięły się jej obawy. Nie czuła nic; żadnych sensacji.

W takim razie, dlaczego odczuwa strach? Strach, który zagnieździł się gdzieś wewnątrz niej, jak rakowa komórka tocząca zdrowy organizm i rozprzestrzeniająca

chorobę aż do nieuchronnego finału. Ten strach karmił się czymś, co znajduje się wewnątrz domu...

Dziwne, pomyślała Edith, niczego nie wyczuwasz, a jednak czai się tam gdzie niewidzialny koszmar, którego częścią stał się Dawid Ash.

Edith wyruszyła w tę podróż z mocnym postanowieniem, że odszuka i ostrzeże Dawida przed grożącym mu niebezpieczeństwem, z którego nie zdawał sobie sprawy, ponieważ odrzucał fakt posiadania przez siebie daru i nie robił z niego użytku. To było tak, jakby działanie jego talentu zablokowane zostało przez psychiczną barierę, którą sam zbudował; mur oddzielający świadomość od podświadomości. Nie, to niezupełnie tak. Ta część jego umysłu, która pośredniczyła w oddzielaniu tego, w co w głębi ducha wierzył, od tego, co dyktowała mu logika, zbuntowała się i zablokowała działanie nadzwyczajnych zdolności lub raczej skierowała je na inne tory. Jednakże, właśnie dzięki ich istnieniu Edith otrzymywała od Dawida telepatyczne sygnały, których on sam nie był świadom... Och, ileż zabawy miałyby psychoanalitik starający się zgłębić tajniki umysłu Dawida. Jednak teraz cała odwaga opuściła Edith i w łeb wzięły wszystkie wcześniejsze postanowienia.

Poważnie zastanawiała się, czy nie wsiąść z powrotem do samochodu i nie opuścić tego nieprzyjemnego miejsca. Wydawało się, że w domu nie ma nikogo. W każdym razie okna były ciemne. Może Dawid zdążył już wrócić do Londynu po zakończonych badaniach. Może myliła się sądząc, że jest w niebezpieczeństwie. Nie, to niemożliwe. Tego typu odczucia nigdy jej jeszcze nie zawiodły. Jeśli Dawid naprawdę wyjechał, to świetnie. Jeżeli nikogo nie było w domu, to nawet lepiej — mogła odjechać z poczuciem, że przynajmniej próbowała coś zrobić.

Nadal nie odbierała żadnych sygnałów z wnętrza domu. Tak jakby wypełniała go próżnia. Pustka przerażała ją i zbijała z tropu. Ale jeśli rzeczywiście nikogo tam nie ma, to nie ma też się czego bać. Jak nie czuje zupełnie nic, to znaczy, że nie ma powodu do obaw.

Otworzyła drzwi samochodu. Przeszył ją dreszcz. Wysiadła. Ruszyła zwirową alejką. Weszła na szerokie, kamienne stopnie wiodące do drzwi wejściowych.

Jedno ze skrzydeł było lekko uchylone. Wewnątrz panowały smoliste ciemności.

Edith nacisnęła guzik dzwonka, który znajdował się na ścianie obok drzwi. Gdy z wnętrza domu nie dobiegł do niej żaden dźwięk, nacisnęła jeszcze raz, energiczniej, Nadal cisza.

Zapukała głośno. Kiedy nadal nie było żadnego odzewu, popchnęła uchylone skrzydło podwójnych drzwi. Panująca za drzwiami czerń nic rozjaśniła się ani odrobinę.

— Halo?! — zawołała, wsuwając do środka głowę. — Halo, jest tam kto?

Cofnęła głowę, kiedy uderzył ją odór starości, stęchlizny i... wiele innych. Wydało jej się to dziwne, ale jednym z nich był zapach spalenizny.

Zaciekawiona, Edith weszła do środka.

Po chwili jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności panującej w hallu Edbrook.

— O mój Boże... — zakrzyknęła cicho. Gdzieś w głębi przestronnego hallu, z drzwi pod schodami, jakby wezwany jej okrzykiem, wyłonił się cień.

Rozdział 26

Ash oparł łokcie na kontuarze i wskazał barmanowi pustą szklaneczkę.

— Jeszcze jedną — powiedział. Tamten wziął od niego naczynie, przyglądając się bacznie.

Dla tego faceta picie nie było sposobem zabicia czasu; miał jakiś poważniejszy powód. Odwrócił się plecami do Asha i podstawił szklaneczkę pod butelkę z dozownikiem.

— Piwo też? — zapytał przez ramię. Ash zgasił niedopałek papierosa w popielnicze.

— Dlaczego nie? Nie jestem samochodem.

Od czasu wejścia Asha w barze przybyło klientów, choć wciąż pozostało sporo wolnych miejsc. Wieczór był zbyt chłodny, aby zanadto oddalać się od domowych pieleszy. Rozbrzmiewały przyciszone rozmowy, z rzadka przerywane stłumionymi okrzykami kilku mężczyzn grających w strzałki w drugiej salce baru.

Barman postawił przed Ashem wódkę i zabrał pustą szklankę po piwie. Podstawił szklankę pod kurek, dyskretnie obserwując zaniedbanego klienta w wymiętym ubraniu.

— Zatrzymał się pan gdzieś we wsi...? — odezwał się barman. Ash sięgnął ręką do wiaderka z lodem.

— Niedaleko, ale piechotą to cholerny kawał drogi — wrzucił lód do szklaneczki.

— To znaczy, że mieszka pan poza wioską, prawda? — barman powoli zakręcił kurek.

— Będzie ze sto kilometrów — Ash zmusił się do uśmiechu, aby dać barmanowi do zrozumienia, że żartuje. — Tak naprawdę to zaledwie parę kilometrów stąd, ale wydaje mi się, jakby to była co najmniej setka. Mieszkam w Edbrook. Zna pan to miejsce?

— Edbrook? — powiedział barman z nutą zainteresowania w głosie. — Ach, tak, wiem, gdzie to jest.

— Zatrzymałem się u Mariellów — pokiwał głową, uśmiechając się do siebie.

Barman postawił szklankę z piwem na podstawce i pochylił się nad kontuarem.

— To takie opuszczone miejsce. Zatrzymał się pan tam na dłużej?

— Wolałbym na krótko — podał barmanowi dwie monety jednofuntowe. — Właśnie myślę sobie, że powinienem złapać pociąg do Londynu jeszcze dziś wieczorem. Gdyby nie... — wzruszył ramionami i pociągnął łyk wódki.

— A więc nie podoba się panu tam? — zapytał barman, chcąc podtrzymać rozmowę i zdziwił się, kiedy klient wybuchnął śmiechem.

Ash pokiwał głową i na jego twarzy pojawił się pijacki grymas.

— Sądzę, że Mariellów można by nazwać ekscentrykami.

— Mariellów?

— Tak, wszystkich, Roberta, Simona, kochaną cioteczkę Tessę. Nawet... nawet Christine.

Barman nagle wyprostował się i ton jego głosu przestał być przyjazny:

— Chyba ma pan już dość na dziś. Jeżeli zamierza pan tam wrócić na noc... — urwał w połowie zdania i podszedł do kasy. Kiedy położył resztę przed Ashem, dodał. — Oczywiście, jeśli to prawda, że pan się tam zatrzymał.

Po tych słowach barman odwrócił się i pozostawił Asha samemu sobie. Ten wzruszył ponownie ramionami i wypił łyk piwa. Przejrzał trzymane w garści monety w poszukiwaniu dziesięciopensówki. Znalazłszy ją, dopił wódkę i odszedł od baru, zataczając się lekko.

W przedśionku podszedł do automatu telefonicznego, włożył monetę, wykręcił numer i czekał.

— No dalejże, Kate — mruknął do siebie po chwili. — Gdzie się podziewasz, kiedy ciebie potrzebuję?

Po drugiej stronie nikt nie podnosił słuchawki. Westchnął głęboko i oparł się o ścianę, czując, że alkohol uderza mu do głowy.

W mieszkaniu Kate McCarrick rozległ się szcęk klucza w zamku w chwili, kiedy dzwonił telefon. Po chwili drzwi otworzyły się i do środka wpadła Kate. Rzuciwszy teczkę z dokumentami na podłogę w korytarzu, podbiegła do telefonu i podniosła słuchawkę.

— Halo? — powiedziała, z trudem łapiąc oddech. Zdążyła tylko usłyszeć trzask odkładanej słuchawki.

— Cholera!

— Cholera — Ash zaklął i rzucił słuchawkę na widelki.

Oparł się o ścianę, z twarzą uniesioną w górę. Potarł palcami oczy i czoło. Stał tak przez chwilę nieruchomo, czując w skroniach ból spowodowany zmęczeniem i nadmiarem wypitego alkoholu. Zostaw ich w cholere, pomyślał Ash. Niech się sami bawią w swoje gry. Jakie to może mieć dla ciebie znaczenie?

— No właśnie. Jakie to, do cholery, ma znaczenie? — wymamrotał na głos.

To wszystko nie ma sensu. Czyżby złościł się tylko z powodu Christiny, która wyjechała z Edbrook, nie zostawiwszy dla niego żadnej wiadomości, żadnego potwierdzenia wagi ich wspólnego intymnego przeżycia z poprzedniej nocy? Przypomniawszy sobie, jak bardzo go łaknęła, pożałowała go nawet bardziej niż on jej. Pamiętał jej namiętność i wszelkie zabiegi, których nie szczędziła, aby zyskać jego wzajemność. Początkowo powoli, a później z równym zapałem oddał jej starania. Nawet teraz na samo wspomnienie czuł przypływ gorąca.

Ale ten pożar! Myśl o pożarze pojawiła się w jego umyśle nagle, przerywając błogie rozpamiętywanie. Jednak płomienie były jedynie wytworem jego imaginacji. To niemożliwe, to niemożliwe! Wyobraźnia nie jest w stanie płatać takich figli. Przecież dusił się dymem, czuł gorąco płomieni. Mój Boże, co właściwie wydarzyło się wtedy w piwnicy? Wyjedź stad, podpowiadał mu wewnętrzny głos. Niech się sami zachłystują swoimi wariackimi sztuczkami.

Ash otrząsnął się i podszedł do drzwi. Chciał znaleźć się znowu w mroźnym,

orzeźwiającym powietrzu. Złapał za klamkę w chwili, gdy ktoś popchnął drzwi od zewnątrz. Weszło dwoje młodych ludzi; on obejmował ją w pasie. Ash odsunął się, by ich przepuścić, a chłopak skinął głową podziękowanie, nie zwracając na niego uwagi. Chłopak szepnął dziewczynie coś do ucha, a ona zachichotała w odpowiedzi. Oboje zniknęli za drzwiami baru.

Ash wyszedł na ulicę, podnosząc kołnierz płaszcza w obronie przed atakiem zimnego powietrza. Obrotowe drzwi pubu zamknęły się, a wraz z nimi zniknęło przytulne światło. Zesztywniał, gdy ujrzał starego Wolseleya zaparkowanego przed pubem. Przez szybę dostrzegł w ciemnym wnętrzu samochodu twarz Christiny. Przyglądała mu się.

Po chwili wahania podszedł do samochodu i otworzył drzwi, które zaskrzypiały przeraźliwie. Pochyliwszy się, zajrzał do środka.

— Dlaczego opuściłeś Edbrook? — w głosie Christiny słychać było gniew.

Zaskoczyło go to.

— Dlaczego ja... ? No, nie!

— Nikomu nie powiedziałaś, gdzie idziesz.

On też wybuchnął gniewem, kiedy wsiadł do samochodu.

— Nikogo nie było w domu! Komu miałem powiedzieć? Co się stało, Christina? Dlaczego dom był pusty? Sięgnęła do stacyjki i włączyła rozrusznik.

— Zadałem ci pytanie — powiedział Ash szorstko.

— Pozwoliłam ci się wyspać. Byłeś wyczerpany.

— Pytałem, gdzie się podziewałaś? — nie ustępował. Wrzuciła pierwszy bieg i Wolseley oderwał się od krawężnika.

— Hej, chwileczkę... Gdzie właściwie jedziemy?

— Z powrotem do Edbrook, oczywiście. — odpowiedziała ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

— Ale nie jestem pewien, czy...

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

— Chyba nie zamierzasz teraz zrejterować, prawda? Po tym, co zaszło ubiegłej nocy?

Czuł pulsujący ból w skroniach i ucisnął palcami bolące miejsca.

— To co miało miejsce między nami...

— Było fantastyczne, Czyżbyś tego nie pamiętał?

— Trudno mi... Sam nie wiem, co o tym myśleć, Christina, Jestem cholernie zmęczony i muszę to sobie wszystko poukładać w głowie.

Samochód przemknął przez wioskę i teraz jechał pogrążoną w mroku leśną drogą.

Ash odwrócił się na siedzeniu po to, by lepiej ją widzieć.

— Co właściwie dzieje się w Edbrook, Christina? Nic z tego nie rozumiem. Czy ty i twoi bracia prowadzicie ze mną jakąś wariacką grę?

Milczała przez dłuższą chwilę, koncentrując się na prowadzeniu samochodu. Czuł

teraz charakterystyczny zapach stęchlizny i rdzy starego auta. Był przekonany, że wewnętrzne mechanizmy Wolseleya toczy rdza.

— Nie ma żadnego ducha, prawda? — ciągnął Ash. — Wymyśliliście sobie tę całą historię. Z jakiegoś, sobie tylko znanego, powodu chcieliście dobrać się do mnie. Powiedz mi, dlaczego. Proszę, powiedz mi.

Samochód brał właśnie zakręt z piskiem opon, protestujących przeciwko szybkości.

— Na Boga, odpowiedz! O co wam chodzi? Nacisnęła mocniej pedał przyspieszenia.

— Nigdy nie miałaś siostry bliźniaczki, prawda? To było kłamstwo, wymyślone do waszej gry.

— Chciałeś wyjechać przed zakończeniem dochodzenia — odezwała się Christina.

— Czy ty w ogóle słyszałaś, co powiedziałem? Chociaż jedno słowo? Nigdy nie miałaś siostry, która umarła w dzieciństwie. Nigdy! Ale głęboko wierzę w jedno; że wśród Mariellów jest ktoś psychicznie chory — przytrzymał się siedzenia, kiedy samochód pokonywał następny ostry zakręt. — Mam na myśli ciebie, Christina.

Miała zacięty wyraz twarzy. Patrzyła prosto przed siebie. Jej profil, z wyjątkiem czoła, które skrywał cień, wydawał mu się czysty i piękny w świetle księżyca wpadającym przez przednią szybę samochodu.

Zniechęcony jej brakiem odpowiedzi, Ash sięgnął do kieszeni po papierosy i zapalniczkę. Zmusił się do bladego uśmiechu.

— Powinienem wpaść na to wcześniej. Po całej tej gadaninie o Mariellach, o tym, jak od pokoleń rodzina strzegła swojej prywatności. Szaleństwo nie jest tym, czym wypadałoby się chwalić, a cóż dopiero dyskutować o tym?

Zapalił zapalniczkę i zauważył, że Christina drgnęła na widok ognia. Jej nerwowość wywołała na jego twarzy grymas satysfakcji. Nie zgasił zapalniczki.

— Czy Robert, Simon i ciotka Tessa zawsze cię osłaniali? Zbliżył płomień zapalniczki do jej twarzy, może po to, żeby ją lepiej widzieć, a może, by ją rozdrażnić.

Samochód zwolnił, skręcając w węższą drogę i mijając budkę telefoniczną, z której Ash usiłował wcześniej skorzystać.

Christina odsunęła się od niego, lecz nadał patrzyła przed siebie, znowu dodając gazu. Jednak od czasu do czasu zerknęła w stronę płomienia zapalniczki, jak gdyby w dziwny sposób fascynował ją. Ash, świadom swojego okrucieństwa, odczuwał sadystyczną przyjemność, widząc, że dziewczyna czuje się nieswojo. Niech to będzie choć skromny rewanż za koszmar, który ona i jej rodzinka zafundowali mu, pomyślał.

— Nie wiem, jak tego dokonaliście, w jaki sposób udało wam się stworzyć wrażenie pożaru w piwnicy... albo skąd wzięła się ta dziewczyna... ta w stawie. Ale przecież wy wszyscy jesteście niesłychanie inteligentni, sprytni, prawda?

Przysunął zapaloną zapalniczkę jeszcze bliżej jej policzka. Christina raptownie odsunęła głowę i samochód niebezpiecznie skręcił. Złapał ją za nadgarstek, przy samej kierownicy, obawiając się, że dziewczyna spowoduje wypadek. Jej ciało wydało mu się dziwne w dotyku. Spojrzył na jej rękę i nie zapalony papieros wypadł

mu z ust. Jej zaciśnięte kurczowo na kierownicy palce były poczerniałymi kośćmi, na których trzymały się jedynie strzępy skóry.

Christina powoli odsunęła głowę od szyby samochodu. Zauważył, że uśmiecha się i obraca ku niemu twarz, którą dopiero teraz zobaczył w pełni księżycowej poświaty. Krzyknął z przerażenia.

Jej twarz była częściowo zwęglona i obumarła. Skóra oraz mięśnie wokół prawego oczodołu zgniły i gałka oczna wydawała się przez to nienaturalnie wielka. Jej czaszka po prawej stronie pozbawiona była włosów i błyszcząca. Usta miała po tamtej stronie spalone, odsłaniające zęby, poczerniałe dziąsła zmieniały jej uśmiech w groteskowy grymas.

Ash upuścił zapalniczkę, która momentalnie zgasła. Jednak w świetle księżyca wielkie oko wciąż wpatrywało się w niego.

Rozdział 27

Wolseley jechał zygzakiem wąską drogą, nie zmniejszając szybkości. Gałęzie mijanego żywopłotu uderzały w okno samochodu od strony, gdzie siedział Ash. Jednak Christina — a raczej zjawą, która zajęła jej miejsce — nadal trzymała nogę na pedale gazu.

Ash skulił się na siedzeniu, opierając się plecami o drzwi. Dziewczyna znowu była odwrócona do niego profilem i widział jej słodki półuśmiech. Ale w jego umyśle utrwaliła się potworna wizja jej zdeformowanej twarzy.

Wkrótce pojawiły się przed nimi kolumny i brama wjazdowa do Edbrook. Samochód wjechał na podjazd, prawie nie tracąc szybkości podczas skrętu. Ash uderzył głową o przednią szybę, która pękła. Jednak prawie nie odczuł bólu. Ciemna bryła domu rosła w oczach.

Otworzył usta — nie wiadomo, czy po to, by krzyknąć, czy żeby zaprotestować, nie zdołał bowiem wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Pędzili zwirową aleją, mijając po obu stronach drzewa i krzewy ogrodu.

Wolseley zatrzymał się pod domem z piskiem opon, rozpryskując żwir. Ash prawie wpadł pod siedzenie. Okręcił się i sięgnął do klamki, nie patrząc w kierunku siedzącego za kierownicą potwora, chcąc jak najprędzej uwolnić się od jego nieznośnej bliskości. Jęknął, gdy w końcu udało mu się namacać klamkę.

Prawie wypadł na zewnątrz, ledwie drzwi się otworzyły. Rzucił się do ucieczki. Zdjęty trwogą, nie zauważył nawet drugiego samochodu, zaparkowanego pod drzewem z drugiej strony podjazdu. Wydawało mu się, że słyszy za plecami świszczący oddech prześladowającej go zjawy i jej śmiech.

Wbiegł po schodach, potykając się na ostatnim z nich i przewracając na kolana. Chwyciwszy za klamkę, podciągnął się, waląc otwartą dłonią w drzwi.

Będąc już na nogach, obejrzał się za siebie, w stronę samochodu. Drzwi od strony kierowcy właśnie otwierały się. Znowu dobiegł go stłumiony śmiech.

Ash zaczął walić w drzwi obiema pięściami, nie zwracając uwagi na ból i usiłując krzyczeć, choć gardło ścisnął mu paniczny strach.

Kątem oka dostrzegł, że Christina wysiada z samochodu. Jego pierś gwałtownie wznosiła się i opadała w spazmach przerażenia. Chciał rzucić się do dalszej ucieczki,

lecz nagle poczuł, że ogarnia go dziwna słabość. Uderzenia w drzwi stały się coraz słabsze i czuł, że tajemnicza niemoc zaczyna brać górę. Nawet nie spojrzawszy za siebie, wiedział, że zjawa weszła już na pierwszy stopień. Nadal nie potrafił wydobyć z siebie krzyku przerażenia. Usłyszał chrzęst żwiru pod butami.

Niemal stracił równowagę, kiedy nagle drzwi otworzyły się do środka.

W wyrazie twarzy ciotki Tessy nie było nic zachęcającego. Skrzywiła się i otworzyła usta, aby przemówić. Lecz on już minął ją i wpadł do hallu, zanim zdążyła wydobyć z siebie głos. Zatrzasnęła za nim drzwi i patrzyła na niego z grymasem zdziwienia na twarzy, zapominając, co właściwie chciała powiedzieć.

Drżąc na całym ciele, Ash przekręcił klucz w zamku, nie będąc jednak pewien, na ile zabieg ten będzie skuteczny. Nachylił się, żeby jeszcze zatrzasnąć zasuwę, po czym zrobił to samo z drugą, u góry. Oparł się plecami o drzwi, jakby chcąc dodatkowo je zatarasować.

Jęknął głośno, kiedy zauważył, jak bardzo zmienił się Edbrook.

Światła były jeszcze słabsze niż poprzednio, tak jakby i one były częścią większego procesu rozpadu, lecz na tyle silne, aby ukazać brud na ścianach i suficie, pokryte kurzem pajęczyny, liszaje wilgotnego grzyba w kątach oraz ciemne pęknięcia w boazerii, nad którą luźno zwisały płyty złuszczonej tapety, na podłodze zaś wały się odpadłe od sufitu kawałki tynku. Powietrze wypełniał przykry zapach stęchlizny.

Robert i Simon Mariellowie obserwowali go ze szczytu schodów.

Wreszcie zdołał wydobyć z siebie głos:

— Na Boga, Christina!

Obaj bracia uśmiechali się.

Nagle rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Ash okręcił się na pięcie i odsunął od wejścia.

Pukanie ustało. Krzyknął z chwilą, gdy drzwi zadrżały pod wpływem potężnych ciosów i zatrzeszczały w zawiasach. Z rosnącym przerażeniem patrzył, jak wyginają się pod silnym naporem, a na ich powierzchni pojawiają się rysy i pęknięcia. Ash zaczął powoli wycofywać się w głąb hallu. Wpatrzony w drzwi, które pękały z coraz głośniejszym trzaskiem.

Nagle napór ustąpił i zapadła cisza przzerwana słowami Roberta:

— Proszę, otwórz drzwi, ciociu.

Ku przerażeniu Asha ciotka Tessa podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku.

— Nie, nie wpuszczajcie jej! — błagał.

Ciotka zawahała się. Spojrzała na Asha niepewnym wzrokiem, potem na siostrzeńca. Tamten, wciąż uśmiechając się dobrotliwie, skinął lekko głową. Ciotka sięgnęła do zasuw. Zręcznym ruchem otworzyła jedno skrzydło drzwi. Na zewnątrz stał ktoś w mroku.

Ash poczuł, jakby nagle spłynęło z niego całe wewnętrzne ciepło. Poczuł nagle przyływ ocieężałości i przenikliwego zimna. Kiedy rzucił się do ucieczki, biegł niezdarnie i potykał się co chwilę. Schody wydawały mu się przeszkoda nie do pokonania, a jednak ruszył do góry.

Robert wciąż się uśmiechał, kiedy Ash odepchnął go na bok. Simon stał obok z

rękami w kieszeniach i z nonszalanckim grymasem drwiny na twarzy. Wszechogarniający strach pozwolił mu częściowo pokonać ociężałość i podciągał się w górę, czepiając się rękoma balustrady. Przewrócił się na ostatnim stopniu, lecz podniósł się natychmiast i ruszył korytarzem. Po chwili dopadł drzwi swojej sypialni.

Były otwarte. Wślizgnął się do środka i natychmiast zamknął je za sobą. Oparł zlaną potem głowę o drzwi i próbował uspokoić przyspieszony oddech, by móc lepiej nadłuchiwać odgłosów z zewnątrz. Był pewien, że zdoła usłyszeć zbliżające się kroki.

Na moment zamknął oczy, jak gdyby odmawiał w myślach błagalną modlitwę.

Oderwał się od drzwi i zabrał się do barykadowania ich ciężką komodą, która stała opodal. Najpierw złapał za jeden bok i przesunął go nieco, potem za drugi i tym sposobem powoli przystawił masywny mebel do drzwi, tworząc w ten sposób barykadę, która, jak sądził, nie pozwoli nikomu z zewnątrz sforsować wejścia. Zapalił światło. Żarówka początkowo zamrugała, by po chwili rozjarzyć się słabym światłem.

Cofnął się w głąb pokoju, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z drzwi.

Wkrótce rozległo się znajome pukanie.

Usłyszał wypowiedziane szeptem swoje imię.

— Zostawcie mnie w spokoju! — krzyknął histerycznie. — Zostawcie mnie!

Jego krzyk stał się płaczący i przekształcił się w bezradny jęk. Opadł na fotel stojący naprzeciwko drzwi.

— Zostawcie mnie...

Szept urwał się.

Rozdział 28

W domu nazywanym Edbrook panowała martwa cisza. Nie słychać było odgłosów kroków, ani w mrocznych korytarzach, ani w zakurzonych pokojach. Jedynie robactwo toczyło spróchniałe meble, a na ścianach leniwie poruszały się pająki, uśpione późną porą roku. Kamienne ściany budynku strzegły spokoju. Przez okno zaglądał bezbarwny świt.

W pokoju na piętrze mężczyzna spał niespokojnie w fotelu stojącym naprzeciw zabarykadowanych drzwi.

Dawid Ash wciąż miał na sobie pognieciony płaszcz z kołnierzem postawionym wysoko i otulającym szyję. Nie ogolona szczeka opadła mu na pierś. W słabym świetle poranka jego twarz miała niezdrowy, ziemisty kolor. Znać było na niej wyczerpanie i niepokój spowodowany trapiącym go sennym koszmarem, w którym...

... chłopiec budzi się słysząc szept. — Dawid...

Wychodzi z sypialni, czując hipnotyzujące działanie łagodnego głosu. Schodzi po schodach do pokoju zalanego łuną płonących świec. Pod ścianą stoi trumna.

Chłopiec zbliża się do niej z rozszerzonymi ze strachu oczyma. Zagląda do wymoszczonego jedwabiem wnętrza.

Dziewczyna, która tam leży, nic jest jego siostrą.

Jest starsza i wygląda pięknie.

Otwiera oczy.

Uśmiecha się. Uśmiech zamienia się w koszmarny grymas.

Christina wyciąga ramiona, jak gdyby chciała go objąć.

Szepcze: — Dawid...

Ash obudził się ze zduszonym okrzykiem. Drgnął, przy czym przewrócił nogą stojącą na podłodze pustą butelkę po wódce. Rozejrzał się wokół, jakby nie poznawał otoczenia. Blask sączący się przez okno mieszał się z bladym światłem żarówki, tworząc dziwne i nienaturalne cienie. Zamrugnął oczami, żeby złagodzić dokuczliwe szczypanie oczu pod spuchniętymi powiekami. Przełknął ślinę. Czuł nieznośną suchość w gardle. Przeczesał palcami zmierzwiłone włosy.

Zamarł w bezruchu, kiedy przypomniał sobie sen i jęknął cicho, kiedy zobaczył pod drzwiami komodę i zdał sobie sprawę, skąd się tam wzięła.

Ash wstrzymał oddech i nadśluchiwał nerwowo przez chwile, zaciskając drżące dłonie na oparciach fotela. Panowała kompletna cisza. W dziwny sposób odczuwał próżnię wypełniającą dom, tak jakby Edbrook również wstrzymał oddech.

Podniósł się i zbliżył do wzniesionej przez siebie barykady. Oparł łokcie o komodę i dalej nadśluchiwał, czekając na najmniejszy ślad czyjejś obecności i starając się wyłowić nawet najcichszy dźwięk. Jednak nic takiego nie usłyszał.

Niepewnym krokiem podszedł do okna, czując, że powoli odzyskuje koordynację ruchów i pełną sprawność zmysłów.

Popatrzył na ogród. Mżył drobny deszcz i stojące tam posągi otoczone były delikatną mgiełką, która deformowała ich klasyczne kształty.

Otępienie z wolna ustępowało i Ash nagle podjął decyzję.

Wyjąwszy z szafy torbę, zaczął upychać w niej ubrania i inne osobiste drobiazgi, nie zwracając uwagi na porządek. Wrzucił do środka notes leżący na sekretarzyku, po czym zaciągnął zamek błyskawiczny, mrużąc coś pod nosem, kiedy zamek zaciął się w połowie drogi. Jednak nie zadał sobie trudu, żeby zamknąć torbę do końca. Stał na palcach, żeby sięgnąć po leżącą na szafie walizkę, i rzucił ją na łóżko. Przez chwilę patrzył na nią, zdając sobie nagle sprawę, że będzie musiał wydostać swoje urządzenia z różnych części domu.

Ash ponownie zerknął w kierunku drzwi.

Ostrożnie podszedł do komody, ujął ją za boczne krawędzie i zbierając wszystkie siły, odsunął na bok. Zmęczony wysiłkiem, podparł się łokciami o blat mebla i nerwowo zerkał na klucz w zamku drzwi. Zmusił się, żeby go przekręcić. A potem znowu musiał pokonać wewnętrzny opór, by otworzyć drzwi.

Na zewnątrz stała ciotka Tessa.

— Jezu... — wyszeptał z przerażeniem.

Weszła do środka. Odniosł wrażenie, jakby jej twarz postarzała się gwałtownie, była bowiem zmęczona i poorana głębokimi bruzdami zmarszczek. Skórę miała pobladłą, tak jakby trawiła ją jakaś długotrwała choroba.

Przemówiła cicho, jakby obawiała się, że ktoś może ich podsłuchać. W tonie jej głosu znać było zdenerwowanie.

— Musi pan natychmiast wyjechać. Natychmiast, panie Ash.

— Gdzie oni są? — zapytał także ścisząc głos.

— To nie ma znaczenia — jej słowa zabrzmiały jak reprimenda. — Proszę o nic nie pytać, tylko opuścić ten dom. To wszystko przestało już być zabawą. Przekształciło się w coś więcej. Stało się coś, co wszystko zmieniło. Oni są źli na pana, panie Ash. Bardzo źli.

Wyrzała na korytarz, aby upewnić się, że nie ma tam nikogo. Nachyliła się ku niemu i szepnęła konspiracyjnym szeptem:

— Rano jest pociąg do Londynu, który zatrzymuje się we wsi, aby zabrać pocztę. Jeszcze ma pan dość czasu, żeby go złapać, jeśli się pan pośpieszy.

Ash nie potrzebował dodatkowej zachęty. Podszedł do łóżka i sięgnął po torbę. Zauważył pustą walizkę. Odwrócił się. Postanowił zostawić ją tam. W dziwny sposób poczuł, że przestało mu zależeć na aparaturze koniecznej do wykonywania zawodu.

Wziął torbę i odwrócił się w kierunku wyjścia. Zatrzymał się, kiedy zorientował się, że starsza kobieta zniknęła. Wyszedł i zamarł z przerażenia.

Z końca korytarza obserwował go pies. Wyglądał niezwykle groźnie.

Ash powoli i ostrożnie ruszył wzdłuż korytarza, obawiając się, że każdy gwałtowniejszy ruch może spowodować atak ze strony zwierzęcia. Pies zawarczał głucho. Ash miał nadzieję, że uda mu się wycofać ku schodom bez objawów paniki, lecz Tropiciel poderwał się na nogi i zaczął powoli podkładać się w jego kierunku.

Ash zacisnął palce na uchwycie torby. Gdyby zwierzę ruszyło do ataku, mógłby cisnąć torbę w jego potężną szczękę lub użyć jej jako tarczy. Ale co później? Jak długo mógł liczyć na to, że utrzyma go w bezpiecznej odległości? Gdyby wrócił do sypialni, znalazłby się w potrzasku. Może należałoby spróbować zawołać ciotkę. Może ona potrafiłaby okiełznać zwierzę. Ale dlaczego nie zaczekała? A może to było częścią planu, wywabić go z pokoju i pozostawić na łasce tej bestii? Chryste, czy oni wszyscy powariowali w tym domu?

Tropiciel trzymał się w stałej odległości od swojej ofiary. W mroku korytarza Ash widział jedynie jego świecące oczy. Zwierzę wtuliło głowę w masywne ramiona i w ciemności wyglądało jak potężna, bezkształtna masa.

Nie odwracając wzroku od posuwającej się w ślad za nim bestii, Ash wiedział, że zbliża się do galerii, gdzie znajdują się schody wiodące do hallu. Gdyby spojrzął za siebie, zobaczyłby, że ktoś wchodzi po schodach. Dopiero gdy usłyszał za plecami świszczący śmiech, obejrzał się.

U szczytu schodów stał Simon. Jednak nie był to ten sam Simon.

Nawet w słabym świetle Ash dostrzegł, że twarz i ręce brata Christiny są śmiertelnie blade. Skórę miał zwiędłą, pofałdowaną i pełną plam, jak gdyby jego ciało toczyła zgnilizna. Na szyi zaś, na wysokości kołnierzyka koszuli znajdowały się potężne i nabrziałe czerwone szramy, wyraźnie odcinające się od reszty bladej skóry. Głowę miał groteskowo przekrzywioną na jedną stronę.

Pomimo koszmarnego wyglądu, Simon uśmiechał się dobrotliwie.

Przerażony, Ash cisnął torbą w postać stojącą na szczycie schodów, a nagły ruch sprowokował psa do ataku. Ash usłyszał przyspieszony tupot łap zwierzęcia i jego skowyt. Nie tracąc czasu, prześlizgnął się ponad balustradą schodów, lecz zachwiał

się i w ostatniej chwili złapał za poręcz. Trzymał się kurczowo i bezradnie wymachiwał w powietrzu nogami do chwili, gdy ponad głową ujrzał obnażone kły Tropicielea. Uścisk rąk na balustradzie zelżał i Ash poleciał w dół. Upadł ciężko na podłogę i krzyknął z bólu, złapał się za kostkę.

Leżał na plecach, starając się odzyskać oddech. Kiedy ostry ból nieco zelżał, Ash zorientował się, że hall zaczyna wypełniać się kłębam dymu. Usłyszał w oddali trzask płomieni i poczuł — choć tego nie mógł być zupełnie pewien — gorąco na twarzy.

A teraz do jego uszu dotarły odgłosy ciężkich kroków na schodach.

Ash podniósł się na klęczki, po czym z wysiłkiem stanął na nogach, czując wciąż piekący ból skręconej kostki. Zobaczył Tropicielea, który zbiegł już ze schodów, poślizgnął się właśnie na brudnej podłodze, lecz zaraz odzyskał dawny impet i ruszył w stronę swojej ofiary.

Ash zachwiał się i odskoczył, zdając sobie sprawę, że jego jedynym ratunkiem jest ukrycie się za jakąś barierą. Drzwi kuchenne były za daleko. Nie zdążyłby do nich dobiec. Otworzył najbliższe drzwi — drzwi do piwnicy.

Oślepiająca ściana ognia odrzuciła go do tyłu. Podniósł ramiona, żeby zasłonić twarz przed płomieniami.

Jednak udało mu się jeszcze dostrzec jakiś ruch na piwnicznych schodach. Ktoś powoli wchodził na górę, jak gdyby nie zwracając uwagi na płomień i gorączkę. Ash spojrział jeszcze raz w tamtym kierunku, nie powierzając własnym oczom.

Postać tę, która dotarła już prawie do wyjścia z piwnicy, trawiły skwierczące płomienie. Niemniej Ashowi wydawało się, że rozpoznaje jej potwornie zdeformowane przez żywioł oblicze.

Ludzka pochodnią wyłaniającą się właśnie z piwnicy był Robert Mariell.

Rozdział 29

Tropiciele stanął w miejscu. W jego oczach tańczyły dwa ogniki — odbity obraz trawionego płomieniami mężczyzny. Pies skulił się i zaczął drżeć na całym ciele, a z jego pyska dobiegł żalostny skowyt.

Ash nie czekał dłużej. Odskoczył od płonącej piwnicy i człowieka — pochodni.

Pies otrząsnął się i chyba zrozumiał, że jego ofiara próbuje się wymknąć. Powoli, ze zwieszoną głową okrążył płonąca postać, po czym podjął przerwany pościg.

Ash zatrzymał się tylko na moment, złapał stojące obok krzesło i cisnął je w kierunku zwierzęcia. Pocisk odbił się od podłogi tuż przed pyskiem Tropicielea i powstrzymał go na chwilę. Simon Mariell stał teraz w hallu u stóp schodów. groteskowo oświetlony przez płonąca postać starszego brata, i śmiał się chrapliwie przez ściśnięte wisielczym sznurem gardło. Ash wpadł do kuchni i okręcił się na pięcie, żeby zatrzaskać za sobą drzwi. Były już prawie zamknięte, kiedy w szparze ukazały się szczeki Tropicielea, które zacisnęły się na rękawie jego płaszcza.

Usiłował wyszarpnąć ramię, cały czas napierając na drzwi, w których uwięziony został pysk zwierzęcia. Ash krzyknął, kiedy wreszcie udało mu się wydrzeć ramię, a pies wycofał się do hallu, trzymając w zębach strzęp materiału. Ash zatrzaskał drzwi i oparł się o nie. Tropiciele rzucił się na przeszkodę z wielką siłą, aż zatrzęszczało drewno. Potem Ash usłyszał odgłos szaleńczego drapania pazurów.

Ash przebiegł przez brudną i zaśmieconą kuchnię, czując kłujący ból kostki przy każdym kroku. Dotarł do drzwi wiodących do ogrodu i otworzył je.

Uderzyła go fala zimnego, porannego powietrza, jakby na powitanie wolności. Utykając, Ash wybiegł na taras, ciesząc się drobnymi kroplami deszczu na twarzy i oczyszczając płuca z zatęchłego powietrza Edbrook. Wyzwolił się wreszcie i dzięki temu poczuł gwałtowny przyływ energii. Miał ochotę krzyknąć z ulgi.

Dopiero gdy dotarł do krawędzi tarasu, odważył się spojrzeć za siebie. W deszczu kamienne mury i okna domu wydawały się jeszcze ciemniejsze niż w rzeczywistości. Cokolwiek by o nim powiedzieć, to jednak był to tylko dom; wytwór ludzkich rąk z cegieł, drewna i szkła. Budynek był stary i zniszczony, lecz wydawał się mu groźny jedynie dlatego, że wiedział, jakie kryje w sobie potworności. Otarł z oczu krople deszczu. Wszystko, czego doświadczył, było niesamowite i nieprawdopodobne, a przecież nie wyśnił tego.

Jednakże koszmar trwał dalej, nagle bowiem Ash usłyszał brzęk roztrzaskującej się szyby w jednym z okien na parterze i ujrzał cielsko Tropicielea wyskakującego na taras.

Zerwał się do dalszej ucieczki. Zbiegł kamiennymi schodami do ogrodu i popędził wykładaną kamieniami ścieżką, zdając sobie sprawę, że nie ma szans umknąć szarżującemu psu. Obejrzał się przez ramię. Tropiciel dotarł już do krawędzi tarasu i zaczął niespiesznie schodzić po schodach, jakby wiedział, że ofiara nie może już umknąć. Z pyska ciekła mu ślina, a sierść miał mokrą i błyszczącą od deszczu. Pies biegł ku niemu z nisko opuszczonym łbem. Słyszał jego złowrogie warczenie.

Ash postanowił stawie mu czoło, wiedząc, że nie ma innego wyjścia. Był niemal pewien, że bestia okaleczy go, jednak nie wiedział, czy jest na tyle rozwścieczona i silna, aby go zabić. Poczł fale gorąca, której nie potrafił ochłodzić nawet padający deszcz.

Tropiciel był zaledwie o parę metrów od niego. Ash lekko skulił się i sprężył, przygotowując na atak zwierzęcia. Bał się, lecz jednocześnie był zły na siebie, że tak bardzo przeraża go ten pies. Wykrzyknął wulgarnie przekleństwo, które miało chyba za zadanie zagrzać go do walki. Cofając się, dotknął nogą czegoś twardego. Napotkał barierę; niski murek okalający wodę mętnego i cuchnącego stawu. Tropiciel napiął mięśnie, szykując się do ataku.

Za plecami Asha wybuchła fontanna wody. Obrócił się, zapominając o psie. To, co zobaczył, sprawiło, że osunął się na kolana.

Resztki jej mokrych włosów opadały na ramiona w beładnych strąkach. Długa, nocna koszula była poszarpana i uwalana szlamem ze stawu. Jej ciało oplatały wodorosty w taki sposób, jakby obrosły ją podczas gdy uśpiona spoczywała w stawie.

Tropiciel zawył i skulił się na ścieżce.

Dłonie, z których jedna była tylko poczeriałym kikutem, zaciskały się na krawędzi muru. Uśmiechała się szyderczo do Asha. Prawie połowa jej ciała była wypalona przez ogień i zwęglona. Tak jak poprzedniego wieczoru, jedno ogromne oko wpatrywało się prosto w niego.

Wyrzebała się ze stawu i ociekała wodą, która tworzyła kałuże pod okaleczonymi stopami. Ujrawszy potworną zjawę, Ash skulił się i niemal przewrócił. Teraz stała nad nim, wyciągając ku niemu zdeformowane ramiona oplecione wodorostami.

Ash cofnął się na palcach, podpierając rękami w obronie przed odrażającym widokiem. Toczone zgnilizną usta poruszyły się i wydobyły się z nich chrapliwe dźwięki, które być może miały uformować jego imię.

Krzyknęła przeraźliwie, kiedy nagle jej poczerniały bok stanął w płomieniach.

Ash bliski był omdlenia na skutek szoku. Kierowany bardziej instynktem niż świadomością, powstał i rzucił się do panicznej ucieczki. Rozpaczliwy krzyk prześladował go jeszcze długo, docierając bezpośrednio do jego mózgu. W miarę jak oddalał się, jej krzyk zmieszał się z chrapliwym, szyderczym śmiechem.

Pośliznął się na mokrej trawie, czując ból we wszystkich częściach zmaltretowanego ciała. Podniósł się i, zapominając o bólu, popędził przez zaniedbane kwiatowe rabaty, między krzewami, w stronę drzew, licząc na to, że wśród nich znajdzie schronienie. Potworne wrzaski i śmiech ucichły nieco, lecz nadal go nie opuszczały.

Deszcz wzmagał się, czyniąc jego ucieczkę jeszcze bardziej ryzykowną. Wyciągnął przed siebie ramiona, by odgarniać zagradzające mu drogę gałęzie — był już w lesie. Dzięki nim omijał drzewa, ponieważ deszcz i łzy zalewały mu oczy. Był

pewien, że w lesie prócz niego są jeszcze inni, słyszał bowiem czyjeś szept i śmiechy. Od czasu do czasu wydawało mu się, że widzi, jak biegają przez las, dotrzymując mu kroku i od czasu do czasu chowając się za drzewami.

Nie miał pojęcia, w jakim kierunku zmierza, jednak wiedział, że oddala się od Edbrook. Wierzył, że niedługo dotrze do jakiejś drogi i stamtąd będzie mógł wydostać się do wioski — z powrotem do normalnego świata. Skręcił w lewo, by ominąć kępę gęstych krzewów. Jakiś trudny do określenia cień pod drzewem spowodował, że skręcił w prawo. Szyderczy śmiech za plecami kazał mu przyspieszyć biegu.

Wkrótce dotarł do polany, która wydawała mu się znajoma. Potknął się i ciężko upadł na ziemię. Podparł się na kolanach i dłoniach. Deszcz bębnił mu po plecach. Natychmiast przypomniał sobie to miejsce. Przed nim, jakby wyrósł spod ziemi, stał rodzinny grobowiec Mariellów.

Głęboko oddychał wilgotnym powietrzem, a jego ramiona gwałtownie unosiły się i opadały. Deszcz siekł zaciekle i obmywał szare płyty mauzoleum z brudu, błota i mchu. Na oczach Asha deszcz usuwał warstwę brudu z inskrypcji wygrawerowanej na ścianie grobowca. Odczytał wyłaniające się napisy:

THOMAS EDWARD MARIELL

1896 — 1938

ISOBEL ELOISE MARIELL

1902 — 1938

Ash zamrugał oczyma, kiedy deszcz zaczął coraz bardziej wymywać brud z wgłębień grawerowanego napisu. Poruszał niemo ustami jak dziecko, odczytując pozostałe napisy i poczuł, jak oblewa go zimny pot i nowa fala koszmaru:

ORAZ ICH UKOCHANE DZIECI

ROBERT

1919 — 1949

SIMON

1923 — 1949

CHRISTINA 1929 — 1949

Ostatnia data — rok śmierci — utrwaliła się w jego umyśle jak na fotograficznym powiększeniu.

1949

Z mrocznego wnętrza grobowca dobiegł go dziecięcy śmiech, który rozbrzmiewał głuchym echem.

Zobaczył, że brama grobowca jest szeroko otwarta. Usłyszał jeszcze inny dźwięk; jakby tarcie kamienia o kamień. W ciemnym grobowcu coś się poruszyło. Kamienna pokrywa jednego z sarkofagów grobu zaczęła się odsuwać. Po niej następna, tak jakby ktoś popychał ją od wewnątrz.

I znów rozległ się chichot dziecka.

Rozdział 30

Pędził przez las, przewracał się, podnosił, lecz nie przystawał ani na chwilę. Gałęzie drzew bezlitośnie chłostały go po twarzy i rękach, szarpały ubranie. Jego ucieczce wtórował gwar szalonych ptasich głosów. Ash nic obejrzał się ani razu, obawiając się tego, co mógłby zobaczyć. Rozgarniał gałęzie krzewów, przełaził przez powalone pnie drzew, prac wciąż do przodu przez leśną gęstwinę, aż wreszcie dotarł do drogi i odetchnął z ulgą.

Przez chwilę stał, sapiąc ciężko i nadsluchując odgłosów pogoni. Jednak nie dotarł do niego żaden niepokojący dźwięk. Ktokolwiek był w grobowcu, nie dotarł za nim aż tutaj. Niemniej ruszył dalej lekkim truchtem, utykając i czując nieznośne drapanie w gardle. Ulewny deszcz znowu zamienił się w mżawkę, a nawet zaczęło się nieco przejaśniać.

Ash usłyszał jadący drogą samochód dopiero, kiedy ten był w odległości jakichś stu metrów za nim. Najpierw dotarł do niego odgłos pracy silnika i łamanych pod kołami samochodu gałęzi. Wtedy obejrzał się przez ramię i ujrzał światła reflektorów, słabo przeświecające przez ścianę deszczu. Próbował zwiększyć tempo biegu, ale na próżno — nogi odmawiały mu posłuszeństwa i słaniał się ze zmęczenia.

Światła samochodu odbijały się od mokrej nawierzchni drogi. Ash biegł dalej, czując, że ogarnia go bezsilna rozpacz.

Wolseley zrównał się z nim i musiał uważać, żeby nie wpaść pod koła. Okno po stronie kierowcy było otwarte i wysunęła się przez nie ręka. Ciotka Tessa zawołała:

— Panie Ash, Proszę wsiąść. Jest pan wyczerpany. Nie zdąży pan na pociąg.

Zatrzymał się, jednak nie potrafił utrzymać się w miejscu i zataczał się jak pijany. Dusił się i z ledwością łapał oddech. W końcu zdołał wykrztusić histerycznym tonem:

— Czego... czego pani ode mnie chce?

Miała zatroskany wyraz twarzy, a w jej oczach zauważył współczucie.

— Chcę panu pomóc — powiedziała. — Proszę wsiąść i pozwolić mi zawieźć się na stację. To pańska jedyna szansa.

Ash wiedział, że ona ma rację. Był zbyt zmęczony, żeby dotrzeć tam o własnych siłach. Byłby się osunął na ziemię, gdyby nie podparł się rękoma o maskę samochodu.

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego — odezwał się błagalnie. — Dlaczego oni mi to zrobili?

Wskazała ręką drzwi samochodu.

— Proszę wsiąść, panie Ash, zanim pan upadnie.

Wciąż podpierając się, obszedł samochód dookoła i ciężko opadł na siedzenie. Zrozumiał, że nie ma wyboru i musi jej zaufać.

Samochód ruszył i powoli nabierał szybkości. Ash wciąż oddychał ciężko, przypatrując się podejrzliwie starszej kobiecie. Ciotka Tessa również zmieniła się, lecz nie w taki sam sposób jak jej siostrzeńcy i siostrzenica. Twarz miała zmizerowaną, a włosy w nieładzie. Jej zmarszczki nie tylko pogłębiły się, ale przybyło ich od ostatniego razu, kiedy ją widział.

— Nie mieli prawa robić tego panu — odezwała się płaczącym tonem. Ostrzegałam ich, żeby tego nie robili. Błagałam.

— Nic z tego nie rozumiem — powiedział, wzdychając głęboko.

Spojrzała na niego marszcząc brwi, jakby dopiero teraz zobaczyła, w jakim jest stanie.

— Właśnie o to im chodziło, żeby wprowadzić pana w błąd i przez to jeszcze bardziej przerazić.

— Dlaczego chcieli mnie przestraszyć? — rzucił. — Co ja im takiego zrobiłem?

Wycieraczki zgarniały ostatnie krople deszczu z przedniej szyby samochodu.

— Chcieli udowodnić, że pan się myli. Że te pańskie wszystkie teorie są nic niewarte, podważyć pańską niewiarę w życie po śmierci. Chcieli, żeby pan zrozumiał... chcieli pana ukarać...

Patrzył na nią, nie rozumiejąc ani słowa.

— Nie było żadnej siostry bliźniaczki, panie Ash — powiedziała cicho.

Prychnął z odrazą.

— Wiedziałem o tym. To Christina jest schizofreniczką, prawda?

— Jest? Czy pan nadal nic nie rozumie? Po tym wszystkim, co się zdarzyło?

Popatrzyła na niego, lecz Ash odwrócił wzrok.

— To było tak, jakby w jej ciele zagnieździły się dwie dusze; jedna normalna, słodka i kochająca, druga zaś szalona, krnąbrna i złośliwa. Staraliśmy się ukrywać tę drugą stronę jej natury przed obcymi.

Jej upstrzone brązowymi plamami ręce zacisnęły się mocniej na kierownicy.

— Po śmierci Isobel i Thomasa tylko chłopcy i ja mogliśmy ochraniać Christinę i kontrolować jej zachowanie. Staraliśmy się, jak tylko potrafiliśmy. Ale serca nam się kroily, kiedy musieliśmy ją zamykać dla zapewnienia bezpieczeństwa jej i sobie samym.

Zwolniła, kiedy samochód zbliżył się do skrzyżowania.

Ashowi przyszła do głowy myśl, żeby pobiec do telefonu, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to nie ma sensu. Łatwiej było dotrzeć do stacji, wsiąść wreszcie do pociągu i opuścić to koszmarnie miejsce najszybciej, jak to tylko możliwe. Samochód wyjechał

na szerszą drogę, wiodącą do wioski i znowu nabierał szybkości. Wycieraczki szorowały głośno po suchej szybie, ale ciotka Tessa zdawała się tego nie dostrzegać. Ciągnęła dalej swą opowieść z nutą smutku w głosie. Ash, wyczerpany i zdruzgotany psychicznie, słuchał dalej.

— To Simon był powodem ostatecznej tragedii. Musi pan wiedzieć, że oni wciąż zachowywali się jak dzieci. Wiele razy ostrzegałam chłopców, żeby uważali na Christinę. Może Simon nie mógł już dłużej znieść jej rozdwojonej osobowości — w jednej chwili była świetnym partnerem do zabawy, a po chwili gryzła, kopała i stawała się niebezpieczna — a może po prostu zaczął się jej bać.

Przerwała, zdawszy sobie sprawę, że wycieraczki przesuwają się po suchej szybie. Ash odetchnął z ulgą, kiedy je wyłączyła.

— Robert miał wrócić z Londynu ze spotkania z doradcami do spraw finansowych i wyjechałam po niego na stację. Wydawało mi się, że... że Simon da sobie radę sam. Może to była tylko jeszcze jedna z rozlicznych zabaw, głupi dowcip.

Umilkła.

— Proszę mi powiedzieć... — delikatnie ponaglił ją. Zebrała się w sobie i ciągnęła dalej:

— Simon zamknął Christinę w piwnicy razem z jej ukochanym psem. Doskonale wiedział, że ona panicznie boi się ciemnej, pozbawionej okien i wilgotnej piwnicy. W jakiś sposób udało jej się rozniecić ogień. Często musiałam obszukiwać ją sprawdzając, czy nic ma przy sobie zapalek. Fascynowały ją płomienie. Często mówiła, że wtedy, gdy gaśnie płomień, to unoszący się ku niebu dym jest jego duszą, która wędruje do nieba.

Ciotka Tessa uśmiechnęła się gorzko na to wspomnienie. Lecz prawie natychmiast na jej twarzy pojawił się znowu melancholijny smutek.

— Może to była rzeczywiście tylko zabawa, a może zrobiła to celowo, aby przstraszyć Simona i skłonić go, aby wypuścił ją z piwnicy. Ale ogień wymknął się spod kontroli i zaczął gwałtownie się rozprzestrzeniać.

Westchnęła i podjęła przerwany wątek:

— Kiedy wraz z Robertem wróciłam ze stacji, piwnica była w płomieniach. Simon siedział przy otwartych drzwiach i szlochając pokazywał ręką ogień. Słyszeliśmy przeraźliwe krzyki Christiny i wycie Tropicielea. Robert wskoczył do piwnicy, nie zważając na gorąco i płomienie...

Koła samochodu najechały na grubą gałąź, która pękła z głośnym trzaskiem. Ash wzdrygnął się. Ciotka jakby wcale tego nie słyszała.

— Po chwili z piwnicy wynurzyły się dwie postacie. Pierwszą była Christina. Jej ubranie płonęło. Jedną stronę jej ciała trawiły płomienie.

Stara kobieta zamknęła oczy wspominając to zdarzenie, a Ash niespokojnie zerknął na drogę przed nimi, po czym z powrotem na nią. Znowu patrzyła przed siebie, panując nad pojazdem.

— Wybiegła tak szybko i minęła nas. Byliśmy zaszokowani widokiem... tej drugiej postaci. Robert był cały w ogniu. Nie... nie wiem nawet, jak zdołał wejść na schody... padł u naszych stóp w agonii... Boże, jak on cierpiał...

Próbowaliśmy go ratować, ugasić płomienie. Ale nie udało się. Był płonąca

pochodnią. Krzyczał... wciąż słyszę nocami jego krzyki. Nawet wtedy, gdy biorę środki nasenne, to słyszę te przerażające krzyki.

— Potem znalazła pani Christine... — zaczął Ash.

— Tak, panie Ash. Wskoczyła do stawu i utonęła. Tak jak już panu mówiłam, musiała być zbyt osłabiona, żeby wydostać się z wody.

Ash opadł ciężko na oparcie siedzenia, zakrywając oczy ręką.

— O, Jezu... — wyszeptał.

— Wtedy mieliśmy jeszcze w domu służbę i jakoś udało im się opanować pożar do czasu przybycia straży pożarnej. Inaczej Edbrook spłonąłby doszczętnie. To mogłoby być błogosławieństwem.

Znowu zobaczył na jej twarzy ten sam, nieobecny uśmiech, który jednak zaraz zniknął.

— Simon nie potrafił się pogodzić z tragedią. Winił siebie za śmierć rodzeństwa. Widzi pan, pomimo że Christina często się z nim droczyła, to jednak czuł się bardzo z nią związany, szczególnie po śmierci rodziców. Simon powiesił się w kilka tygodni później.

Pomimo tego, co przeszedł, Ash popatrzył na starą kobietę z wyrazem niedowierzania. Zastanawiał się, czy Tessa Webb jest przy zdrowych zmysłach.

— To niemożliwe — powiedział — Nic z tego, co pani powiedziała, nie jest prawdą. Przecież widziałem ich, rozmawiałem z nimi. Na Boga. jadłem z nimi. Christina wiozła mnie samochodem!

Ciotka Tessa potrząsała głową.

— Christina... — Ash nie ustępował. — ...dotykałem jej! My... przecież była ze mną! — lecz tu przypomniał sobie lodowaty chłód pościeli w miejscu, w którym leżała.

— Nie rozmawiał pan z żywymi istotami. Byliśmy w domu sami — tylko pan i ja. Choć nie całkiem. Byli z nami Robert, Simon i Christina. lecz nic jako żywi ludzie. Tropiciel też nam towarzyszył — biedaczysko, jest zupełnie zdezorientowany.

— Pani zwariowała — powiedział Ash beznamiętnym tonem.

W jej uśmiechu pojawiło się jeszcze coś innego niż poprzednio.

— Czy czuł się pan wewnętrznie osłabiony, gdy był pan w domu, panie Ash? Czy przy całej pańskiej parapsychologicznej wiedzy nie zdawał, pan sobie sprawy, że ktoś korzysta z pańskiej energii psychicznej? Zrobili z panem to samo, co robią ze mną od wielu lat. Właśnie dzięki tej energii mogą zaistnieć. Nie rozumie pan tego, panie Ash?

Co jakiś czas wracają do Edbrook, karmiąc się moją energią — kochanej ciotki Tessy, strażniczki domowego ogniska, opiekunki dzieci w godzinie życia i śmierci — czyniąc psoty, tak jakby to właśnie one jednoczyły ich dusze. Sądzę, że zabawę, w którą wciągnęli pana, uważają za najlepsze swoje osiągnięcie. Mam nadzieję, modłę się o to, że będzie to ich ostatnia.

Ash odezwał się, lecz jego słowa nie zabrzmiały przekonująco:

— Przecież oni byli naprawdę...

— Tylko w pańskiej wyobraźni. A ludzki umysł to bardzo tajemnicze miejsce,

chyba równie dziwne jak tamten świat, w którym oni przebywają. Wykorzystali pański umysł, dotarli do jego najgłębszych pokładów i robili użytek z pańskich ukrytych myśli.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Ma pan przy sobie ten malutki magnetofon? — zapytała. Pogrążony w myślach, Ash sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął magnetofon.

— Proszę go włączyć, panie Ash — powiedziała i zaskoczył go jej pewny siebie uśmiešek. — Proszę odtworzyć to, co pan nagrał w Edbrook.

Wcisnął przycisk przewijania, czekając, aż taśma przesunie się na początek. Kiedy włączył odtwarzanie, początkowo słychać było tylko cichy szum taśmy, po czym usłyszał swój własny głos:

— Jak zginęli twoi rodzice, Christina? Po tym zdaniu nastąpił syk przesuwanej taśmy i trzaski wyładowań atmosferycznych.

— Byliście dziećmi, kiedy to się stało? — znowu jego głos. Brak odpowiedzi.

Marszcząc brwi, przewinął taśmę jeszcze bardziej, po czym znowu włączył odtwarzanie.

— ...przypominała panu kogoś znajomego... kogo pan znał? — usłyszał swój głos. Pamiętał, że takie pytanie zadawał Simonowi.

Cisza, z wyjątkiem szumu taśmy.

Skonsternowany i przerażony, przewinął taśmę dalej.

— ...twory te mogą zakłócać zjawiska elektryczne — to jego słowa.

Bez odpowiedzi.

I jeszcze raz jego głos:

— Nie. Nadal mówię o niewyjaśnionych zjawiskach. Proszę kontynuować.

Przez chwilę słuchoł szumu przesuwającej się taśmy, po czym ze złością wyłączył urządzenie. Zauważył, że dojeżdżali do wioski. Schował magnetofon do kieszeni.

Dziwnie nieobecny głos zapytał:

— Ale dlaczego? Dlaczego ja?

Westchnęła i Ash zdał sobie sprawę, że ciotka Tessa była teraz całkiem niepodobna do tej, jaką poznał pierwszego dnia po przyjeździe do Edbrook — pełnej rezerwy i oschłej matrony.

— Przymierze dusz — ciągnęła dalej, ostrożnie manewrując samochodem na głównej ulicy wioski. — To była gra, której szczegóły omówili z kimś po tamtej stronie — kimś panu bliskim, panie Ash.

Poczuł dreszcz na karku i falę zimna na plecach. Narodził się w nim nowy, potężniejszy strach. Pragnął za wszelką cenę powrócić do świata normalności i był o krok od niego. Ten świat rozpościerał się za oknami samochodu: domy, sklepy, uliczne napisy, latarnie, znany mu porządek rzeczy, a jednak to, co niezwykłe, wciąż mu towarzyszyło. Głos ciotki Tessy dźwięczał mu głucho w uszach, docierało do niego każde słowo, lecz jakaś jego część nie chciała przyjąć tego, co mówiła. I powoli lęk wkradł się do jego umysłu i pokonał rozsądek.

— Ich gra wzięła się z tego, że pan odrzucał wiarę w jakąkolwiek formę życia pozagrobowego. W ten sposób chronił pan siebie i swoje zdrowie psychiczne. Czyż nie tak? Czy poczucie winy z powodu śmierci siostry nie stało się powodem, dla którego wybudował pan w sobie mur niewiary? — ciągnęła, nie czekając na odpowiedź. — Czy nie obawia się pan wciąż, po tylu latach, że ona wróci i zażąda od pana pokuty za to, co pan uczynił? Każę panu zapłacić za to? Przecież mówiłam, że umysł to takie dziwne miejsce...

Samochód podjechał pod budynek stacji i Ash zobaczył, że na peronie stoi pociąg. Ale nie ruszał się z miejsca, czując zamęt w głowie. Drżał jak w febrze i potrząsał głową, nie przyjmując do wiadomości tego, co przed chwilą usłyszał.

Na twarzy ciotki Tessy też dostrzegł objawy zdenerwowania. Jej oczy lśniły od łez.

— Ale tym razem gra posunęła się za daleko. Usiłowałam mieć nad tym wszystkim kontrolę, ale jak zwykle w końcu uległam. Moja wina jest równa pańskiej. Przyrzekłam Isobel, że zaopiekuję się nimi, lecz pozwoliłam im wszystkim zginąć. Wszystkim. Skąd ja mam spodziewać się przebaczenia?

Oparła czoło na kierownicy samochodu, chowając twarz między ramionami. Szlochała i Ash z trudnością rozumiał jej słowa.

A teraz stało się najgorsze. Ludzie zaczną plotkować na temat Edbrook, źle mówić o Mariellach.

Pomimo że nie opanował jeszcze targających nim uczuć, zdołał wykrzesać z siebie oburzenie.

— Proszę nie sądzić, że będę rozgłaszał to, co mi się zdarzyło w Edbrook. A kto by mi, do diabła, uwierzył?

— Pan nadal nic nie rozumie, prawda? Gra posunęła się za daleko! Ktoś z zewnątrz zaangażował się w nią, ktoś o sercu znacznie słabszym niż pańskie.

Podniosła głowę i na jej twarzy ujrzał lęk i cierpienie. Jej siwe włosy opadały na poorane zmarszczkami policzki. Ciotka Tessa powoli wyprostowała się, obejrzała za siebie, na tylne siedzenie samochodu.

Mimo że bardzo się tego lękał, powiódł za nią wzrokiem.

Z tylnego siedzenia patrzyła na niego Edith Phipps. Lecz jej wzrok był szklisty, a usta szeroko otwarte. Sztuczna szczeka opadła na dolne wargi, groteskowo ośmieszając majestat śmierci. Gdyby martwe ciało mogło wydobyć z siebie głos, Edith krzyczałyby z przerażenia.

Ash wzdrygnął się. Nic czuł strachu, ponieważ nawet on ma swoje granice. Przez tę chwilę, kiedy wpatrywał się w zeszywniałe zwłoki Edith poczuł najgłębszą rozpacz, która pozostawiła w jego umyśle pustkę i nieczułość na ból.

Lecz gdy z ust ciotki Tessy dobiegł go chichot i ujrzał w jej starych, zmęczonych oczach ślady obłędu, rzeczywistość zmusiła go do działania.

Ash uciekł w popłochu.

Rozdział 31

Potrącił zdumionego kolejarza, który właśnie wchodził do budynku stacji od strony peronu. Usłyszał, jak tamten przeklina i krzyczy za nim, lecz nie zatrzymał się. Pociąg

już ruszył powoli nabierając szybkości, jak gdyby taszczył brzemień ponad swoje siły.

Chwyciwszy za poręcz, Ash biegł przez chwilę wzdłuż pociągu, po czym zdołał otworzyć drzwi i wskoczyć do środka. Poślizgnął się i byłby upadł, gdyby nie zdołał podciągnąć się resztkami sił. Beładnie legł na siedzeniu w przedziale, lecz natychmiast podniósł się i usiadł, w momencie gdy drzwi zatrzasnęły się same pod wpływem ruchu pociągu. Jego głowa kiwała się miarowo zgodnie z rytmem kołysania pociągu. Ash mówił do siebie. Słuchał swojego własnego mamrotania; argumentów przeciwko temu, czego sam doświadczył. Gwałtownym ruchem sięgnął do rozpiętego kołnierzyka koszuli, tak jakby dusił się. Po karku ściekał mu zimny pot.

Ruch pociągu nabrał wreszcie płynności, choć nadal posuwał się niespiesznie. Ash dziękował Bogu, że w końcu oddalał się od tego diabelskiego miejsca, jakim był Edbrook wraz ze skrywanym przezeń koszmarem; Mariellów, których istnienie zależało wyłącznie od poczucia winy i od strachu tych, którzy pozostali przy życiu; starą kobietę, która wpadła w obłęd na skutek dręczących ją wyrzutów sumienia. Pozostawiał za sobą ich wszystkich, pozostawiał Christinę...

Opadła go fala różnych wspomnień, uczuć i wrażeń... Zbyt wiele zdarzyło się podczas tego krótkiego pobytu w Edbrook, aby mógł to przetrwać i zaakceptować. Doznał uczucia najwyższej trwogi, lecz zarazem oddał się subtelnej miłości. I kochał się. Ale z kim właściwie? Ze zjawą? To niemożliwe. To z pewnością niemożliwe.

Ash potrząsnął głową. Przecież znał prawdę.

Robert, Simon i Christina byli duchami i uknuli swój spisek w porozumieniu z kimś innym, kimś mu bliskim, siostrą, która pogardzała nim nawet zza grobu. I ten spisek pomieszał świat realny z tamtym drugim.

Nagle zeszywniał. Siedział plecami do kierunku jazdy i widział tylko pusty peron, który powoli przesuwał się za oknem. Lecz wtem ujrzał jakąś postać — mężczyznę, który odwrócił głowę w chwili, gdy mijał go pociąg. To Robert Mariell stał na peronie, uśmiechając się do Asha.

Wkrótce przez brudną szybę okna przedziału zobaczył drugiego mężczyznę. Simon stał bez płaszcza, z rękoma w kieszeniach. Na szyi nie miał już potwornej blizny od wisielczego sznura, a jego głowa nie była już groteskowo przekrzywiona. Uśmiechał się beztrąsko, patrząc na Asha.

Pusty odcinek peronu. Po chwili znowu jakaś postać wpatrzona w przejeżdżający pociąg niewinnym, dziecięcym spojrzeniem. Po śmierci nie ma starzenia się; nadal była małą dziewczynką. Miała na sobie białą sukienkę, tę samą, w której utonęła, a na nogach białe podkolanówki. Obok niej cierpliwie i nieruchomo siedział Tropiciel.

Ash podskoczył do okna i otworzył je jednym szarpnięciem. Wychylił się i wyciągnął w jej stronę rękę.

— Juliet! — krzyknął.

Teraz wyraźnie widział jej twarz, piękną twarzyczkę, która do tej pory zawsze jawiła mu się niewyraźnie w sennych koszmarach. To jego umysł protestował w ten sposób przeciwko zaakceptowaniu jej nienaturalnej formy istnienia. Widział wyraźnie jej usta, które wykrzywiały złośliwy grymas.

Obraz powoli zmniejszał się wraz z ruchem pociągu i wkrótce sylwetka psa siedzącego obok dziewczynki była już tylko malutką, czarną kropką.

Gardło Asha ścisnęła żal i smutek. Zawołał ją jeszcze raz po imieniu, wyciągając

ręce w kierunku malejącej sylwetki. Łzy rozmazywały brud na jego twarzy.

Nagle poczuł na ramionach potężny uścisk. Złapał się ramy okiennej, bojąc się, że zostanie wypchnięty z pędzącego pociągu. Naprężył mięśnie, żeby odeprzeć atak i obrócił się, by stawić czoło napastnikowi. Ostre paznokcie drapały mu twarz.

Oczy Christiny były zwężone, a jej twarz czysta i nietknięta przez niszczące płomienie, lecz była to inna Christina od tej, którą znał. Jej druga natura wzięła tym razem górę. Stała się teraz potworem, którego Mariellowie ukrywali przed światem zewnętrznym. Zmierzwione włosy okalały jej twarz, a usta wykrzywiały wściekły grymas. W oczach dojrzał błyski, które znamionowały szaleństwo. Jej uroda zniknęła pod maską czarownicy.

Rzuciła się na niego, drapiąc i plując, zmuszając go do wycofania w kąt przedziału. Jej biała sukienka powiewała w podmuchach wiatru. Wyciągnął przed siebie ręce, w obronnym geście zasłaniając twarz i nie chcąc być wobec niej brutalnym. Lecz ból stawał się nie do zniesienia, więc zaczął odwzajemniać razy, wykrzykując jej imię i czując, że wściekłość bierze górę nad strachem.

Po chwili zorientował się, że jego pięści uderzają w pustkę, lecz nie potrafił się powstrzymać.

Minęło kilka chwil, zanim wyczerpany opuścił ramiona. Minęły następne, podczas których czujnie lustrował wnętrze przedziału. W końcu wyprostował się, kiwając się pod wpływem kołysania pociągu.

Poczuł wilgoć na policzku i drżącą dłonią dotknął twarzy.

Ash jeszcze przez długi czas wpatrywał się w krew na opuszkach palców.

Edbrook

Zapada zmrok i wiatr hula na zwirowej alei dojazdowej do wielkiego, zaniebanego domu. Stary samochód stoi w pobliżu kamiennych stopni, wiodących do drzwi wejściowych.

Budynek wydaje się opuszczony, a jego wnętrze wypełniają cienie.

Jednak ktoś chodzi w ciemnościach od pokoju do pokoju. Stara kobieta nuci melancholijną melodię, kołysankę, którą śpiewała kiedyś dzieciom zamieszkałym w tym domu. Ale to było dawno temu i tamtych dzieci już nie ma.

Kobieta ma przy sobie pudełko zapalek. Zapala jedną po drugiej i kładzie je w różnych miejscach.

Kamienna skorupa, którą nazywają Edbrook, czernieje w zapadających ciemnościach. Lecz w jednym z okien migocze pomarańczowy płomień. Wkrótce dołącza do niego inny.

Potem jeszcze jeden.